



PROSPER MÉRIMÉE

Kolomba


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

AlicePopkorn

PROSPER MÉRIMÉE

Kolomba

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Jedno z najlepszych opowiadań Mérimée'go, *Kolomba*, powstało w r. 1840, zatem na szczycie twórczości tego niepospolitego i tak bardzo odrębnego pisarza. Prosper Mérimée (1803–1870) był współczesnym wielkiemu ruchowi romantycznemu w piśmiennictwie francuskim; mimo to zadziwiającym jest do jakiego stopnia w fali tej, wciągającej mimo różnic indywidualnych całą niemal ówczesną twórczość we wspólne łóżysko, zachował on absolutną duchową niezależność. Stosunek Mérimée'go do „romantyków” — z którymi za młodu go łączono —

scharakteryzował dowcipnie Juliusz Sandeau następującą anegdotą: „Podczas dni lipcowych 1830 przeciągała ulicami Paryża gromada rewolucjonistów uzbrojona w strzelby. Pewien szlachcic, przechodząc ulicą, zniecierpliwiony niezręcznością motłochu w obchodzeniu się z bronią palną, wyrwał najbliższemu samopał¹, zmierzył do szwajcara w oknie królewskiego pałacu i celnym strzałem powalił go na miejscu. Kiedy zachwyceni rewolucjoniści wzywali go, aby zatrzymał, na pożytek sprawy, broń, którą tak wybornie włada, odparł: »Ślicznie dziękuję! Ja jestem rojalistą«”. — Do tego strzału, mającego pokazać, jak się włada bronią, można porównać pierwsze utwory Mérimée’go (*Teatr Klary Gazul, Guzla*), w których czyni sobie zabawkę z tego, aby przelicytować najwybujalsze wybryki młodego romantyzmu lub też, w mistyfikacji², która wywiodła w pole najtęższych

¹*samopał* — rodzaj dawnej długiej broni palnej. [przypis edytorski]

²*w mistyfikacji* — *Guzla*, zbiór rzekomych utworów „iliryjskiego barda Maglanowicza”, sfabrykowany przez Mérimée’go i wydany z całym aparatem erudycji i komentatorstwa, wywołał zainteresowanie świata naukowego i piśmienniczego Europy, spowodował artykuł Goethego, w którym sędziwy mistrz zwracał uwagę Niemiec na ten nieznaną kwiat poezji słowiańskiej, oraz obudził entuzjazm Pus-

znawców, wykazać błahość tzw. „kolorytu lokalnego” i tak drogiego romantykowi egzotycznego pokostu. W miarę jednak, jak własna twórczość Mérimée’go męźniała i skupiała się, wyłaniał się w pisarzu dojrzały, zrównoważony klasyk, o nieskazitelnej formie, o wstrzemięźliwości i zwartości wyrazu stanowiących zupełne przeciwieństwo romantycznej rozlewności, a opierających się o najlepsze tradycje francuskiej rasowej kultury pisarskiej.

Ulubioną formą utworów Mérimée’go, z których niemal każdy jest małym arcydziełkiem, jest krótkie opowiadanie, nowela; a w tych zwięzłych ramach umie on zamknąć nieraz cały dramat. Opowiada Mérimée tak, jak wytrawny *causeur*³ najlepszego towarzystwa: bez podnoszenia głosu, bez nieumiarkowanych gestów, bez mieszania do akcji uczuć i zapatrywań opowiadającego, umie on samym uszeregowaniem faktów wydobyć w całej pełni efekt, jaki zamierzył. Efekt ten byłby nieraz dotkliwy i brutal-

kina, który przełożył szereg utworów z tego zbioru na język rosyjski. Wydając powtórnie, w r. 1842, *Guzłę*, Mérimée odsłonił mistyfikację. [przypis tłumacza]

³*causeur* (fr.) — gawędziarz. [przypis edytorski]

ny, gdyby go nie łagodziła zawsze miara i smak artysty. Natura Mérimée'go, chłodna, trzeźwa — lub może tylko ostudzona i otrzeźwiona życiem — lubi, tak w wyborze tematów, jak w ich ujęciu, prowadzić artystę po krawędzi okrucieństwa; równocześnie jednak lekki sceptyczny uśmieszek, przewijający się raz po raz po ustach opowiadającego, przypomina w porę słuchaczowi, że to wszystko dzieje się *na ni-by*, i nie pozwala wyrodzić się wrażeniu w uczucie przykrości.

Kilka tomów tych krótkich opowiadań, z których *Kolomba* jest najobszerniejszym, stanowi cały dobytek pisarski artysty. Będąc zupełną antytezą „grafomana”, z którego cośkolwiek tkwi nieraz i w największych talentach pisarskich, Mérimée nie powtarzał się nigdy: wygrawszy tę nutę, jaką natura włożyła w jego duszę, zamilkł w pełni sił. Resztę życia zajęły mu prace historyczne, archeologiczne, wreszcie bliskie stosunki łączące go z dworem cesarskim, którego, wraz z Oktawem Feuillet, był jedyną literacką ozdobą. Był też pierwszym, któ-

ry, przekładami swymi i pracami krytycznymi, zwrócił uwagę Francji na potężne i świeże walory rodzącej się literatury rosyjskiej.

Kolomba, owoc podróży po Korsyce w roku 1840, jest szczęśliwym połączeniem ciekawości historyka i podróżnika z przenikliwą odtwórczą wrażliwością. Mérimée umiał się przedziwnie wżyć w to środowisko, stanowiące wśród cywilizowanej Europy istotną wyspę, w której pierwotna dzikość człowieka zachowała się w całej czystości, a zarazem szlachetności form. Wiedziony zmysłem delikatnego artysty, wcielił ten łaknący krwi instynkt w postać młodej dziewczyny, nie odbierając jej zarazem nic z dziewiczej słodyczy i niewinności i dzięki temu wydobywając z tej postaci tym silniejsze kontrasty.

Osobliwą tajemnicę kunsztu Mérimée'go stanowi to, iż ten utwór, będący w istocie krwawym i posępnym dramatem, skreślony jest od początku do końca w tonie żartobliwej pogody, płynącej spod pióra pisarza zupełnie naturalnie i udzielającej się czytelnikom. Cel ten

osiągnął autor, wprowadzając jako świadków, a poniekąd uczestników całego zdarzenia, parę Anglików, turystów (trzeba zauważyć, że Anglik turysta ze swymi właściwościami nie był wówczas, jak dziś, zużytą kliszą), i wydobywając z zetknięcia się tych dwóch tak odległych od siebie światów bardzo zabawne kontrasty. Miłość, zadzierżgnięta między Orsem a złotowłosą miss Nevil, rozświeca jaśniejszymi tonami ponure tło korsykańskiego pejzażu.

Jako przejrzystość, lekkość, zwartość kompozycji i opowiadania jest *Kolomba* wzorem mistrzostwa w tym względzie, mistrzostwa trudnego do dośnięcia nawet dla Francuzów. Utwory Mérimée'go są niby kamea⁴ rżnięta w twardej materiale; jakoż przetrwały do dziś, nie tknięte zębem czasu. Jest to jedyny może pisarz swojej epoki, którego czyta się zupełnie „współcześnie”, bez potrzeby najmniejszej korektury „historyczno-literackiej”.

⁴*kamea* — szlachetny a. półszlachetny kamień ozdobiony wypukłą płasko-rzeźbą. [przypis edytorski]

Boy.

I

Pè far la to vendetta
Sta sigur', vasta anche ella.⁵

Vocero du Niolo

W pierwszych dniach października 181... pułkownik sir Tomasz Nevil, Irlandczyk, wybitny oficer angielski, wracając z podróży po Włoszech, zajechał z córką do hotelu Beauveau w Marsylii. Nieustające zachwyty podróżnych-entuzjastów wywołały reakcję: aby się wyróżnić, wielu dzisiejszych turystów obiera za zasadę Horacjuszowskie *nil admirari*⁶. Do tej to klasy podróżników malkontentów należała miss Lidia, jedyna córka pułkownika. *Przemienienie*⁷ wy-

⁵*Pè far la to vendetta...* (korsykański) — Aby się zemścić, bądź spokojny, tyle wystarczy (z pieśni pogrzebowej *Vocero du Niolo*). [przypis edytorski]

⁶*nil admirari* (łac.) — „niczemu się nie dziwić” lub „niczego nie podziwiać”; formuła z *Listów* Horacego. [przypis edytorski]

⁷*Przemienienie Pańskie* — renesansowy obraz autorstwa Rafaela przedstawiający biblijne przemienienie Chrystusa na górze Tabor, znajdujący się w zbiorach Pinakoteki watykańskiej. [przypis edytorski]

dało się jej mierne, Wezuwiusz w chwili wybuchu niewiele bardziej imponujący niż kominy fabryk Birminghamu. Ogółem wzięwszy, głównym jej zarzutem przeciw Włochom było, iż krajowi temu zbywa na *kolorycie* lokalnym, na charakterze. Niech sobie wytłumaczy, kto zdoła, sens tych słów, które rozumiałem doskonale przed kilku laty, a których dziś już nie rozumiem. Zrazu miss Lidia pochlebiała sobie, iż znajdzie za Alpami rzeczy, których nikt nie widział przed nią i o których będzie mogła rozmawiać w *dystyngowanym* towarzystwie, jak powiada Molierowski pan Jourdain⁸. Ale niebawem, wszędzie wyprzedzona przez współziomków, zwątpiwszy, aby mogła znaleźć coś nieznanego, przerzuciła się do opozycji. Bardzo jest w istocie nieprzyjemnie nie móc mówić o cudach Italii, by ktoś nie wtrącił: „Znasz z pewnością tego Rafaela z pałacu X w Y? To najpiękniejsza rzecz w całych Włoszech”. I właśnie tego cudu zaniedbało się obejrzeć! Ponieważ

⁸pan Jourdain — bohater komedii Moliera *Mieszczanin szlachcicem*. [przypis edytorski]

nadto uciążliwe byłoby oglądać wszystko, najprostsze jest wszystko zganić w czambuł⁹ z zasady.

W hotelu Beauveau spotkało miss Lidię gorzkie rozczarowanie. Przywiozła z sobą ładny szkic bramy pelazgijskiej czy też cyklopiej¹⁰ z Segni, o której sądziła, iż uszła baczości¹¹ rysowników. Owóz¹², lady Frances Fenwich, spotkawszy miss Lidię w Marsylii, pokazała jej swój album, gdzie między sonetem a zasuszonym kwiatem figurowała pomieniona¹³ brama, bardzo misternie wykończona sepią. Miss Lidia darowała swoją bramę z Segni pokojówce i straciła wszelki szacunek dla konstrukcji pelazgijskich.

Markotne to usposobienie podzielał pułkownik Nevil, który od śmierci żony patrzył

⁹w *czambuł* — bez wyjątku. [przypis edytorski]

¹⁰*pelazgijskie a. cyklopowe mury, bramy* — prehistoryczne konstrukcje wykonane z wielkich, jedynie powierzchownie obrobionych kamieni, dopasowanych do siebie bez spajania zaprawą. Tego rodzaju konstrukcje kultury mykeńskiej w Grecji przypisywano mitycznemu plemieniu Pelazgów, zamieszkujących Grecję przed przybyciem Greków, lub Cyklopom, mitycznym olbrzymom. We włoskim regionie Lacjum (okolice Rzymu) konstrukcje tego typu pozostawił po sobie italski lud Herników, m.in. w Alatri, Ferentino, Arpino, Segni. [przypis edytorski]

¹¹*baczność* — uwaga. [przypis edytorski]

¹²*owóz* (daw.) — otóz; tak więc (użyte na początku zdania). [przypis edytorski]

¹³*pomieniony* (daw.) — wymieniony, wspomniany. [przypis edytorski]

na świat jedynie oczami miss Lidii. Dla niego Włochy miały tę ogromną wadę, iż nudziły jego córkę: tym samym był to kraj najnudniejszy pod słońcem. Pułkownik nie miał, to prawda, nic do zarzucenia obrazom i posągom; ale w zamian mógł zaręczyć, iż polowanie w tym kraju jest nędzne i że trzeba było zrobić dziesięć mil¹⁴ po największym słońcu w Campagna Romana¹⁵, aby zabić jedną lub dwie liche kuropatwy.

Nazajutrz po przyjeździe do Marsylii pułkownik zaprosił na obiad kapitana Ellis, swego dawnego adiutanta, który właśnie spędził sześć tygodni na Korsyce. Kapitan opowiedział bardzo zajmująco miss Lidii historię o bandytach, mającą tę zaletę, iż nie była wcale podobna do historii złodziejskich, którymi ją tak często raczono w drodze z Rzymu do Neapolu. Przy deserze panowie, zostawszy sami w towarzystwie

¹⁴*mila angielska* — miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

¹⁵*Campagna Romana* (wł.) — Kampania Rzymska, nizinny obszar we Włoszech, wokół Rzymu. [przypis edytorski]

paru butelek bordeaux¹⁶, gwarzyli o polowaniu, przy czym pułkownik dowiedział się, że nie ma kraju, w którym by ono było piękniejsze, obfitsze, bardziej urozmaicone niż na Korsyce. „Spotyka się tam mnóstwo dzików — mówił kapitan Ellis — i trzeba się nauczyć odróżniać je od świń domowych, które podobne są do nich zdumiewająco; zabijając bowiem świnię, ściąga człowiek na siebie kłopotliwe przejścia z pasterzami. Wychodzą z chaszczów, uzbrojeni od stóp do głów, każą sobie płacić za bydłatko i drwią niełitościwie z biednego myśliwca¹⁷. Są tam prócz tego dzikie barany, bardzo osobliwe zwierzęta, których nie spotyka się gdzie indziej: wspaniała zwierzyna, ale trudna. Jelenie, daniele¹⁸, bażanty, kuropatwy, nie sposób wyliczyć wszystkich rodzajów zwierzyny, od których roi się Korsyka. Jeżeli lubisz polować, jedź na Korsykę, pułkowniku; tam, jak

¹⁶*bordeaux* — wino z okolic francuskiego miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

¹⁷*myśliwiec* (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

¹⁸*daniel* (biol.) — rodzaj ssaka z rodziny jeleniowatych, o rudobrazowej sierści z charakterystycznymi białymi plamami i łopatomatych rogach. [przypis edytorski]

powiadał jeden z moich gospodarzy, będziesz mógł strzelać do wszelkiego możliwego zwierza, od drozda aż do człowieka”.

Przy herbacie kapitan na nowo oczarował miss Lidię opowieścią wendetty transwersalnej¹⁹, jeszcze osobliwszą niż poprzednia, i do reszty rozplómił ją do Korsyki, opisując osobliwy i dziki wygląd kraju, oryginalny charakter mieszkańców, ich gościnność i pierwotne obyczaje. Wreszcie złożył u jej stóp ładny mały sztylecik, mniej godny uwagi przez swą formę i mosiężną oprawę niż przez swe pochodzenie. Słynny bandyta odstąpił sztylet kapitanowi Ellis, zaręczając, iż broń ta nurzała się w czterech ciałach ludzkich. Miss Lidia zatknęła sztylet za pasek, położyła na nocnym stoliku i wyjęła dwa razy z pochwy przed zaśnięciem. Pułkownik znów śnił, iż zabił dzikiego barana i że właściciel kazał mu zapłacić odszkodowanie, na co zgodził się bardzo chętnie, ile że było to zwierzę

¹⁹*wendetta transwersalna* — pomsta, którą się ściga mniej lub więcej dalekich krewnych sprawcy zniewagi. [przypis autorski]

niezmiernie ciekawe, podobne do dzika, z rogami jelenia i ogonem bązanta.

— Ellis opowiada, że na Korsyce są cudowne polowania — rzekł pułkownik, śniadając sam na sam z córką. — Gdyby to nie było tak daleko, chętnie spędziłbym tam jakie dwa tygodnie.

— Więc cóż — odparła miss Lidia — czemuż nie mielibyśmy się wybrać na Korsykę? Gdy ty ojciec będziesz polował, ja będę rysowała; bardzo byłabym rada mieć w albumie grootę, o której opowiadał kapitan Ellis, gdzie Bonaparte chował się z książką, będąc dzieckiem.

Był to może pierwszy wypadek, iż życzenie pułkownika zyskało aprobatę córki. Ojciec, zachwycony tą niespodzianą zgodą, był na tyle przezorny, iż czynił nieco trudności dla podrażnienia szczęśliwego kaprysu miss Lidii. Próżno mówił o dzikości kraju i trudnościach podróży po nim dla kobiety: nie lękała się niczego; lubi nad wszystko podróżować na koniu; cieszy się z góry na nocleg w biwaku; groziła, iż wybierze się do Azji Mniejszej. Słowem,

miała odpowiedź na wszystko; nigdy bowiem jeszcze żadna Angielka nie żyła na Korsyce: *ergo*²⁰ ona musiała tam jechać. I co za szczęście za powrotem do Londynu pokazać swój album! „Dlaczego, *my dear*²¹, omijasz ten śliczny rysunek? — Och, to nic! To szkic, który zdjęłam ze sławnego korsykańskiego bandyty; służył nam za przewodnika. — Jak to! Ty byłaś na Korsyce?...”

Ponieważ nie istniały wówczas jeszcze statki parowe pomiędzy Francją a Korsyką, wywieziano się o jakiś okręcik jadący na wyspę, którą miss Lidia postanowiła odkryć. Tegoż samego dnia pułkownik napisał do Paryża, aby odmówić czekający nań w hotelu apartament, oraz dobił targu z właścicielem korsykańskiego statku, rozwijającego właśnie żagiel do Ajaccio²². Były tam dwie niezłe kajuty. Załadowano prowianty; *padrone*²³ zaklął się, że jeden z jego majtków, stary wyjadacz, jest cudownym

²⁰*ergo* (łac.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

²¹*my dear* (ang.) — moja droga; mój drogi. [przypis edytorski]

²²*Ajaccio* — miasto na płd.-zach. wybrzeżu Korsyki. [przypis edytorski]

²³*padrone* (wł.) — tu: właściciel, kapitan. [przypis edytorski]

kuchmistrem; przyrzekł, że panienska będzie pomieszczona znakomicie, że będzie miała pomyslny wiatr, spokojniutkie morze...

Prócz tego, zgodnie z życzeniem córki, pułkownik postawił warunek, że kapitan nie weźmie żadnego podróżnego i że postara się objechać z bliska wybrzeża w ten sposób, by można było podziwiać widok gór.

II

W dniu przeznaczonym na odjazd wszystko od rana było zapakowane, załadowane; goeletka²⁴ miała wyruszyć z powiewem wieczornego wiatru. W oczekiwaniu pułkownik przechadzał się wraz z córką po wybrzeżu, kiedy właściciel statku podszedł doń o pozwolenie wzięcia na pokład jednego ze swych krewnych, to znaczy stryjecznego siostrzeńca chrzestnego ojca jego starszego syna, który wracając dla pilnych spraw na Korsykę, do swego rodzinnego kraju, nie mógł znaleźć statku dla przeprawy.

²⁴*goeletka* (z fr. *goélette*) — szkuner, żaglowiec mający dwa lub więcej masztów z ożaglowaniem skośnym. [przypis edytorski]

— Przemiały chłopiec — dodał kapitan Mattei — wojskowy, oficer pieszych strzelców gwardii, byłby już pułkownikiem, gdyby *On* był jeszcze cesarzem²⁵.

— Skoro to wojskowy — rzekł pułkownik... miał dodać: „Godzę się chętnie, aby odbył z nami tę podróż...”, ale miss Lidia wykrzyknęła po angielsku:

— Oficer piechoty!... — Ponieważ ojciec jej służył w kawalerii, żywiła wzdargę dla wszelkiej innej broni. — Może człowiek bez wychowania, który będzie cierpiał na morską chorobę i zepsuje nam całą przyjemność!

Patron nie rozumiał ani słowa po angielsku, ale z wzdardliwej minki pięknych ustek odgadł niemal, co mówi miss Lidia. Rozwiódł się tedy w szerokiej pochwale swego krewniaka, a zakończył zapewniając, iż jest to człowiek bardzo przyzwoity, z rodziny „kapralów”, że w niczym nie będzie natrętny panu pułkownikowi, jako iż on, patron, obowiązuje się umieścić go

²⁵*gdyby On był jeszcze cesarzem* — tj. Napoleon Bonaparte. [przypis edytorski]

w kąciku, gdzie nikt nie zauważy nawet jego obecności.

Pułkownikowi i pannie Nevil wydało się osobliwe, że istnieją na Korsyce rodziny, w których jest się kapralem z ojca na syna; ale ponieważ myśleli dobrodusznie, że chodzi tu o kaprała piechoty, wywnioskowali, iż musi to być jakiś biedaczyna, którego właściciel statku pragnie przewieźć przez miłosierdzie. Gdyby chodziło o oficera, byłiby obowiązani rozmawiać, żyć z nim, ale z kapralem nie ma się co krępować, jest to istota bez znaczenia, o ile nie znajdzie się na czele swego oddziału, z najeżonymi bagnietami, gotów człowieka zaprowadzić tam, gdzie nie ma ochoty iść...

— Czy pański krewny cierpi na morską chorobę? — spytała panna Nevil sucho.

— Nigdy, proszę pani; serce twarde jak skała, na morzu i na lądzie.

— Dobrze więc, może go pan zabrać — rzekła.

— Możesz go pan zabrać — powtórzył pułkownik i dalej przechadzał się z córką.

Okolo piątej wieczorem kapitan Matei zaszedł po podróżnych, aby ich zaprowadzić na pokład. W porcie, w pobliżu łodzi kapitana, zastali słusznego młodego człowieka, odzianego w niebieski tużurek²⁶ zapięty aż pod szyję, z ogorzałą cerą, okiem czarnym, żywym i ładnie oprawnym, z wejrzeniem szczerym i bystrym. Po sposobie trzymania ramion, po małym zakręconym wąsiku można było poznać wojskowego; w tej epoce bowiem nie spotykało się wąsów na każdym kroku, Gwardia Narodowa²⁷ zaś nie wprowadziła jeszcze w każdej rodzinie stroju i obyczajów kordegardy²⁸.

Młody człowiek, widząc pułkownika, uchylił kaszkietu i bez zakłopotania, w gładkiej formie, podziękował za grzeczność.

— Cieszę się, że mogłem ci oddać przysługę, mój chłopcze — rzekł pułkownik z przyjacielskim skinieniem głowy.

²⁶*tużurek* (z fr.) — rodzaj surduta; dawny element męskiego stroju, pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

²⁷*Gwardia Narodowa* — francuska ochotnicza formacja militarna, rodzaj milicji obywatelskiej, utworzonej w okresie Rewolucji Francuskiej w 1789. [przypis edytorski]

²⁸*kordegarda* — wartownia straży pałacowej. [przypis edytorski]

To mówiąc, wszedł do łodzi.

— Dość sobie bezceremonialny ten wasz Anglik — rzekł półgłosem po włosku młody człowiek do kapitana.

Ten przytknął palec wskazujący do lewego oka i zrobił minę. Dla kogoś, kto pojmuje mowę znaków, wyrażało to, iż Anglik rozumie po włosku i że jest oryginałem. Młody człowiek uśmiechnął się lekko, przytknął palec do czoła w odpowiedzi na znak Matea, jak gdyby dla wyrażenia, iż wszyscy Anglicy mają trochę źle w głowie; następnie usiadł obok kapitana, przyglądając się z uwagą, ale bez natręctwa towarzyszące podróży.

— Dobrze się prezentują ci francuscy żołnierze — rzekł pułkownik do córki po angielsku — toteż łatwo z nich robią oficerów.

Następnie, zwracając się po francusku do młodego człowieka:

— Powiedz mi, mój zuchu, w którym pułku służyłeś?

Zapytany trącił lekko łokciem ojca chrzestnego syna swego ciotecznego siostrzeńca i po-

wstrzymując ironiczny uśmieszek, odpowiedział, iż służył w pieszych strzelcach gwardii, obecnie zaś opuścił 7 pułk lekkiej broni.

— Czy był pan pod Waterloo? Wyglądasz bardzo młodo.

— Owszem, panie pułkowniku, to moja jedyna kampania.

— Liczy się za dwie — rzekł pułkownik.

Młody Korsykanin przygryzł sobie wargi.

— Papo — rzekła miss Lidia po angielsku — zapytaj go, czy Korsykanie bardzo kochają swego Bonapartego?

Zanim pułkownik zaczął tłumaczyć pytanie na francuski, młody człowiek odpowiedział dość dobrą angielszczyzną, mimo że z wybitnym akcentem:

— Wiadomo pani, że nikt nie jest prorokiem w swoim kraju: tak i my, krajanie Napoleona, mniej może go kochamy niż Francuzi. Co do mnie, mimo że rodziny nasze były niegdyś w wojnie, kocham go i podziwiam.

— Pan mówisz po angielsku! — wykrzyknął pułkownik.

— Bardzo lichy, jak pan mógł zauważyć.

Mimo iż nieco zgorszona tym swobodnym tonem, miss Lidia nie mogła się powstrzymać od śmiechu na myśl o osobistej nieprzyjaźni pomiędzy kapralem a cesarzem. Dało jej to jak gdyby przedsmak osobliwości Korsyki; przyrzekła sobie zanotować ten rys w swoim dzienniczku.

— Czy może pan był w Anglii jeńcem? — spytał pułkownik.

— Nie, panie pułkowniku, nauczyłem się po angielsku we Francji, bardzo młodo, od pewnego jeńca, pańskiego rodaka.

Następnie, zwracając się do mis Nevil:

— Matei wspomniał mi, że państwo wracają z Włoch. Mówi pani z pewnością czystą gwarą toskańską; obawiam się, iż pani będzie nieco trudno zrozumieć nasze narzecze.

— Moja córka rozumie wszystkie narzecza włoskie — odparł pułkownik — ma dar do języków. Nie tak jak ja.

— Czy zrozumiałaby pani na przykład ten wiersz z naszej piosenki korsykańskiej? To pasterz mówi do pasterki.

*S entrassi 'ndru paradisu santu, santu,
E nun truvassi a tia, mi n'esciria*²⁹.

Miss Lidia zrozumiała i uważając, iż cytat jest nieco śmiały, a bardziej jeszcze spojrzenie, jakie mu towarzyszyło, odparła, rumieniąc się: *Capisco*³⁰.

— I wraca pan do kraju za urlopem? — spytał pułkownik.

— Nie, panie pułkowniku. Spensjonowali³¹ mnie, prawdopodobnie dlatego, że byłem pod Waterloo i że jestem rodakiem Napoleona. Wracam do domu, lekki nadzieją, lekki monetą, jak mówi piosenka...

²⁹*S entrassi 'ndru paradisu santu, santu...* (kors.) — Gdybym wszedł do świętego, świętego Raju i nie znalazł tam ciebie, opuściłbym go (*Serenata di Zicaro*). [przypis autorski]

³⁰*capisco* (wł.) — rozumiem. [przypis edytorski]

³¹*spensjonować* (daw.) — odesłać w płatny stan spoczynku, na emeryturę. *Spensjonowali mnie, prawdopodobnie dlatego, że byłem pod Waterloo*: oficerów pierwszego Cesarstwa Francuskiego po jego upadku zwolniono z czynnej służby i wypłacano im połowę wcześniejszej pensji wojskowej (żołdu). [przypis edytorski]

I westchnął, spoglądając w niebo.

Pułkownik włożył rękę do kieszeni i obracając w palcach sztukę złota, szukał w myśli jakiegoś frazesu, aby ją grzecznie wsunąć w rękę pognębnego wroga.

— I mnie także — rzekł jowialnie — spensjonowali, ale ty... ze swoją pensyjką nie masz pewno za co kupić sobie tytoniu. Masz, panie kapralu.

To mówiąc, silił się wcisnąć sztukę złota w zaciśniętą rękę, którą młody człowiek opierał się o krawędź łodzi.

Młody Korsykanin poczerwieniał, wyprostował się, zagryzł wargi i gotował się wyrazić odpowiedzieć coś porywczo, kiedy nagle, zmieniając wyraz twarzy, wybuchnął śmiechem. Pułkownik, ze sztuką złota w ręce, patrzył nań oszołomiony.

— Pułkowniku — rzekł młody człowiek, przybierając z powrotem minę serio — pozwól sobie dać dwie rady: jedna, abyś nigdy nie ofiarowywał Korsykaninowi pieniędzy, ponieważ zdarzają się między mymi krajanami ludzie dość

niegrzeczni, którzy mogliby ci je odrzucić na głowę; druga, abyś nie dawał ludziom tytułów, o które nie proszą. Nazywa mnie pan kapralem, gdy ja jestem porucznikiem. Zapewne różnica niewielka, ale...

— Porucznikiem! — wykrzyknął sir Tomasz. — Porucznikiem! Ależ kapitan statku powiedział mi, że pan jest kapralem, zarówno jak pański ojciec i wszyscy w twojej rodzinie.

Na te słowa młody człowiek, przechylając się w tył, zaczął śmiać się z całego serca i tak ochoczo, iż kapitan i dwaj majtkowie zawtórowali mu chórem.

— Przepraszam pana, panie pułkowniku, ale *qui pro quo*³² jest w istocie cudowne; zrozumiałem je dopiero w tej chwili. W istocie rodzina moja szczyci się, iż posiada wśród swoich przodków kaprali; ale nasi korsykańscy kaprale nie nosili nigdy galonów. Około roku pańskiego tysiąc setnego kilka gmin, zbuntowawszy się przeciw tyranii wielkich panów, obrało so-

³²*qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

bie wodzów, których nazwali „kapralami”. Na naszej wyspie uważamy sobie za zaszczyt pochodzić od tych swego rodzaju trybunów.

— Przepraszam pana! — wykrzyknął pułkownik. — Przepraszam po tysiąc razy. Skoro pan tedy³³ rozumie przyczynę mej omyłki, mam nadzieję, że zechcesz ją usprawiedliwić.

To mówiąc, wyciągnął rękę do młodzieńca.

— To słuszna kara mojej zbytnej dumy, pułkowniku — rzekł młody człowiek, śmiejąc się ciągle i ściskając serdecznie rękę Anglika. — Nie mam do pana ani odrobiny żalu. Skoro więc przyjaciel Matei przedstawił mnie tak lichy, pozwól pan, abym sam dopełnił tej ceremonii. Nazywam się Orso della Rebbia, porucznik na pensji; jeżeli zaś, jak to przypuszczam, widząc te piękne dwa psy, przybywa pan do Korsyki celem polowania, będzie dla mnie wielkim zaszczytem czynić panu honory naszych gór i jarów... o ile sam ich nie zapomniałem — dodał z westchnieniem.

³³tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

W tej chwili łódź dobijała do goeletki. Porucznik podał rękę miss Lidii, następnie pomógł pułkownikowi wgramolić się na pokład. Tutaj sir Tomasz, wciąż bardzo markotny z powodu swej omyłki i nie wiedząc w jaki sposób zatrzeć wrazenie swej nieprzyzwoitości wobec człowieka wiodącego się z roku 1100, sam, nie czekając przyzwolenia córki, zaprosił go na wieczerzę, ponawiając usprawiedliwienia i uściśki dłoni. Miss Lidia marszczyła nieco czoło, ale ostatecznie dość była rada dowiedzieć się, co to jest „kapral”; gość nie był jej niesympatyczny, zaczynała nawet dopatrywać się w nim czegoś arystokratycznego, miał jedynie minę zbyt otwartą i wesołą na bohatera romansu.

— Poruczniku della Rebbia — rzekł pułkownik, skłaniając się w stronę młodzieńca angielską modą, z kieliszkiem madery³⁴ w dłoni — widziałem w Hiszpanii wielu pańskich ziomków; była to bajeczna piechota w tyralierce.

³⁴*madera* — rodzaj mocnego wina portugalskiego z atlantyckiej wyspy Madera. [przypis edytorski]

— Tak, wielu ich zostało w Hiszpanii — rzekł młody porucznik poważnie, z zadumą w twarzy.

— Nie zapomnę nigdy komendy jednego korsykańskiego batalionu w bitwie pod Vitorią³⁵ — ciągnął pułkownik. — Mam też po nim pamiątkę — dodał, pocierając ręką pierś. — Cały dzień uprawiali tyralierkę rozsypani po ogrodach, ukryci za krzewami i wybili nam nie wiem ile ludzi i koni. Otrzymaawszy rozkaz odwrotu, sformowali się i zaczęli umykać pędem. Na równinie spodziewaliśmy się, iż znajdziemy odwet, ale te hycle... przepraszam, poruczniku, te zuchy, powiadam, ustawili się w czworobok i nie było sposobu ich złamać. W środku czworoboku (zdaje mi się, że widzę go jeszcze!) znajdował się oficer, usadowiony na karym³⁶ koniku; stał sobie tuż koło sztandaru, paląc spokojnie cygaro, jak gdyby w kawiarni. Niekiedy, jakby na urągowisko ich, muzy-

³⁵*bitwa pod Vitorią* (21 czerwca 1813) — w której wojska brytyjsko-portugalsko-hiszpańskie pokonały armię francuską, przesądziła o wyparciu sił Napoleona z Hiszpanii. [przypis edytorski]

³⁶*kary* — najczęściej o maści konia: czarny. [przypis edytorski]

ka grała nam fanfary... Puszczam na nich dwa pierwsze szwadrony... Ba! Miast³⁷ ugryźć czworobok z samego czoła, moi dragoni³⁸ mijają go bokiem, zataczają wstecz i wracają mocno w nieporządku, z niejednym koniem bez jeźdźca... i ciągle ta diabelska muzyka! Skoro dym, otaczający batalion, się rozproszył, ujrzałem znów oficera koło sztandaru; palił ciągle to przekłete cygaro. Rozwścieczony, stanąłem sam na czele ostatniej szarży. Karabiny ich, zapchane sadzą od ciągłego strzelania, odmawiały posłuszeństwa, ale żołnierze ustawili się w sześciu rzędach, z bagnetem obróconym ku końskim nosom, istny mur!

Krzyczałem, zagrzewałem dragonów, piskałem ostrogą, aby pchnąć konia naprzód, kiedy oficer, o którym mówiłem, wyjmując wreszcie z ust cygaro, wskazał mnie ręką jednemu ze swych ludzi. Usłyszałem coś niby: *Al capello bianco!* Miałem biały pióropusz na kasku. Nie

³⁷*miast* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

³⁸*dragoni* — w XIX w. formacja jazdy pośredniej między ciężkimi kirasjerami a lekkimi huzarami i ułanami; pierwotnie wojsko walczące pieszo, a poruszające się konno. [przypis edytorski]

słyszałem nic więcej, kula przeszła mi pierś. Był to ładny batalion, panie della Rebbia, pierwszy batalion lekkiego osiemnastego pułku, sami Korsykanie, jak mi później powiedziano.

— Tak — rzekł Orso, którego oczy błyszczały podczas tego opowiadania — ochronili odwrót i wrócili ze sztandarem. Ale dwie trzecie tych zuchów śpi dzisiaj na równinie Vitorii.

— Czyżbyś pan przypadkiem znał nazwisko oficera, który dowodził nimi?

— To mój ojciec. Był wówczas majorem w osiemnastym pułku i został pułkownikiem za swoje zachowanie się w ciągu tego smutnego dnia.

— Pański ojciec! Na honor, to był kawał chwata! Miło byłoby mi go zobaczyć; poznałbym go, jestem pewny. Czy żyje jeszcze?

— Nie, pułkowniku — rzekł młody człowiek, blednąc lekko.

— Czy był pod Waterloo?

— Tak, pułkowniku, ale nie miał szczęścia zginąć na polu bitwy... Zmarł na Korsyce przed dwoma laty... Mój Boże! Jakie to mo-

rze piękne! Dziesięć lat już, jak nie widziałem Morza Śródziemnego. Czy Morze Śródziemne nie wydaje się pani piękniejsze od oceanu?

— Wydaje mi się za niebieskie i fala nie jest zbyt duża.

— Lubi pani dzikie piękności? W takim razie sądzę, że Korsyka spodoba się pani.

— Córka moja — rzekł pułkownik — lubi wszystko, co nadzwyczajne; dlatego też Włochy nie podobały się jej wcale.

— Znam z Włoch — rzekł Orso — jedynie Pizę, gdzie przebywałem jakiś czas w kolegium, ale nie mogę bez podziwu myśleć o Campo Santo³⁹, o katedrze, o pochyłej wieży... zwłaszcza o Campo Santo. Przypomina pani sobie *Śmierć d'Orcagna*⁴⁰... Zdaje mi się, że mógłbym ją narysować, tak się wyryła w mojej pamięci.

³⁹*Campo Santo* — położony w północnej części placu katedralnego w Pizie zabytkowy cmentarz z XIII–XV w., mający formę czworobocznego wydłużonego dziedzińca otoczonego otwartymi do wewnątrz kruzgankami. [przypis edytorski]

⁴⁰„*Śmierć*” *d'Orcagna* — ogromny fresk *Triumf Śmierci*, na ścianie kruzganku Campo Santo w Pizie. Dawniej przypisywany florenckiemu malarzowi Andrei Orcagna (1308–1368), obecnie na ogół za autora uważa się Buonamico Buffalmacco (ok. 1290–1341) lub Francesca Traini (1321–1363). [przypis edytorski]

Miss Lidia złąka się, aby porucznik nie zapuścił się w jakąś entuzjastyczną tyradę.

— Tak, bardzo ładne — rzekła, ziewając. — Przepraszam cię, ojczy, głowa mnie trochę boli, pozwolisz, że zejdz do kajuty.

Ucałowała ojca w czoło, skinęła majestacyjnie głową Orsowi i znikła. Wówczas dwaj mężczyźni zapuścili się w gawędę o wojnie i polowaniu.

Dowiedzieli się z rozmowy, iż pod Waterloo znaleźli się naprzeciw siebie i że musieli wymienić sporo kul. Sympatia ich wzajemna zdwoiła się od tego odkrycia. Kolejno skrytykowali Napoleona, Wellingtona i Blüchera⁴¹, po czym zapolowali wspólnie na daniela, dzika i dzikiego barana. Wreszcie, ponieważ noc była już późna, a ostatnia butelka bordeaux próżna, pułkownik ścisnął raz jeszcze rękę porucznika i życzył mu dobrej nocy, wyrażając nadzieję dalszego ciągu rozpoczętej w tak ucieszny spo-

⁴¹*Wellington i Blücher* — dowódcy wojsk koalicji antyfrancuskiej w bitwie pod Waterloo: Arthur Wellesley, książę Wellington (1769–1852), dowódca armii angielskiej, oraz feldmarszałek Gebhard Leberecht von Blücher (1742–1819), dowódca armii pruskiej. [przypis edytorski]

sób znajomości. Rozstali się i każdy udał się na spoczynek.

III

Noc była piękna, księżyc igrał po falach, statek płynął łagodnie, pędzony lekkim wiatrem. Miss Lidia nie miała ochoty spać; jedynie obecność profana nie pozwoliła jej smakować wzruszeń, jakich na morzu i w czas pełni doświadcza wszelka ludzka istota, o ile ma bodaj źdźbło poezji w sercu. Skoro osądziła, że młody porucznik musi już spać snem sprawiedliwego, jak przystało na tak prozaiczne indywiduum, wstała, wzięła futro, zbudziła pokojową i wyszła na pokład. Nie było nikogo prócz jednego majtka; stał przy sterze i śpiewał jakąś żalosną lamentację w korsykańskim narzeczu na dziękę i jednostajną nutę. Wśród ciszy nocnej ta osobliwa muzyka miała swój urok. Na szczęście miss Lidia nie rozumiała dokładnie słów piosenki. Wśród wielu ogólników jakiś energiczny wiersz poruszył żywo jej ciekawość, ale nie-

bawem, w najpiękniejszym momencie, przychodził znowu szereg słów w dialekcie, których znaczenie się jej umykało. Zrozumiała wszakże, iż chodzi o jakiś mord. Przekleństwa na morderców, groźby zemsty, pochwała zmarłego, wszystko tam było bez ładu pomieszane. Zapamiętała kilka wierszy; spróbuję je przetłumaczyć:

„...Ani działa, ani bagnety — nie powlekły bladością jego czoła — pogodnego na polu bitwy — jak niebo letnie. — Był to sokół, przyjaciel orła — miód słodki dla przyjaciół — dla nieprzyjaciół rozwścieczone morze. — Pyszniejszy niż słońce — łaskawszy niż księżyc. — Jego, któremu wrogowie Francji — nigdy nie dotrzymali kroku — mordercy z własnej ziemi — ugodzili z tyłu. — Nigdy nie śmieliby spojrzeć mu w twarz. — ...Powieście na ścianie nad łóżkiem — mój krzyż zasługi, sprawiedliwie zdobyty. — Czerwona przy nim wstążeczka. — Czerwieńsza moja koszula. — Dla syna mego, syna mego w dalekiej ziemi — zachowajcie mój krzyż i krwawą koszulę. — Ujrzy

w niej dwie dziury. — Za każdą dziurę dziura w innej koszuli. — Ale czy wówczas dopełni się zemsta? — Trzeba mi, aby ręka, która pociągnęła cyngiel — oko które wzięło na cel — serce, które zamyśliło...”

— Czemu nie śpiewasz dalej, przyjacielu? — spytała się miss Nevil.

Ruchem głowy majtek ukazał jej twarz, wychylającą się z przepierzenia: był to Orso, który wyszedł rozkoszować się blaskiem księżyca.

— Skończcież piosenkę — rzekła miss Lidia — bardzo mi się podobała.

Majtek nachylił się ku niej i rzekł bardzo cicho:

— Nie chcę zadawać *rimbecco* nikomu.

— Jak to? *Rim...*?

Majtek, nie odpowiadając, zaczął gwizdać.

— Zeszedłem panią na tym, że jednak zachwyca się pani Morzem Śródziemnym, miss Nevil — rzekł Orso, zbliżając się. — Niech pani przyzna, że nie widuje się gdzie indziej takiego księżyca.

— Nie patrzałam nań. Byłam cała pochłonięta studiami nad korsykańskim morzem. Ten majtek, który śpiewał żałobną pieśń o niewymownym tragizmie, przerwał nagle w najpiękniejszym miejscu.

Majtek pochylił się, jak gdyby dla lepszego odczytania busoli, i pociągnął silnie miss Nevil za futro. Jasne było, iż pieśni tej nie można śpiewać w obecności porucznika Orso.

— Cóżes ty śpiewał, Paolo France? — rzekł Orso. — Balladę czy *vocero*⁴²? Panienska zrozumiała i pragnęłaby usłyszeć koniec.

— Zapomniałem, Ors' Anton' — rzekł majtek.

I natychmiast rozpoczął na cały głos śpiewać kantyczkę⁴³ do Najświętszej Panny.

⁴²*vocero* — kiedy człowiek jaki umrze, a zwłaszcza gdy padnie zamordowany, umieszcza się jego ciało na stole, kobiety zaś z jego rodziny lub, w braku tych, przyjaciółki, a nawet i obce, znane z poetyckiego talentu, improwizują wobec licznego audytorium hymny żałobne wierszem, w narzeczu krajowym. Kobiety te nazywa się *voceratrici*; słowo *vocero*, również jak jego pochodne, powstało z łacińskiego *vociferare*. Niekiedy kilka kobiet improwizuje po kolei, a często żona lub córka zmarłego sama śpiewa lament żałobny. [przypis autorski]

⁴³*kantyczka* — popularna pieśń religijna. [przypis edytorski]

Miss Lidia słuchała kantyczki z roztargnieniem i nie nalegała więcej, przyrzekając sobie wszakże zdobyć później słowo zagadki⁴⁴. Ale pokojówka, która będąc z Florencji, mało co lepiej od pani rozumiała dialekt korsykański, również była ciekawa się pouczyć; zwracając się tedy do Orsa, zanim miss Lidia zdołała ją trącić łokciem, rzekła:

— Panie kapitanie, co znaczy zadać komuś *rimbecco*⁴⁵?

— *Rimbecco!* — rzekł Orso. — Ależ to znaczy wyrzucić Korsykaninowi najkrwawszą zniewagę: znaczy zarzucić mu, że się nie pomścił. Kto wspomniał paniom o *rimbecco*?

— To wczoraj, w Marsylii — odparła miss Lidia skwapliwie — właściciel statku użył tego słowa.

— I o kim mówił? — spytał żywo Orso.

⁴⁴słowo zagadki (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

⁴⁵*rimbecco* — *rimbeccare* znaczy po włosku odesłać, odparować, odeprzeć. W dialekcie korsykańskim znaczy to: wymierzyć komuś zelżywy i publiczny zarzut. Udziela się *rimbecco* synowi zamordowanego ojca, mówiąc mu, że ojciec nie jest pomszczony. *Rimbecco* jest jakby zakwestionowaniem honoru człowieka, który nie obmył jeszcze zniewagi we krwi. Prawo genueńskie karało bardzo surowo sprawcę *rimbecco*. [przypis autorski]

— Och! Opowiadał nam starą historię... z czasów... tak, zdaje mi się, że chodziło o Vanninę d'Ornano⁴⁶.

— Śmierć Vanniny, jak przypuszczam, nie musiała pani natchnąć zbytnią sympatią dla naszego bohatera, dzielnego Sampiero?

— A panu czy się to wydaje bardzo heroiczne?

— Zbrodnia jego ma za usprawiedliwienie dzikie obyczaje epoki. Przy tym Sampiero prowadził wojnę na śmierć i życie z Genueńczykami. Jakąż ufność mogliby mieć doń rodacy, gdyby nie ukarał tej, która się starała porozumiewać z Genuą?

— Vannina — rzekł majtek — wydalila⁴⁷ się bez pozwolenia męża; Sampiero dobrze zrobił, że jej skreślił szyję.

⁴⁶*Vannina d'Ornano* (1530–1563) — żona Sampiero Corso (1497–1567), korsykańskiego bojownika o uwolnienie Korsyki spod dominacji Genui. Po klęsce powstania Sampiero z rodziną wyemigrował do Francji. Pod jego nieobecność wychowawca ich dzieci, który okazał się agentem genueńskim, nakłonił Vanninę do wyjazdu do Genui. Powiadomiony Sampiero przechwycił statek, na miejscu osądził żonę, uznając, że dopuściła się zdrady, i własnoręcznie ją udusił. [przypis edytorski]

⁴⁷*wydalić się* (daw.) — oddalić się; wyjechać. [przypis edytorski]

— Ale — rzekła miss Lidia — wszakże to, aby ocalić męża, przez miłość dla niego, poszła prosić dłań łaski u Genuieńczyków.

— Prosić dłań łaski znaczyło zhańbić go! — wykrzyknął Orso.

— Ale zabić ją własnymi rękami! — ciągnęła miss Nevil. — Cóż to musiał być za potwór!

— Wiadomo pani, iż błagała go jako o łaskę, aby mogła zginąć z jego ręki. Czy Otella⁴⁸ uważa pani także za potwora?

— Cóż za różnica! To był człowiek zazdrośny; Sampiero był tylko próżny.

— A zazdrość czy to również nie jest próżność? To próżność miłości; tę usprawiedliwia pani może ze względu na pobudkę.

Miss Lidia obrzuciła młodego człowieka pełnym godności spojrzeniem i zwracając się do majtka, spytała, kiedy statek zawinie do portu.

— Pojutrze — rzekł — jeżeli będziemy mieli ciągle wiatr.

⁴⁸*Otello* — tytułowy bohater tragedii Szekspira, powodowany obsesyjną zazdrością udusił swoją żonę, Desdemonę. [przypis edytorski]

— Chciałabym już znaleźć się w Ajaccio, męczy mnie ten statek.

Podniosła się, ujęła ramię panny służącej i przeszła parę kroków po pomoście. Orso stał nieruchomo koło steru, nie wiedząc, czy jej towarzyszyć w przechadzce, czy też przerwać rozmowę, która zdawała się pannie niemiła.

— Ładna dziewczyna, na krew Madonny! — rzekł majtek. — Gdyby wszystkie pchły w moim łóżku były do niej podobne, nie narzekałbym, że mnie kąsają!

Miss Lidia dosłyszała może tę naiwną pochwałę i uczuła się zgorszona, rychło bowiem zeszła do kajuty. Wkrótce potem Orso udał się również do siebie. Skoro tylko opuścił pokład, panna służąca wróciła jeszcze i podjąwszy szczegółowy wywiad z majtkiem, przyniosła swej pani następujące objaśnienia: *ballatę*, przerwana obecnością Orsa, ułożono z przyczyny śmierci pułkownika della Rebbia, ojca porucznika, zamordowanego przed dwoma laty. Majtek nie wątpił, iż Orso wraca na Korsykę, aby dopełnić zemsty, i twierdził, iż nieba-

wem ujrzy „świeże mięso” w wiosce Pietranera. Z wykładu tego narodowego wyrażenia wynikałoby, iż pan Orso zamierza zamordować dwie lub trzy osoby podejrzane o morderstwo, które to osoby, co prawda, były niepokojone przez sądy o ten postępek, ale okazały się białe jak śnieg, zważywszy, iż mają w kieszeni sędziów, adwokatów, prefekta i żandarmów.

— Nie ma sprawiedliwości w Korsyce — dodał majtek. — Więcej ufałbym dobrej strzelbie niż wszystkim rajcom królewskiego trybunału. Kiedy się ma wroga, trzeba wybierać między trzema „S”⁴⁹.

Te zajmujące wyjaśnienia odmieniły w wybitny sposób obejście i usposobienie miss Lidii odnośnie do porucznika della Rebbia. Od tej chwili stał się on w oczach romantycznej Angielki *osobistością*. Obecnie ta niefrasobliwa mi-
na, ta szczerłość i dobry humor, które ją zrazu uprzedziły nieprzychylnie, stawały się dla niej jedną więcej zaletą; widziała w nich głęboką

⁴⁹trzy „S” — wyrażenie narodowe, to znaczy *schiopetto, stiletto, strada*: strzelba, sztylet, ucieczka. [przypis autorski]

zdolność panowania nad sobą energicznej duszy, która nie pozwala przedrzeć się na zewnątrz żadnemu z uczuć, jakie w sobie zamyka. Orso wydał się jej nowym Fieskiem⁵⁰, ukrywającym pod pozorami lekkości doniosłe zamiary; a mimo że mniej jest piękne zabić paru hultajów niż oswobodzić ojczyznę, bądź co bądź zemsta jest piękna; zresztą kobiety wolą, aby bohater nie był tak zupełnie pochłonięty polityką. Wówczas dopiero miss Nevil zauważyła, że porucznik ma bardzo duże oczy, białe zęby, piękną postawę, że zdradza dobre wychowanie i niejaki obycie. Następnego dnia zwracała się doń dość często i rozmowa z nim zajęła ją. Wypytywała obszernie o kraj, o którym mówił nader interesująco. Korsyka, którą opuścił bardzo młodo, najpierw, aby się udać do kolegium, następnie do szkoły wojskowej, przechowała się w jego wspomnieniu ozdobiona poetycznymi barwami. Ożywiał się, mówiąc

⁵⁰wydał się jej nowym Fieskiem — tj. bohaterem tragedii Schillera *Sprzysiężenie Fieska w Genui*. Giovanni Luigi Fieschi (Fiesco) (1522–1547) zainicjował zakończoną niepowodzeniem próbę przewrotu politycznego w Genui. [przypis edytorski]

o górach, lasach, o oryginalnych zwyczajach mieszkańców. Jak można się domyślać, słowo „zemsta” nastreczyło się wiele razy w tych opowiadaniach, niepodobna bowiem mówić o Korsykanach, aby nie atakować lub nie usprawiedliwiać tej ich przysłowiowej namiętności. Orso zadziwił nieco miss Nevil, potępiając w ogólnym sposobie nieskończone nienawiści swoich ziomków. Bądź co bądź u chłopów starał się je usprawiedliwić; twierdził, iż *vendetta*⁵¹ jest to pojedynek ubogich. „To jest tak dalece prawdą — mówił — iż nikt nie zamorduje wroga, nie wyzwawszy go wprzód wedle reguł. »Strzeż się, ja się strzegę« oto sakramentalne słowa, jakie wymieniają dwaj nieprzyjaciele, nim poczną zastawiać na siebie pułapki. Jest u nas więcej morderstw niż gdzie indziej — dodał — ale nigdy nie znajdzie pani nikczemnej pobudki zbrodni. Mamy, to prawda, wielu morderców, ale ani jednego złodzieja”.

Kiedy porucznik wymawiał te słowa „zemsta” i „mord”, miss Lidia patrzyła nań uważ-

⁵¹*vendetta* (wł.) — krwawa zemsta. [przypis edytorski]

nie, ale nie zdołała wyczytać na jego twarzy najmniejszego śladu wzruszenia. Ponieważ osądziła, iż posiada siłę duszy potrzebną, aby się stać nieprzeniknionym dla wszystkich oczu, z wyjątkiem, oczywiście, jej własnych, wierzyła niezłomnie nadal, iż cienie pułkownika della Rebbia niedługo będą czekały upragnionego zadośćuczynienia.

Już oczom podróżnych rysowały się wybrzeża Korsyki. Kapitan nazywał główne punkty wybrzeża; mimo że były one miss Lidii zupełnie obce, znajdowała przyjemność w tym, aby znać ich imiona. Nie ma nic nudniejszego niż pejzaż bezimienny. Niekiedy luneta pułkownika pozwalała dostrzec jakiegoś wyspiarza, odzianego w brunatną gunię⁵², zbrojnego w długą fuzję, galopującego na małym koniku po stromych zboczach. Miss Lidia w każdym chciała się dopatrzeć bandyty albo też syna śpieszącego pomścić ojca; ale Orso upewniał, że to jakiś spokojny obywatel sąsiedniego

⁵²*gunia* — męskie odzienie wierzchnie górali; płaszcz o kroju poncza z szerokimi rękawami, wykonany z grubego, spłśnionego sukna. [przypis edytorski]

miasteczka podróżujący w interesach, że nosi fuzję nie tyle z potrzeby, ile przez elegancję, dla mody, tak jak dandys⁵³ nie ruszy się z domu bez wytwornej laseczki. Mimo że fuzja jest bronią mniej szlachetną i mniej poetyczną niż sztylet, miss Lidia uważała, iż dla mężczyzny jest to sprzęt wykwintniejszy niż laska; przypominała sobie, że wszyscy bohaterowie lorda Byrona giną od kuli, a nie od klasycznego puginału⁵⁴.

Po trzech dniach żeglugi podróżni znaleźli się naprzeciw Sangwinariów⁵⁵: wspaniała panorama zatoki Ajaccio roztoczyła się ich oczom. Słusznie porównują ją z Zatoką Neapolitańską; w chwili gdy goeletka wpływała do portu, leśiste wzgórze, stojące całe w ogniu i okrywające dymem la Punta di Girato, przypominało Wezuwiusz, przydając tym podobieństwa. Aby to podobieństwo było zupełne, trzeba by, aby

⁵³*dandys* — elegant, mężczyzna z przesadą dbający o strój i przestrzeganie form towarzyskich. [przypis edytorski]

⁵⁴*puginat* — krótka broń sieczna, podobna do małego miecza. [przypis edytorski]

⁵⁵*Sanguinaria* (z fr. *les Sanguinaires*) — cztery niewielkie wyspy leżące w zatoce Ajaccio. [przypis edytorski]

hordy Attyli⁵⁶ rzuciły się na okolice Neapolu; wszystko bowiem w pobliżu Ajaccio jest wymarłe i opustoszałe. Zamiast wykwintnych budowli, jakie nastroczą się oku od Castellamare⁵⁷ aż do Miseny⁵⁸, widzi się dokoła zatoki Ajaccio jedynie ciemne lesiste regle⁵⁹, a za nimi nagie góry. Ani jednej willi, ani jednego domu. Jedynie tu i ówdzie na wzgórzach dokoła miasta kilka białych budynków odrzyna się pojedynczo na tle zieloności; to kaplice cmentarne, rodzinne groby. Wszystko w tym krajobrazie piękne jest poważną i smutną pięknnością.

Wygląd miasta, zwłaszcza w tej epoce, pomnażał jeszcze to wrażenie pustki. Żadnego ruchu na ulicach, gdzie spotyka się jedynie kilku beczynnych osobników, zawsze tych samych. Żadnych kobiet prócz wieśniaczek, przybywa-

⁵⁶*Attyla* (406–453) – wódz Hunów, twórca rozległego imperium, wielokrotnie najeżdżał Rzymian. Ze względu na okrucieństwo zyskał przydomek „bicza Bożego”. [przypis edytorski]

⁵⁷*Castellammare [di Stabia]* — nadmorska miejscowość w płd.-wsch. części Zat. Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

⁵⁸*Misena* — właśc. przylądek Miseno (wł. *Capo Miseno*), wyznaczający półn.-zach. skraj Zatoki Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

⁵⁹*regiel*, zwykle w lm: *regle* — lesiste wzniesienia w Tatrach, poniżej górnej granicy lasu. [przypis edytorski]

jących sprzedać swe produkty. Nie słyszy się głośnej rozmowy, śmiechu, śpiewu, tak znamiennych dla włoskich miasteczek. Niekiedy w cieniu drzew na placyku kilku uzbrojonych wieśniaków gra w karty lub przygląda się grze. Nie krzyczą, nie kłócą się nigdy; jeśli gra stanie się zbyt gorąca, wówczas słyszy się strzały pistoletu, które zawsze wyprzedzają groźbę. Korsykanin jest z natury poważny i milczący. Wieczorem pojawia się kilka postaci, aby napawać się chłodem, ale ci przechadzający się to prawie wszystko cudzoziemcy. Wyspiarze stoją przed drzwiami domów; każdy zdaje się czuwać na straży niby sokół u swego gniazda.

IV

Odwiedziwszy dom, w którym urodził się Napoleon, zdobywszy sobie, za pomocą mniej lub więcej dozwolonych środków, nieco papieru z obicia⁶⁰, miss Lidia, w dwa dni po wylądowaniu na Korsyce, pogrążyła się w uczuciu głębokiego

⁶⁰*nieco papieru z obicia* — chodzi o papier z tapet pokrywających ściany. [przypis edytorski]

smutku; jest to nieuchronne dla każdego cudzoziemca, kiedy znajdzie się w kraju, którego nietowarzystkie obyczaje skazują go na zupełną samotność. Zaczęła żałować swego szaleństwa, ale wyjechać natychmiast, znaczyłoby narazić na szwank reputację nieustraszonej podróżniczki; miss Lidia zdecydowała się tedy na cierpliwość i na zabijanie czasu jak się da. W tym szlachetnym postanowieniu przygotowała farby i ołówki, naszkicowała parę widoków zatoki i zrobiła portret ogorzałego wieśniaka, który sprzedawał najspokojniej w świecie melony, ale który miał siwą brodę i minę najdzikszego opryszka pod słońcem. Gdy wszystko to nie wystarczyło, aby ją rozerwać, postanowiła zawrócić w głowie potomkowi „kaprali”; rzecz zaś nie była trudna, ponieważ, zgoła nie spiesząc się do rodzinnej wioski, Orso jak gdyby podobał sobie⁶¹ w Ajaccio, mimo że nie znał tam nikogo. Zresztą miss Lidia postawiła sobie szlachetne zadanie: mianowicie ucywili-

⁶¹*podobać sobie w czymś* (daw.) — mieć w czymś upodobanie; gustować w czymś. [przypis edytorski]

zować tego górskiego niedźwiedzia i kazać mu zapomnieć o posępnych zamiarach, które go sprowadziły na wyspę. Od czasu jak sobie zadała trud przyjrzenia mu się bliżej, powiedziała sobie, iż szkoda byłoby pozwolić temu młodemu człowiekowi pędzić ku zgubie, dla niej zaś byłoby chlubą nawrócić Korsykanina.

Dni naszych podróżników upływały jak następuje: rano pułkownik i Orso szli na polowanie, miss Lidia rysowała lub pisała do przyjaciółek, aby móc datować listy z Ajaccio; około szóstej panowie wracali obładowani zwierzyną; po obiedzie miss Lidia śpiewała, pułkownik zasypiał, młodzi zaś gawędzili do późna.

Nie wiem, co za formalności paszportowe zmusiły pułkownika Nevil do złożenia wizyty prefektowi⁶². Dygnitarz ten, który nudził się mocno, podobnie jak większość jego kolegów, z radością dowiedział się o pobycie Anglika, bogatego, z dobrego towarzystwa i ojca pięknej córki, toteż przyjął go najuprzejmiej i zasypał

⁶²*prefekt* — urzędnik administracji francuskiej, reprezentant władzy centralnej stojący na czele administracji departamentu; cała wyspa Korsyka tworzyła jeden departament. [przypis edytorski]

ofiarami usług; co więcej, w parę dni pośpieszył oddać wizytę. Pułkownik, który właśnie wstał od stołu, leżał wygodnie na sofie, gotując się do drzemki; córka śpiewała przy rozklekotanym pianinie, Orso obracał kartki i patrzył na ramiona i włosy blond artystki. Oznajmiono pana prefekta; pianino zamilkło, pułkownik podniósł się, przetarł oczy i przedstawił go córce:

— Nie przedstawiam panu prefektowi porucznika della Rebbia, ponieważ zna go pan zapewne?

— Pan jest synem pułkownika della Rebbia? — spytał prefekt lekko zakłopotanym tonem.

— Tak panie — odparł Orso.

— Miałem zaszczyt znać szanownego ojca. Zdawkowe formułki wyczerpały się niebawem. Pułkownik mimo woli ziewał dość często; Orso, w charakterze liberała, nie chciał się odzywać do satelity władzy; miss Lidia sama podtrzymywała rozmowę. Ze swej strony prefekt gorliwie dotrzymywał jej towarzystwa; wi-

dać było, iż sprawia mu żywą przyjemność mówić o Paryżu i jego rozrywkach z osobą, która zna wszystkie znakomitości europejskiego towarzystwa. Od czasu do czasu, nie przerywając rozmowy, przyglądał się młodemu porucznikowi z osobliwą ciekawością.

— Czy państwo poznali we Francji pana della Rebbia? — spytał prefekt miss Lidii.

Miss Lidia odparła z odcieniem zmieszania, że zawarła tę znajomość na statku, który ich przywiózł na Korsykę.

— To młody człowiek bardzo na miejscu — rzekł prefekt półgłosem. — I czy wspominał pani — dodał jeszcze ciszej — w jakich zamiarach wraca na Korsykę?

Miss Lidia przybrała majestatyczną postawę.

— Nie pytałam go o to — rzekła — może pan sam zapytać.

Prefekt zamilkł, ale w chwilę potem, słysząc, iż Orso zwrócił się do pułkownika z kilkoma słowy⁶³ w języku angielskim, rzekł:

⁶³słowy (daw.) — dziś popr. forma N. lm: słowami. [przypis edytorski]

— Wiele pan podróżował, jak widzę. Musiałeś zapomnieć Korsykę... i jej zwyczaje...

— To prawda, byłem bardzo młody, kiedy ją opuściłem.

— Należy pan zawsze do armii?

— Spensjonowano mnie, panie prefekcie.

— Zbyt długo był pan w wojsku francuskim, aby nie stać się zupełnym Francuzem, nie wątpię o tym, drogi panie.

Prefekt wymówił te ostatnie słowa z uroczystym naciskiem.

Nie jest to dla Korsykan zbyt dużym komplemencem, kiedy im ktoś przypomina, że należą do Wielkiego Narodu. Chcą być narodem dla siebie, a pretensję tę usprawiedliwiają dość dobrze, aby im ją można było przyznać. Orso, nieco dotknięty, odparł:

— Czy myśli pan, panie prefekcie, iż aby być człowiekiem honoru, Korsykanin potrzebuje służyć w armii francuskiej?

— Z pewnością nie — odparł prefekt — nie to bynajmniej miałem na myśli. Mówię jedynie o pewnych *obyczajach*, z których nie wszyst-

kie są takie, jakich mógłby pragnąć zarządca tego kraju.

Prefekt położył nacisk na słowie „obyczaj” i nadał swemu obliczu wyraz największej powagi, na jaki mogło się ono zdobyć. Wkrótce potem podniósł się z miejsca i pożegnał, unosząc przyrzeczenie, że miss Lidia raczy odwiedzić żonę jego w prefekturze.

Po jego odejściu miss Lidia rzekła:

— Trzeba mi było wybrać się aż na Korsykę, aby się dowiedzieć, co to „prefekt”. Ten wydaje się wcale miły.

— Co do mnie — odparł Orso — nie mogę tego powiedzieć; wydał mi się dość szczególny ze swoją uroczystą i tajemniczą miną.

Pułkownik utonął już w drzemce zbliżonej do prawidłowego snu; miss Lidia rzuciła okiem w jego stronę i rzekła, zniżając głos:

— A ja uważam, że on nie jest tak tajemniczy, jak pan utrzymuje, mam bowiem wrażenie, że go zrozumiała.

— Jest pani niewątpliwie bardzo przenikliwa, miss Nevil, ale jeżeli pani dopatrzyła się

jakiejś głębi w tym, co on tu powiadał, musiała pani chyba włożyć w to dużo dobrej woli.

— Hm... nie sędzę, ale... panie della Rebbia, chce pan, bym panu dała dowód mej przenikliwości? Jestem po trosze znachorką: wystarczy mi widzieć kogoś parę razy, aby znać jego myśli.

— Mój Boże! Przeraża mnie pani. Jeżeli pani umie czytać w moich myślach, nie wiem, czy powinienem być z tego rad, czy zmartwiony.

— Panie della Rebbia — ciągnęła miss Lidia, rumieniąc się — znamy się dopiero od kilku dni, ale na morzu i w barbarzyńskich krajach — daruje mi pan, mam nadzieję... — zatem, w barbarzyńskich krajach przyjaźń zawiera się szybciej niż na posadzce salonów... Nie zdziwi się pan zatem, jeśli ośmielę się mówić do pana jak przyjaciółka, o rzeczach nazbyt może osobistych, do których ktoś obcy nie powinien się mieszać.

— Och, niech pani nie używa tego słowa, miss Nevil; tamto było mi o wiele sympatyczniejsze.

— Dobrze więc! Zatem, winnam panu powiedzieć, że nie starając się przeniknąć pańskich tajemnic, mimo woli poznałam je, po części, i że są w nich rzeczy, które mnie martwią. Wiadome mi jest nieszczęście, które dotknęło pańską rodzinę; mówiono mi wiele o mściwym charakterze pańskich ziomków i ich sposobie szukania pomsty... Czy nie do tego prefekt czynił aluzję?

— Jak to, pani, miss Lidio, może myśleć!...

— To mówiąc, Orso pobladł jak śmierć.

— Nie, panie della Rebbia — przerwała — wiem, że pan jest gentlemanem i człowiekiem honoru. Powiedział mi pan sam, że w pańskim kraju już tylko prosty lud uznaje *vendettę*... którą podoba się panu nazywać formą pojedynku...

— Czy sądzi pani, że byłbym kiedykolwiek zdolny stać się mordercą?

— Skoro mówię z panem o tym, panie Orso, powinieneś rozumieć, że nie wątpię o panu. Jeżeli poruszyłam ten przedmiot, to dlatego, iż wyobrażałam sobie, że za powrotem do kraju, otoczony może barbarzyńskimi przesądami, będzie pan rad wiedzieć, że jest ktoś, kto pana szanuje za siłę, z jaką umiesz się im oprzeć. No — rzekła, podnosząc się z miejsca — nie mówmy już o tych brzydkich rzeczach; przyprawiają mnie o ból głowy, a zresztą jest bardzo późno. Nie ma pan do mnie urazy? Dobranoc, po angielsku. — To mówiąc, podała mu rękę.

Orso uścisnął dłoń z poważną i skupioną twarzą.

— Pani — rzekł — czy pani wie, że bywają chwile, w których instynkt mojej ziemi budzi się we mnie? Czasami, kiedy wspomnę o biednym ojcu... wówczas oblegają mnie okropne myśli. Dzięki pani jestem od nich na zawsze wyzwolony. Dziękuję, dziękuję!

Chciał mówić dalej, ale miss Lidia upuściła łyżeczkę i hałas obudził pułkownika.

— Della Rebbia, jutro o piątej, na łowy!
Bądź punktualny.

— Wedle rozkazu, pułkowniku.

V

Nazajutrz, na chwilę przed powrotem myśliwych, miss Nevil, wracając z przechadzki nad morzem, zbliżyła się do gospody z panną służącą, kiedy zauważyła młodą kobietę, czarno ubraną, siedzącą na niedużym, ale silnym koniku i właśnie wjeżdżającą do miasta. W ślad za nią jechał człowiek o typie wieśniaka, również konno, w kubraku z brunatnego sukna, dziurawym na łokciach, z bukłaczkiem przewieszonym przez ramię, z pistoletem u pasa; w ręce fuzja, której kolba tkwiła w skórzanej kieszeni, przymocowanej do łęku, słowem, w kompletnym rynsztunku opryszka z melodramatu lub mieszczanina korsykańskiego w podróży. Uderzająca piękność kobiety ściągnęła od pierwszego spojrzenia uwagę miss Nevil. Wyglądała na jakie dwadzieścia lat. Była słusznego wzro-

stu, biała, o ciemnoniebieskich oczach, różowej twarzy, zębach lśniących jak emalia. Na twarzy jej malowała się duma, niepokój i smutek. Na głowie miała welon z czarnego jedwabiu, zwany *mezzaro*, który Genueńczycy wprowadzili do Korsyki, a w którym tak jest do twarzy kobietom. Długie kasztanowate warkocze tworzyły jak gdyby turban dokoła głowy. Strój był schludny, ale nadzwyczaj prosty.

Miss Nevil miała czas napatrzeć się jej do woli, dama z *mezzaro* bowiem zatrzymała się na ulicy, wpytując kogoś z wielkim zainteresowaniem, jak można było wnosić z wyrazu oczu; następnie, otrzymawszy żądane wyjaśnienia, zacięła wierzchowca i ruszywszy ostrym kłusem, zatrzymała się aż przy bramie hotelu, gdzie mieszkali sir Tomasz Nevil i Orso. Tam, zamieniwszy kilka słów z gospodarzem, młoda kobieta zeskoczyła lekko i siadła na kamiennej ławce tuż przy drzwiach wchodowych⁶⁴, podczas gdy giermek jej odprowadzał konie do stajni. Miss Lidia przeszła w swoim paryskim ko-

⁶⁴*wchodowy* (daw.) — wejściowy. [przypis edytorski]

stiumie tuż obok nieznajomej, nie ściągnąwszy na siebie jej spojrzenia. W kwadrans później, otwierając okno, ujrzała jeszcze damę w *mezzaro*, siedzącą w tym samym miejscu i w tej samej pozycji. Niebawem pojawili się pułkownik i Orso, wracający z polowania. Wówczas gospodarz rzucił kilka słów panience w żałobie i wskazał palcem młodego della Rebbia. Zarumieniła się, podniosła żywo, postąpiła kilka kroków i zatrzymała się nieruchomo jak gdyby zdumiona. Orso stał też naprzeciw niej, przyglądając się z zaciekawieniem.

— Czy wy jesteście — rzekła wzruszonym głosem — Orso Antonio della Rebbia? Ja jestem Kolomba.

— Kolomba! — wykrzyknął Orso.

I biorąc ją w ramiona, uścisnął ją czule, co zdziwiło nieco pułkownika i jego córkę, jako że w Anglii nie ma zwyczaju ściskać się na ulicy.

— Bracie — rzekła Kolomba — daruj, że przybyłam bez twego rozkazu, ale dowiedziałam się od przyjaciół, żeś wrócił i było to dla mnie tak wielką pociechą ujrzeć cię...

Orso uścisnął ją jeszcze raz; następnie, zwracając się do pułkownika:

— To moja siostra — rzekł. — Nigdy nie byłbym jej poznał, gdyby się sama nie nazwała. Kolombo, pułkownik sir Tomasz Nevil. Pułkowniku, zechcesz mi darować, ale nie będę miał zaszczytu obiadować z panem dzisiaj... Siostra...

— Ech, gdzież tedy, u diabła, chcesz jeść obiad, mój drogi? — wykrzyknął pułkownik. — Wiesz dobrze, że jest tylko jeden stół w tej przeklętej oberży i że zatrzymano go dla nas. Siostra pańska zrobi wielką przyjemność mojej córce, jeśli przyjmie nasze towarzystwo.

Kolomba spojrzała na brata, który nie dał się zbytnio prosić i wszyscy razem weszli do największej sali w oberży, która służyła pułkownikowi za salon i jadalnię. Panna della Rebbia, którą Orso przedstawił miss Nevil, złożyła głęboki ukłon, ale nie rzekła ni słowa. Widać było, że jest bardzo spłoszona i że może po raz pierwszy w życiu znajduje się w obecności dystygowanych cudzoziemców. Mimo to

w obejściu jej nie było nic, co by trąciło prowincją. Oryginalność ratowała u niej nieobyćcie. Przez to właśnie spodobała się miss Lidii, że zaś nie było w hotelu innego pokoju prócz tych, które zajął pułkownik i jego towarzystwo, miss Nevil posunęła uprzejmość lub ciekawość do tego stopnia, iż kazała ustawić łóżko panny della Rebbia we własnym pokoju.

Kolomba wyjąkała parę słów podziękowania i pospieszyła natychmiast za pokojówką miss Lidii, celem dokonania drobnych starań toaletowych, niezbędnych po konnej podróży w kurz i słońce.

Wracając do salonu, zatrzymała się przed fuzjami pułkownika, które myśliwcy złożyli w kącie.

— Ładna broń! — rzekła. — Czy to twoja, bracie?

— Nie, to angielskie fuzje pułkownika. Są równie dobre jak piękne.

— Chciałabym bardzo — rzekła Kolomba — abyś i ty miał podobną.

— Oczywiście, że jedna z tych trzech należy do della Rebbii — wykrzyknął pułkownik. — Zanadto dobrze się nimi posługuje. Dzisiaj czternaście strzałów, czternaście sztuk zwierzy-
ny.

Natychmiast wszczął się pojedynek na szlachetność, z którego Orso wyszedł zwyciężony, ku wielkiemu zadowoleniu siostry, co łatwo można było poznać z wyrazu dziecinnej radości, jaki błysnął na jej twarzy, przed chwilą tak poważnej.

— Wybieraj, drogi chłopcze.

Orso wzbraniał się.

— Dobrze więc, niech siostrzyczka wybierze za pana.

Kolomba nie dała sobie dwa razy powtarzać: wzięła fuzję najmniej strojną, ale był to znakomity manton⁶⁵ dużego kalibru.

— Ta — rzekła — musi dobrze nieść kule.

Zakłopotany brat rozwodził się w podziękowaniach, kiedy bardzo w porę zjawił się obiad

⁶⁵*Manton* — marka gładkolufowych strzelb skałkowych produkowanych przez londyńską spółkę braci Josepha i Johna Mantonów na przełomie XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

i przeciął sytuację. Miss Lidia spostrzegła z zachwytem, iż Kolomba, która wzdragająca się nieco sięść do stołu i ustąpiła jedynie pod spojrzeniem brata, uczyniła, jak dobra katoliczka, znak krzyża, nim się wzięła do jedzenia.

„Brawo! — pomyślała. — To coś prymitywnego”.

I obiecywała sobie zebrać niejedną interesującą obserwację w towarzystwie tej młodej reprezentantki starych obyczajów Korsyki. Co do Orsa, czuł się widocznie trochę nieswojo, niewątpliwie z obawy, aby siostra nie powiedziała lub nie uczyniła czegoś, co by zanadto trąciło zapadłą wioską. Ale Kolomba przyglądała mu się bezustannie i we wszystkim, co robiła, naśladowała brata. Czasami wlepiała w niego baczny wzrok, ze szczególnym wyrazem smutku; wówczas, jeśli oczy Orsa spotkały się z jej oczyma, on pierwszy odwracał spojrzenie, jak gdyby chciał uniknąć zapytania, które siostra zwracała doń w myśli, a które rozumiał zbyt dobrze. Mówiono po francusku, gdyż pułkownik wystawiał się bardzo ciężko po włosku. Ko-

lomba rozumiała francuski język; wymawiała nawet wcale nieźle tych niewiele słów, które była zmuszona wymienić z gospodarstwem⁶⁶.

Po obiedzie pułkownik, który zauważył pewne skrępowanie między bratem a siostrą, zapytał, ze zwykłą szczerością, Orsa, czy nie pragnie pomówić sam na sam z panną Kolombą, ofiarując się w takim razie przejść wraz z córką do sąsiedniej sali. Ale Orso podziękował skwapliwie, mówiąc, iż będą mieli dość czasu nagadać się w Pietranera. Była to nazwa wioski, która miała służyć mu za rezydencję.

Pułkownik zajął tedy zwyczajne miejsce na sofie, miss Nevil zaś, spróbowawszy rozmaitych przedmiotów rozmowy i zwątpiwszy, aby zdołała rozgadać piękną Kolombę, poprosiła Orsa, by jej przeczytał coś z Dantego⁶⁷: był to jej ulubiony poeta. Orso wybrał ową pieśń z *Piekieła*, w której znajduje się epizod Franceski z Ri-

⁶⁶*gospodarstwo* — tu: gospodarz i gospodyni. [przypis edytorski]

⁶⁷*Alighieri, Dante* (1265–1321) — poeta wł., autor *Boskiej Komedii*, poematu opisującego podróż w zaświaty: poprzez kolejne kręgi piekieła, czyściec do nieba. [przypis edytorski]

mini⁶⁸, i zaczął czytać, akcentując, jak umiał najlepiej, cudowne tercyny⁶⁹, które tak dobrze wyrażają niebezpieczeństwo czytania we dwoje miłosnej książki. W miarę jak czytał, Kolomba zbliżała się do stołu, podnosiła głowę, poprzecznie spuszczoną; źrenice jej, rozszerzone, błyszczały dziwnym ogniem; czerwieniała i biała na przemian, poruszała się konwulsyjnie na krześle. Cudowna dusza włoska, która dla zrozumienia poety nie potrzebuje, aby bakałarz⁷⁰ wskazywał jej piękności!

Skoro ukończono czytanie, krzyknęła:

— Jakie to piękne! Kto to napisał, bracie?

⁶⁸pieśń z Piekła, w której znajduje się epizod Franceski z Rimini — w Pieśni V Piekła z Boskiej Komedii Dantego występuje potępiona dusza Franceski da Rimini (da Polenta) (1255–ok. 1285). Francesca została wydana za mąż za panującego w Rimini ułomnego Giovanniego Malatesta, lecz zakochała się w Paolo, młodszym bracie męża. Giovanni przyłapał kochanków w sypialni i zabił obydwoje. [przypis edytorski]

⁶⁹tercyna — układ stroficzny stosowany w Boskiej komedii Dantego: wiersz o strofach złożonych z trzech wersów, najczęściej jedenastozgłoskowych, łączących się między sobą rymami w układzie aba, bcb, cdc itd. [przypis edytorski]

⁷⁰bakałarz (daw.) — tu pogard.: nauczyciel. [przypis edytorski]

Orso zmieszał się nieco, miss Lidia zaś odparła z uśmiechem, że to poeta florentyński, zmarły przed kilku wiekami⁷¹.

— Będziemy czytali Dantego — rzekł Orso — skoro znajdziemy się w Pietranera.

— Bracie! Jakie to piękne! — powtarzała Kolomba; i zaczęła recytować kilka tercyn, które zapamiętała, zrazu półgłosem, następnie, ożywiając się, oddeklamowała je głośno, z większym wyrazem niż brat włożył go w czytanie.

Miss Lidia zdziwiła się.

— Widzę, że pani bardzo kocha poezję — rzekła. — Jakże zazdroszczę pani rozkoszy, iż będziesz mogła czytać Dantego jako nową książkę!

— Widzi pani, miss Nevil — rzekł Orso — jaką potęgę mają wiersze Dantego, jeśli mogą tak wzruszyć tę małą dzikuskę, znającą tylko swój *Ojczyzna*... Ale myślę się: przypomina mi się, że Kolomba należy do cechu. Dzieckiem⁷² jeszcze, bawiła się układaniem wier-

⁷¹*przed kilku wiekami* — dziś popr.: przed kilkoma wiekami. [przypis edytorski]

⁷²*dzieckiem* — tu: będąc dzieckiem; jako dziecko. [przypis edytorski]

szy i ojciec pisał mi, że jest największą *voceratrice*⁷³ na całą Pietranera i dwie mile wkoło.

Kolomba rzuciła bratu błagalne spojrzenie. Miss Nevil wiedziała ze słyszenia o korsykańskich improwizatorkach i umierała z ochoty, aby którą posłyszeć. Jakoż zaczęła prosić Kolomby, aby jej dała próbkę swego talentu. Wówczas Orso sprzeciwił się, bardzo nierad, że tak nie w porę przypomniał sobie talenty poetyckie siostry. Ale daremnie przysięgał, że nie ma nic mniej interesującego niż korsykańska *ballata*, daremnie się zaklinał, że recytować korsykańskie wiersze po poezji Dantego znaczy zdradzać swój kraj; tym więcej jedynie podrażnił kaprys miss Nevil, i w końcu zmuszony był powiedzieć siostrze:

— Więc dobrze! Zaimprovizuj, ale coś krótkiego.

Kolomba westchnęła, wlepiała przez chwilę uważny wzrok w obrus, następnie w strop; wreszcie, przysłaniając ręką oczy jak owe ptaki,

⁷³*voceratrice* — na Korsyce: kobieta, która śpiewa hymny żałobne wierszem (*vocero*). [przypis edytorski]

które czują się bezpieczne i myślą, że ich nikt nie widzi, kiedy nie widzą same, odśpiewała, lub raczej wypowiedziała niepewnym głosem, następującą *serenatę*:

MŁODA DZIEWCZYNA I DZIKI GOŁĄB

W dolinie, daleko za górami — słońce pojawia się tylko na godzinę w dniu — jest tam w dolinie posępne domostwo — i trawa rośnie tam na progu. — Drzwi, okna zawsze są zamknięte. — Nigdy dym nie wznosi się z dachu. — Ale w południe, gdy zjawi się słońce, otwiera się wówczas okno — i siada w nim sierota, przedąc na kołowrotku — przedzie i śpiewa przy pracy — śpiew żałoby i smutku; ale żaden śpiew nie odpowiada jej głosowi. — Jednego dnia wiosną — dziki gołąb usiadł na sąsiednim drzewie — i usłyszał śpiew młodej dziewczyny. — Dziewczyno, rzekł, nie ty jedna płaczesz, okrutny jastrząb wydarł mi towarzyszkę. — Gołębiu dziki, po-

każ mi jastrzębia rabusia — choćby był tak wysoko jak chmury — wnet zestrzełę go na ziemię. — Ale mnie, biednej dziewczynie, któż odda mi brata — brata mego, żyjącego hen, w dalekim kraju? — Młoda dziewczyno, powiedz mi, gdzie twój brat — a skrzydła moje zanosą mnie ku niemu.

— Oto mi dziki gołąb doskonale wychowany! — wykrzyknął Orso, ściskając siostrę ze wzruszeniem, tworzącym kontrast z żartobliwym tonem, jaki silił się przybrać.

— Piosenka pani jest urocza — rzekła miss Lidia. — Musi mi ją pani koniecznie wpisać w mój album. Przełożę ją na angielski i każę dorobić muzykę.

Dzielny pułkownik, który nie zrozumiał ani słowa, dołączył swoje komplementy do zachwytów córki. Następnie dodał:

— Ów dziki gołąb, o którym pani mówiła, to ten ptaszek, którego jedliśmy dzisiaj z farшем?

Miss Nevil przyniosła album i z niemałym zdziwieniem patrzyła, jak improwizatorka wpisuje swą piosnkę, oszczędzając papieru w osobliwy sposób. Zamiast szeregować się oddzielnie, wiersze biegły za sobą w jednej linii, o tyle, o ile pozwalała na to szerokość kartki, tak iż nie odpowiadały znanemu określeniu poetyckich utworów: „Małe linijki nierównej długości, z marginesem po każdej stronie”. Można było też uczynić parę zastrzeżeń co do kapryśnej cokolwiek ortografii panny Kolomby: ortografia ta wywołała niejednokrotnie uśmiech miss Nevil, próżność zaś braterska Orsa była na torturach.

Ponieważ nadeszła godzina spoczynku, obie panny udały się do swego pokoju. Tam, gdy miss Lidia odpinała naszyjnik, kolczyki, bransolety, zauważyła, iż towarzyszka jej wyjmuje spod sukni coś długiego na kształt brykli⁷⁴, odmiennego wszakże. Kolomba ułożyła ten przedmiot bardzo starannie i prawie ukradkiem pod

⁷⁴*brykla* (daw.) — stalowa lub fiszbinowa listewka w gorsecie. [przypis edytorski]

mezzaro na stole; następnie uklękała i zmówiła ze skupieniem pacierz. W dwie minuty później była już w łóżku. Bardzo ciekawa z natury i jak prawdziwa Angielka powolna w rozbieraniu, miss Lidia zbliżyła się do stołu i udając, że szuka szpilki, podniosła *mezzaro*. Ujrzała dość długi sztylet, oryginalnie oprawny w perłową masę i srebro; wykonanie było bardzo staranne i zdradzało starą broń, wielkiej ceny dla amatora.

— Czy to zwyczaj tutejszy — rzekła miss Nevil z uśmiechem — że panienki noszą ten instrumencik w sznurówce?

— Ha, trzeba! — odparła Kolomba z westchnieniem. — Tyłu jest niedobrych ludzi!

— I miałyby pani naprawdę odwagę uderzyć w ten sposób?

I miss Nevil, ze sztyletem w dłoni, uczyniła ruch, jak gdyby zadawała pchnięcie, tak jak się je zadaje w teatrze, z góry na dół.

— Tak, gdyby było trzeba — rzekła Kolomba słodkim i melodyjnym głosem — aby się bronić lub bronić mych bliskich... Ale nie

tak należy trzymać; mogłaby się pani zranić sama, gdyby osoba, którą chcesz uderzyć, usunęła się. — I podnosząc się na łóżku — ot, tak — rzekła, naśladowując uderzenie sztyletem. — W ten sposób podobno cios jest śmiertelny. Szczęśliwi ludzie, którzy nie potrzebują takich broni!

Westchnęła, opuściła głowę na poduszki i zamknęła oczy. Niepodobna wyobrazić sobie piękniejszej, szlachetniejszej, bardziej dziewiczej głowy. Fidiasz, rzeźbiąc swą Minerwę⁷⁵, nie pragnąłby innego modelu.

VI

Wchodząc w ten sposób po prostu *in medias res*⁷⁶, pragnąłem się trzymać przepisu Horace-

⁷⁵Fidiasz, rzeźbiąc swą Minerwę — grecki rzeźbiarz Fidiasz (ok. 490 – ok. 430 p.n.e.) wykonał słynną rzeźbę Ateny Partenos (dziewicy), stanowiącą główny posąg kultowy świątyni Partenon na ateńskim Akropolu. Boginię Atenę, patronkę mądrości, rzemiosła i sztuki, utożsamiano z rzymską Minerwą. [przypis edytorski]

⁷⁶*in medias res* (...) przepisu Horacego — *in medias res* (łac.: w środku spraw), termin wprowadzony przez Horacego w *Ars poetica*: sposób narracji, w którym opowiadanie historii zaczyna się w środku wydarzeń, w przeciwieństwie do opowiadania od najwcześniejszego ze zdarzeń. [przypis edytorski]

go. Teraz, kiedy wszystko śpi, i piękna Kolomba i pułkownik, i jego córka, skorzystam z chwili, aby powiadomić czytelnika o pewnych właściwościach, które nie powinny mu zostać obce, jeżeli pragnie się zapuścić dalej w tę bardzo wiarygodną historię. Wiadomo mu już, że pułkownik della Rebbia, ojciec Orsa, zginął zamordowany: otóż nie zdarza się na Korsyce, jak to bywa we Francji, aby człowiek padł zamordowany przez byle zbiegłego galernika, który nie znajduje lepszego sposobu, aby ukraść stołowe srebro. Jeżeli się ginie tutaj, to z ręki nieprzyjaciela; ale powód, dla którego ma ktoś nieprzyjaciół, bywa niekiedy bardzo trudny do określenia. Wiele rodzin nienawidzi się ze starego przyzwyczajenia, gdy tradycja pierwotnej przyczyny nienawiści zatraciła się już zupełnie.

Rodzina, do której należał pułkownik della Rebbia, nienawidziła wielu innych rodzin, ale zwłaszcza Barricinich. Niektórzy mówili, iż w XVI wieku jeden z della Rebbiów uwiódł córkę Barricinich i w następstwie padł od sztyletu krewnego zhańbionej dziewczyny. Tyle jest

pewne, iż, aby się posłużyć uświęconym wyrażeniem, była krew między dwoma domami. Bądź co bądź, wbrew zwyczajowi, mord ten nie pociągnął za sobą dalszych; a to dlatego, że ponieważ i della Rebbia, i Barriciniowie byli zarówno prześladowani przez rząd i młodym ludziom trzeba było się ekspatriować⁷⁷, obie rodziny postradały na kilka pokoleń najżywotniejszych swych przedstawicieli.

Z końcem ubiegłego wieku jeden della Rebbia, oficer w służbie Neapolu, wdał się w podejrzanej gospodzie w kłótnię z wojskowymi, którzy, wśród innych zniewag, nazwali go korsykańskim pastuchem. Oficer dobył szpady; ale sam przeciw trzem byłby źle wyszedł z przygody, gdyby obcy jakiś, oddający się właśnie w tej samej mordowni grze w karty, nie wykrzyknął: „Ja też jestem Korsykanin!” i nie stanął w jego obronie. Ten obcy to był Barricini, który zresztą nie znał swego krajana. Skoro przyszło do wyjaśnień, nastąpiły z obu stron wielkie czułości i przysięgi wiecznej przyjaźni; jako iż na

⁷⁷ekspatriować się (z łac.) — opuścić ojczyznę. [przypis edytorski]

stałym łądzie Korsykanie zbliżają się łatwo, zupełnie przeciwnie jak na swej wyspie.

Pokazało się to jawnie w tej okoliczności: della Rebbia i Barricini byli serdecznymi przyjaciółmi, póki bawili we Włoszech; ale za powrotem na Korsykę widywali się już rzadko, mimo iż obaj mieszkali w tej samej wiosce. Kiedy pomarli, powiadano, iż od dobrych kilku lat przestali mówić do siebie.

Synowie ich żyli tak samo „w etykiecie”, jak to się nazywa na wyspie. Jeden, Ghilfuccio, ojciec Orsa, był wojskowym; drugi, Giudice Barricini, adwokatem. Stawszy się obaj głowami rodzin i rozdzieleni zawodem, nie mieli już prawie wcale sposobności widywać się lub słyszeć wzajem o sobie.

Mimo to jednego dnia, około 1809, Giudice, wyczytawszy w Bastii⁷⁸ w dzienniku, że kapitan Ghilfuccio otrzymał krzyż Legii, powiedział wobec świadków, iż nie dziwi się temu, ile że generał *** popiera jego rodzinę. Ode-

⁷⁸*Bastia* — główne miasto handlowe i przemysłowe na Korsyce, położone w płn.-wsch. części wyspy. [przypis edytorski]

zwanie to powtórzono w Wiedniu kapitanowi Ghilfuccio, który wyraził się do swego ziomka, iż za powrotem na Korsykę zastanie Giudice Barraciniego wielce bogatym człowiekiem, ponieważ jako adwokat ciągnie więcej zysków z procesów, które przegrywa, niż z tych, które wygrywa. Nigdy nie można było dojść, czy kapitan chciał przez to dać do zrozumienia, że adwokat zdradza swych klientów, czy też ograniczał się do wyrażenia tej pospolitej prawdy, że zła sprawa przynosi prawnikowi więcej niż dobra. Jak bądź się rzeczy miały, adwokat Barricini dowiedział się o tym przycinku i nie zapomniał go.

W roku 1812 ubiegał się o godność mera⁷⁹ i miał wszelkie widoki, kiedy generał *** napisał do prefekta, zalecając mu krewnego żony Ghilfuccia. Po upadku cesarza w 1814 protegowany generała, zadenuncjowany⁸⁰ jako bonapartysta, musiał ustąpić miejsca Barriciniemu.

⁷⁹*mer* — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

⁸⁰*zadenuncjować* — złożyć na kogoś donos, potajemnie poinformować władzę o czyimś niezgodnym z prawem postępowaniu. [przypis edytorski]

Z kolei tego ostatniego usunięto podczas *Stu Dni*⁸¹, ale po tej burzy objął z wielką pompą z powrotem pieczęć i registry⁸² stanu cywilnego.

Od tej chwili gwiazda jego błysła jaśniej niż kiedykolwiek. Pułkownik della Rebbia, spensjonowany i zamieszkały w Pietranera, musiał cierpieć głuchą wojnę nieustannie wznawianych dokuczliwości: to skazywano go na zwrot szkód, wyrządzonych przez jego konia w zagrodzie pana mera, to znów ten, pod pozorem odnawiania posadzki w kościele, kazał usunąć płytę noszącą herby della Rebbiów i pokrywającą grobowiec członka tej rodziny. Jeżeli kozy objadły młode szczepy pułkownika, właściciele zwierząt znajdowali ochronę u pana mera; stopniowo sklepikarz, który dzierżawił biuro pocztowe w Pietranera, i strażnik polny, stary żołnierz inwalida, obaj klienci rodziny della Rebbia, zo-

⁸¹*Sto Dni* — okres powtórnej władzy Napoleona Bonaparte: od opuszczenia wyspy Elby i wkroczenia do Paryża do porażki w bitwie pod Waterloo i ponownej abdykacji, trwający od marca do czerwca 1815. [przypis edytorski]

⁸²*registr* (daw.) — rejestr, spis. [przypis edytorski]

stali usunięci i zastąpieni przez kreatury Barri-
cinich.

Żona pułkownika, umierając, wyraziła pra-
gnienie, aby ją pochowano w lasku, gdzie lubiła
się przechadzać; natychmiast mer zawyroko-
wał, że ma być pochowana na cmentarzu, zwa-
żywszy, że nie otrzymał upoważnienia na po-
zwolenie oddzielnego grobu. Pułkownik, wście-
kły, oświadczył, że nim przyjdzie to upoważ-
nienie, pochowa żonę w miejscu, które wybra-
ła; jakoż kazał wykopać dół na cmentarzu i we-
zwał żandarmerię, iżby, jak mówił, siła stanęła
przy prawie.

W dzień pogrzebu dwa stronnictwa zna-
lazły się oko w oko i można było obawiać się
przez chwilę, aby się nie wywiązała walka o szcząt-
ki pani della Rebbia. Kilkudziesięciu dobrze uzbro-
jonych chłopów, sprowadzonych przez krew-
nych nieboszczki, zmusiło proboszcza, aby z ko-
ścioła skierował się ku lasowi; z drugiej strony
mer wraz z dwoma synami, stronnikami swy-
mi i żandarmerią zastąpił drogę, przeszkadza-
jąc temu. Skoro się pojawił i nakazał konduk-

towi odwrót, przewaga liczebna była po stronie przeciwników, którzy zdawali się gotowi na wszystko. Na widok mera zaczęto nabijać strzelby, powiadają nawet, że jakiś pasterz wziął go na cel, ale pułkownik podbił mu fuzję, mówiąc: „Niech nikt nie waży się strzelać bez mego rozkazu”. Mer, który — jak Panurg⁸³ — „z natury swojej obawiał się guzów”, uchylił się od bitwy, usuwając się wraz z eskortą: wówczas kondukt ruszył dalej, troskliwie wybierając najdłuższą drogę, aby przejść tuż pod oknami merostwa. W czasie tej defilady jakiemuś idiocie, który przyłączył się do pochodu, wpadło do głowy krzyknąć: „Niech żyje cesarz!” Parę głosów odpowiedziało; co więcej, rebbianiści, rozpalając się coraz więcej, już, już, mieli zabić wołu pana mera, który przypadkowo zagroził im drogę. Szczęściem pułkownik przeszkodził temu gwałtowi.

Można się domyślić, iż sporządzono protokół zajścia i że mer, najgodniejszym stylem ja-

⁸³*Panurg* — jeden z bohaterów powieści Rabelais’go *Gargantua i Pantagruel*.
[przypis edytorski]

kim rozporządzał, zdał prefektowi raport, wedle którego zdeptano prawa boskie i ludzkie, zapoznano⁸⁴ i znieważono powagę jego, mera, jak również i proboszcza; pułkownik della Rebbia stanął na czele bonapartystowskiego spisku, aby zmienić porządek dziedzictwa tronu i pobudzić obywateli do bratobójczej walki: zbrodnie, przewidziane w paragrafie 86 i 91 kodeksu karnego.

Przesada skargi osłabiła jej skutek. Pułkownik napisał do prefekta, do prokuratora: krewny jego żony spowinowacony był z jednym z posłów, inny znów skuzynowany z prezydentem trybunału. Dzięki tym stosunkom spisek rozwiął się we mgle, pani della Rebbia została w lesie, idiotę tylko skazano na dwa tygodnie więzienia.

Adwokat Barricini, niezaspokojony rezultatem, obrócił baterie w innym kierunku. Wygrzebał stary dokument, wedle którego postanowił zaprzeczyć pułkownikowi własności stru-

⁸⁴zapoznawać kogoś (daw.) — nie doceniać kogoś; przeoczać, zapominać o kimś. [przypis edytorski]

mienia, który obracał młyn. Wszczął się proces, wlokący się długo. Po roku trybunał gotował się wydać wyrok, i to prawdopodobnie na korzyść pułkownika, kiedy pan Barricini złożył w ręce prokuratora list podpisany przez niejakiego Agostini, słynnego bandytę, który groził jemu, merowi, pożogą i śmiercią, jeżeli nie odstąpi od swych pretensji. Wiadomo, że na Korsyce poparcie bandytów jest bardzo poszukiwane i że dla wygodzenia przyjaciółom interweniują oni często w prywatnych sporach. Mer bliski już był wyzyskania listu na swą korzyść, kiedy nowe wydarzenie powikłało sprawę. Bandyta Agostini napisał do prokuratora, skarżąc się, iż podrobiono jego pismo i rzucano wątpliwe światło na jego charakter, przedstawiając go jako człowieka, który frymarczy⁸⁵ swoim wpływem: „Jeśli odkryję fałszerza — powiadał, kończąc list — ukarzę go przykładowie”.

Jasnym było, że Agostini nie pisał listu z pogroźkami do mera; della Rebbiowie oskarża-

⁸⁵frymarczyć — handlować, kupczyć. [przypis edytorski]

li Barricinich i *vice versa*⁸⁶. Z obu stron padały pogrożki, a organy sprawiedliwości nie wiedziały, po której stronie szukać winowajców.

Wśród tych okoliczności nagle pułkownik Ghilfuccio został zamordowany. Oto fakty, jak je ustalono w śledztwie: Dnia 2 sierpnia 18..., o zachodzie słońca, niejaka Magdalena Pietri, niosąc zboże do Pietranera, usłyszała dwa strzały, jeden tuż po drugim, oddane, jak się jej zdawało, w wąwozie prowadzącym ku wiosce, o jakie sto pięćdziesiąt kroków. Prawie równocześnie ujrzała człowieka, który silnie pochyłony biegł ścieżką przez winnicę, kierując się ku wiosce. Człowiek ten zatrzymał się na chwilę i odwrócił, ale odległość nie pozwoliła rzeczonyj Pietri rozpoznać jego rysów; zresztą miał w ustach liść winny, który zasłaniał mu prawie całą twarz. Dał ręką znak, jak gdyby kamratowi, którego świadek nie dostrzegł, po czym zniknął wśród wina.

Kobieta, złożywszy swoje brzemie, pobiegła ścieżką i znalazła pułkownika della Rebbia

⁸⁶*vice versa* (łac.) — na odwrót. [przypis edytorski]

we krwi, przeszytego dwiema kulami, ale od-
dychającego jeszcze.

Tuż obok leżała jego strzelba, nabita, z od-
wiedzionym kurkiem, jak gdyby gotował się do
obrony przed kimś, kto go napadał z przodu,
w chwili gdy drugi napastnik ugodził go z tyłu.

Pułkownik rzeził i pasował się ze śmier-
cią, ale nie mógł wymówić ani słowa, co leka-
rze objaśnili charakterem ran, przechodzących
przez płuca. Krew dławiła go; płynęła wolno,
czerwoną pianą. Na próżno Pietri podnosiła go
i zadała kilka pytań. Widziała, że chce mówić,
ale nie mógł dobyć głosu. Zauważywszy, że usi-
łuje ręką sięgnąć do kieszeni, pomogła wydo-
być mały notatnik i podała mu go. Ranny wyjął
z notatnika ołówek i próbował pisać. W isto-
cie, świadek widział, iż z trudem nakreślił kilka
liter; ale nie umiejąc czytać, kobieta nie mogła
zrozumieć ich znaczenia.

Wyczerpany tym wysiłkiem pułkownik zo-
stawił portfel w ręce Magdaleny Pietri, którą to
rękę uścisnął silnie, patrząc na kobietę w szcze-
gólny sposób, jak gdyby chciał powiedzieć (ta-

kie były słowa świadka): „To ważne, to imię mego mordercy”.

Pietri wracała do wsi, kiedy spotkała pana mera Barricini wraz z synem Vincentello. Była już wówczas prawie noc. Opowiedziała, co widziała. Mer wziął pugilares⁸⁷ rannego i pobiegł do merostwa przypasać szarfę i wezwać sekretarza oraz żandarmerię. Zostawszy sama z młodym Vincentello, Magdalena Pietri starała się go skłonić, aby pośpieszył z pomocą pułkownikowi, w razie jeśli jeszcze żyje; ale Vincentello odpowiedział, iż gdyby się zbliżył do człowieka, który był zaciekłym nieprzyjacielem jego rodziny, niechybnie oskarżono by go, że go zamordował. Niebawem przybył mer; zastał pułkownika bez życia, kazał uprzątnąć trupa i spisał protokół.

Mimo wzruszenia, naturalnego w tych okolicznościach, pan Barricini skwapliwie opieczętował portfel pułkownika i zarządził wszystkie dochodzenia, jakie były w jego mocy; ale żadne nie doprowadziło do jakiegoś ważnego od-

⁸⁷*pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

krycia. Kiedy przybył sędzia śledczy, otwarto portfel: na stronicy, powalanej krwią, ujrza-
no kilka liter, nakreślonych omdlewającą ręką,
ale nieczytelnych. Było tam napisane: „Ago-
sti...” i sędzia nie wątpił, iż pułkownik chciał
wskazać Agostiniego jako mordercę. Jednakże
Kolomba della Rebbia, wezwana przed sędzie-
go, domagała się, aby jej pokazano notatnik.
Przeglądała go długo, po czym wyciągnęła rę-
kę w stronę mera i krzyknęła: „Oto morderca!”

Wówczas ze ścisłością i jasnością, zdumie-
wającą w porywie bóleści, w jakiej była po-
grążona, opowiedziała, iż ojciec jej, otrzymaw-
szy przed paru dniami list od syna, spalił go,
ale nim to uczynił, zapisał ołówkiem w notat-
niku adres Orsa, który świeżo zmienił garni-
zon. Otóż adresu tego w notatniku nie było,
z czego Kolomba wniosowała, że mer wydarł
ćwiartkę, na której był on napisany, tę samą
najoczywiściej, na której ojciec nakreślił imię
mordercy; w miejsce tego imienia mer (wciąż
wedle twierdzenia Kolomby) podstawił nazwi-
sko Agostiniego. Sędzia stwierdził w istocie, że

brakuje w notatniku kartki, w pobliżu miejsca, gdzie zapisane było imię, ale niebawem zauważył, że brak również kartek w innych miejscach; świadkowie zaś zeznali, iż pułkownik miał zwyczaj wydzierać kartki z notatnika, kiedy chciał zapalić cygaro; nic prawdopodobniejszego zatem, jak to, że spalił przez nieuwagę zanotowany adres. Co więcej, stwierdzono, że mer, otrzymawszy portfel z rąk Magdaleny Pietri, nie mógł nic w nim wyczytać z przyczyny ciemności; udowodniono, że nie zatrzymał się ani na chwilę, nim wszedł do merostwa; dalej, że sierżant żandarmerii towarzyszył mu do biura i widział, jak mer zapala lampę, kładzie portfel do koperty i opieczętowuje ją w jego oczach.

Kiedy sierżant skończył zeznania, Kolomba współprzytomna rzuciła się do jego kolan, błagając na wszystko, co ma najświętszego, aby oświadczył, czy nie zostawił mera ani na chwilę samego. Po chwili wahania sierżant, widocznie wzruszony podnieceniem młodej dziewczyny, wyznał, iż poszedł do sąsiedniego pokoju po arkusz papieru, ale nie bawił tam ani minuty

i że gdy szukał po omacku papieru w szufladzie, mer nie przestał ani na chwilę doń mówić. Zresztą zaświadczył, iż kiedy wrócił, zakrwawiony portfel znajdował się na tym samym miejscu na stole, gdzie mer zostawił go, wchodząc.

Pan Barricini zeznawał z wielkim spokojem. Tłumaczy sobie, powiadał, uniesienie panny della Rebbia i godzi się poniżyć aż do uniewinnienia. Udowodnił, iż przez cały wieczór nie opuszczał wsi; syn jego, Vincentello, znajdował się wraz z nim pod merostwem w chwili popełnienia zbrodni; wreszcie drugi syn, Orlanduccio, nawiedzony tego dnia febrą⁸⁸, nie ruszył się z łóżka. Przedstawił wszystkie strzelby z całego domu, żadna nie zdradzała śladów świeżego użytku. Dodał, iż co się tyczy portfela, zrozumiał od razu jego doniosłość; złożył go pod pieczęcią i oddał w ręce sekretarza, przewidując, iż z racji swych swarów z pułkownikiem może być podejrzewany. Przypomniawszy wreszcie, iż Agostini groził śmiercią temu, kto

⁸⁸*febra* (daw.) — gorączka połączona z dreszczami. [przypis edytorski]

napisał list w jego imieniu, i nasunął przypuszczenie, iż ten nędznik, widocznie podejrzewając pułkownika, zamordował go. W obyczajach bandytów zemsta z podobnych pobudek nie jest bez przykładu.

W pięć dni po śmierci pułkownika della Rebbia Agostini, zaskoczony przez oddział woltyżerów⁸⁹, poległ po rozpaczliwej obronie. Znalaziono przy nim list Kolomby, zaklinający go, aby wyznał, czy jest winny mordowi, jaki mu przypisywano. Ponieważ bandyta nie dał odpowiedzi, wyciągnięto stąd dość powszechnie wniosek, że nie miał odwagi wyznać córce, iż zamordował jej ojca. Osoby wszakże, które twierdziły, iż dobrze znają charakter Agostiniego, szepotały po cichu, że gdyby zabił pułkownika, byłby się tym szczycił. Inny bandyta, znany pod nazwiskiem Brandolaccio, wręczył Kolombie oświadczenie, w którym *honorem* zaświadczał niewinność kolegi; ale jedynym dowodem, jaki przy-

⁸⁹*woltyżer* — żołnierz wyborowej piechoty wojsk napoleońskich na początku XIX w., wyszkolony do walki w szyku rozproszonym; woltyżerów używano do działań rozpoznawczych, osłonowych, ubezpieczeń przemarszów oraz nękania nieprzyjaciela. [przypis edytorski]

taczał, było, iż Agostini nigdy nie zdradził niczym, jakoby podejrzewał pułkownika.

W konkluzji rodziny Barricini nie pociągnięto do żadnych dochodzeń; sędzia śledczy obsypał mera pochwałami; ten ostatni zaś uwieńczył swe piękne postępowanie, zrzekając się wszystkich pretensji co do strumienia, o który toczył proces z pułkownikiem della Rebbia.

Kolomba zaimprovizowała, obyczajem krajowym, *ballatę* nad zwłokami ojca, w obecności zgromadzonych przyjaciół. Dała w niej upust nienawiści przeciw Barricininim i obwiniała ich wręcz o morderstwo, grożąc zarazem zemstą brata. Tę to *ballatę*, która stała się bardzo popularna, śpiewał majtek w obecności miss Lidii. Dowiadując się o śmierci ojca, Orso, wówczas w północnej Francji, poprosił o urlop, ale nie mógł go otrzymać. Zrazu, pod wpływem listu siostry, uwierzył w winę Barricininich; ale niebawem otrzymał kopię wszystkich dokumentów śledztwa, osobny zaś list sędziego dał mu niemal zupełne przeświadczenie, iż bandyta Agostini był tu jedynym winowajcą.

Co parę miesięcy Kolomba pisała doń, aby mu powtórzyć swe podejrzenia, które nazywała dowodami. Oskarżenia te, mimo jego woli, przyprawiały o wrzenie korsykańską krew Orsa; niekiedy zgoła skłonny był podzielić uprzedzenia siostry. Mimo to za każdym razem, kiedy pisał do niej, powtarzał, że poszlaki jej nie mają żadnego pewnego gruntu i nie zasługują pod żadnym względem na wiarę. Zabraniał jej nawet, ale zawsze na próżno, mówić już o tym.

W ten sposób minęły dwa lata, po upływie których Orsa przeniesiono na pensję; wówczas zamierzył odwiedzić kraj, nie aby szukać pomsty na ludziach, w których niewinność wierzył, ale aby wydać za mąż siostrę i sprzedać szczupłą ojcowiznę, jeżeli się okaże, iż fundusz z niej uzyskany pozwoli mu żyć na kontynencie.

VII

Czy to, że przybycie siostry odnowiło Orsowi z większą siłą wspomnienia domu rodzinnego,

czy że czuł się wobec swych przyjaciół zakłopotany nieco strojem i dzikim obejściem Kolomby, dość że zaraz nazajutrz obwieścił zamiar opuszczenia Ajaccio i powrotu do Pietranera. Bądź co bądź pułkownik musiał mu przyrzec, iż jadąc do Bastii, wstąpi na jakiś czas do jego skromnego zameczku; w zamian Orso zobowiązał się uraczyć go polowaniem na daniele, bażanty, dziki itd.

W wilię wyjazdu, zamiast udać się na polowanie, Orso poddał myśl przechadzki po wybrzeżu. Prowadząc pod ramię miss Lidie, mógł rozmawiać zupełnie swobodnie, Kolomba bowiem została w mieście dla sprawunków, pułkownik zaś opuszczał ich co chwila, aby strzelać do mew i głuptaków⁹⁰ ku wielkiemu zdziwieniu przechodniów, którzy nie pojmowali, aby można było psuć proch dla podobnej zwierzyny.

⁹⁰*głuptak* — średniej wielkości ptak morski gnieźdzący się kolonijnie na wybrzeżach. [przypis edytorski]

Szli drogą prowadzącą do greckiej kaplicy, skąd jest najpiękniejszy widok; ale nie zwracali nań najmniejszej uwagi.

— Miss Lidio... — rzekł Orso po dość długim i nieco kłopotliwym milczeniu — szczerze, co pani myśli o mojej siostrze?

— Bardzo mi się podoba — odparła miss Nevil. — Bardziej niż pan — dodała z uśmiechem. — Jest prawdziwą Korsykanką, a pan jest dzikim zanadto cywilizowanym.

— Zanadto cywilizowanym!... Hm, otóż pomimo woli czuję, iż staję się z powrotem dziki, odkąd stąpiłem⁹¹ nogą na tę wyspę. Tysiąc okropnych myśli oblega mnie, dręczy... Potrzebowałem trochę porozmawiać z panią, nim zanurzę się w moim pustkowiu.

— Trzeba mieć siłę woli, proszę pana. Niech pan patrzy na rezygnację siostry, ona daje panu przykład.

— Ach! Jakże pani się myli! Niech pani nie wierzy w jej rezygnację. Nie mówiliśmy z sobą

⁹¹*stąpić* (daw.) — postawić stopę, nogę przy chodzeniu; dziś: stąpnąć. [przypis edytorski]

jeszcze ani słowa, ale w każdym jej spojrzeniu wyczytałem, czego się spodziewa po mnie.

— Czegóż więc, ostatecznie, chce od pana?

— Och, niczego... tyle tylko, abym wypróbował, czy fuzja ojca pani równie jest dobra na człowieka jak na kuropatwę.

— Co za myśl! I pan może przypuszczać!... Skoro pan sam przyznaje, iż nic jeszcze nie mówiła panu. Ależ to okropne z pańskiej strony!

— Gdyby nie myślała o zemście, byłaby od razu zaczęła⁹² mówić o ojcu; tymczasem nie. Byłaby wspomniała imię tych, których uważa... niesłusznie, wiem o tym, za morderców. Otóż nic, ani słóweczka! Widzi pani, my, Korsykanie, jesteśmy przebiegłą rasą. Siostra rozumie, że nie trzyma mnie zupełnie w swej mocy i nie chce mnie spłoszyć, póki mogę jeszcze uciec. Z chwilą gdy raz zaprowadzi mnie nad brzeg przepaści, skoro zawróci mi się w głowie, pchnie mnie w otchłań.

⁹²byłaby (...) zaczęła — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

Wówczas Orso przytoczył pannie Nevil parę szczegółów tyjących śmierci ojca i przedstawił główne dowody, których zbieg każe mu uważać Agostiniego za mordercę.

— Nic — dodał — nie mogło przekonać Kolomby. Widziałem to z jej ostatniego listu. Poprzysięgła śmierć Barricinim i... miss Nevil, widzi pani, jakie mam zaufanie do pani... może nie byłoby ich już na świecie, gdyby wskutek przesądu, usprawiedliwionego jej dzikim wychowaniem, siostra nie żywiła przeświadczenia, że wykonanie zemsty należy do mnie, jako do głowy rodziny, i że jest to kwestia mojego honoru.

— Doprawdy, panie della Rebbia — rzekła miss Nevil — oczernia pan siostrę.

— Nie, pani sama powiedziała... ona jest Korsykanką... myśli tak, jak oni wszyscy. Czy pani wie, czemu byłem tak smutny wczoraj?

— Nie, ale od jakiegoś czasu podlega pan tym napadom czarnej melancholii... Milszy był pan o wiele w pierwszych dniach znajomości.

— Wczoraj przeciwnie, byłem weselszy, szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Była pani tak dobra, tak pobłażliwa dla siostry! Wracaliśmy obaj z pułkownikiem łodzią. Czy wie pani, co mi powiedział przewoźnik w swej diabelskiej gwarze: „Zabiłeś dosyć zwierzyny, Ors’ Anton’, ale okaże się, iż Orlanduccio Barricini jest większym myśliwcem od ciebie”.

— No i co! Cóż tak strasznego w tych słowach?

— Ale czyż pani nie widzi, że ten nędznik chciał powiedzieć, że nie będę miał odwagi zabić Orlanduccia?

— Wie pan, panie della Rebbia, że mnie pan przeraża! Zdaje się, że klimat pańskiej wyspy sprowadza nie tylko febrę, ale i szaleństwo. Na szczęście opuścimy ją niebawem.

— Nie wprzód, aż państwo odwiedzą Pietranera. Przyrzekła to pani siostrze.

— A gdybyśmy chybili⁹³ przyrzeczeniu, trzeba by się nam zapewne spodziewać jakiegoś zemsty?

⁹³chybić — tu: uchybić, zawieść. [przypis edytorski]

— Czy przypomina sobie pani, co nam opowiadał kiedyś ojciec pani o tych Hindusach, którzy grożą dyrektorom przedsiębiorstwa, iż zamorzą się głodem, jeśli nie uzyskają spełnienia jakiejś prośby?

— To znaczy, że pan by się zamorzył głodem? Wątpię. Wytrwałby pan jeden dzień bez jedzenia, po czym panna Kolomba przyniosłaby panu *bruccio*⁹⁴ tak apetyczny, że wyrzekłby się pan projektu.

— Okrutna jesteś w swym szyderstwie, miss Nevil; powinna by mnie pani oszczędzać. Widać pani, sam jestem tutaj. Miałem jedynie panią dla obrony od szaleństwa, jak pani to nazywa; była pani moim aniołem stróżem, a teraz...

— A teraz — rzekła miss Lidia poważnie — ma pan, aby podtrzymać ten rozsądek tak łatwy do zachwiania, swój honor mężczyzny i wojskowego, i... — ciągnęła, odwracając się, aby uszczknąć kwiat — jeżeli to może coś

⁹⁴*bruccio* — rodzaj sera z warzonej śmietanki, narodowa potrawa na Korsyce.
[przypis autorski]

znaczyć dla pana, wspomnienie swego anioła stróża.

— Ach, miss Nevil, gdybym mógł myśleć, że panią w istocie obchodzi cokolwiek...

— Słuchaj pan, panie della Rebbia — rzekła miss Nevil nieco wzruszona — skoro pan jest dzieckiem, będę postępowała z panem jak z dzieckiem. Kiedy byłam małą dziewczynką, matka dała mi piękny naszyjnik, którego gorąco pragnęłam, ale rzekła: „Za każdym razem, kiedy włożysz ten naszyjnik, przypomnij sobie, że nie umiesz jeszcze po francusku”. Naszyjnik stracił w mych oczach nieco ze swych zalet, stał się dla mnie jak gdyby wyrzutem; ale nosiłam go i nauczyłam się po francusku. Widzi pan ten pierścionek? To egipski skarabeusz, znaleziony, za pozwoleniem pana, w piramidzie. Ten osobliwy znak, który pan bierze pewno za butelkę, oznacza „życie ludzkie”. Są w moim kraju ludzie, którzy uznaliby ten hieroglif za bardzo trafnie wybrany. Ten dalszy to tarcza z ramieniem dzierżącym włócznię: to znaczy „walka”, „bitwa”. Zatem te dwa znaki zestawione razem

tworzą godło, które wydaje mi się dość ładne: „Życie jest walką”. Niech pan stąd nie wyciąga wniosku, że ja czytam biegle hieroglify; to pewien uczony, taki z brodą i w okularach, wytłumaczył mi go. A zatem daję panu mego skarabeusza. Kiedy będzie pan miał jaką niedobłą myśl korsykańską, spójrz pan na mój talizman i powiedz sobie, że trzeba wyjść zwycięzcą z walki, jaką wydają panu złe namiętności. Ale przyzna pan, doprawdy, że ze mnie niezły kaznodzieja.

— Będę myślał o pani, miss Nevil, i powiem sobie...

— Powie pan sobie, że masz przyjaciółkę, która byłaby w rozpaczy, dowiedziawszy się... iż... pana powieszono. To by sprawiło zresztą zbyt wielką przykrość panom „kapralom”, pańskim przodkom.

To mówiąc, porzuciła ramię Orsa i biegnąc ku ojcu, rzekła:

— Ojczulku, zostaw te biedne ptaki i chodź z nami poetyzować w grocie Napoleona.

VIII

Jest zawsze coś uroczystego w wyjeździe, nawet kiedy się ludzie rozstają na niedługo. Orso miał jechać z siostrą bardzo wczesnym rankiem; w wilię⁹⁵ tedy, wieczorem, pożegnał się z miss Lidią, nie spodziewał się bowiem, aby przez wzgląd na niego uczyniła wyjątek w swoich gnuśnych przyzwyczajeniach. Pożegnanie było chłodne i poważne. Od czasu rozmowy nad morzem miss Lidia obawiała się, iż okazała Orsowi może zbyt żywe zainteresowanie; Orso zaś ze swej strony miał na sercu jej drwinki, a zwłaszcza jej lekki ton. Przez chwilę zdawało mu się, że dostrzega w obejściu młodej Angielki coś na kształt budzącego się uczucia; obecnie, zbity z tropu żarcikami, powiadał sobie, iż jest to dla niej, ot, prosta znajomość, skazana na rychłą niepamięć. Wielkie było tedy jego zdumienie, kiedy rankiem, siadłszy do stołu dla wypicia kawy z pułkownikiem, ujrzał wchodzącą miss

⁹⁵*wilia* (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający jakieś zdarzenie.
[przypis edytorski]

Lidię, za którą szła jego siostra. Wstała o piątej, dla Angielki zaś, dla miss Nevil zwłaszcza, był to wysiłek dość duży, aby można zeń było czerpać niejaką dumę.

— Jestem w rozpacz, że pani trudzi się tak rano — rzekł Orso. — To siostra zapewne obudziła panią mimo mych przestróg: musi nas pani serdecznie przeklinać. Życzy mi już pani może, abym wisiał?

— Nie — odparła miss Lidia bardzo cicho i po włosku, widocznie w intencji, aby ojciec nie zrozumiał. — Ale... dąsał się pan na mnie wczoraj za moje niewinne żarty; nie chciałam tedy, aby pan uniósł niedobre wspomnienie... Cóż za straszni z was ludzie, panowie Korsykanie! Do widzenia zatem; niedługo, mam nadzieję.

I podała mu rękę.

Orso za całą odpowiedź zdobył się tylko na westchnienie, Kolomba zbliżyła się, pociągnęła go ku oknu i pokazując jakiś przedmiot, który trzymała pod *mezzaro*, szeptała przez chwilę.

— Siostra — rzekł Orso do miss Nevil — chce pani uczynić osobliwy podarek, ale my, Korsykanie, niewiele mamy do ofiarowania... z wyjątkiem przywiązania... którego czas nie zacierają. Siostra mówi, że pani oglądała z ciekawością ten sztylet. To odwieczna pamiątka rodzinna. Prawdopodobnie wisiał u pasa jednego z tych „kaprali”, którym winien jestem zaszczyt poznania pani. Kolomba uważa go za taki skarb, iż prosiła mnie o pozwolenie ofiarowania go pani, ja zaś nie wiem doprawdy, czy powinienem się zgodzić, lękam się bowiem, aby nas pani nie wyśmiała.

— Sztylet jest prześliczny — rzekła miss Lidia — ale to broń rodzinna; nie mogę przyjąć.

— To nie jest sztylet ojca — wykrzyknęła żywo Kolomba. — Otrzymał go jeden z przodków matki w darze od króla Teodora⁹⁶. Jeżeli

⁹⁶*Teodor I Neuboff*, urodzony jako *Theodor Stephan Freiherr von Neuboff* (1694–1756) — niemiecki wojskowy, dyplomata, agent i awanturnik, król Korsyki od kwietnia do listopada 1736. Wędrując po Europie, nawiązał we Włoszech kontakty z korsykańskimi emigrantami i powstańcami, których przekonał, że uda mu się wyzwolić ich kraj spod dominacji genueńskiej, o ile obwołają go królem. Uzyskał pomoc militarną władcy Tunis, wylądował na Korsyce, po czym 15

pani przyjmie, zrobi nam pani wielką przyjemność.

— Widzi pani, miss Lidio, niechże pani nie gardzi królewskim sztyletem.

Dla amatora relikwie króla Teodora są nie-
skończenie cenniejsze, niż gdyby pochodziły od
najpotężniejszego monarchy. Pokusa była sil-
na; miss Lidia widziała już wrażenie, jakie spra-
wi ta broń, ułożona na stoliku z laki, w salo-
niku przy placu Saint James.

— Ale — rzekła, biorąc sztylet z waha-
niem osoby, która ma ochotę przyjąć, i zwra-
cając najpowabniejszy uśmiech do Kolomby —
droga panno Kolombo... nie mogę... nie śmia-
łabym puścić pani w drogę tak rozbrojoną.

— Brat jest ze mną — rzekła Kolomba
z odcieniem dumy — mamy zresztą dobrą fu-
zję, którą nam dał pani ojciec. Orso, czy nabiłeś
kulą?

kwietnia 1736 został wybrany na króla i koronowany. Prowadził wojnę przeciw-
ko Genui, początkowo odnosząc pewne sukcesy. Po porażce i wyznaczeniu przez
genueńczyków ceny za jego głowę odpłynął za granicę w poszukiwaniu pomo-
cy; został aresztowany w Holandii za długi. Po odzyskaniu wolności powracał
na Korsykę w 1738, 1739 i 1743, ale zjednoczone siły francusko-genueńskie nadal
okupowały wyspę. [przypis edytorski]

Miss Nevil zachowała sztylet, Kolomba zaś, aby zażegnać niebezpieczeństwo, na jakie naraża darowanie przyjaciółom tnącej lub kłującej broni, zażądała solda⁹⁷ jako zapłatę.

Trzeba było wreszcie jechać. Orso ścisnął jeszcze raz rękę miss Nevil; Kolomba ucałowała ją, po czym podeszła, aby podać różowe wargi pułkownikowi, oczarowanemu tą korsykańską uprzejmością. Z okna miss Lidia widziała rodzeństwo dosiadające koni. Oczy Kolomby błyszczały złośliwą radością, jakiej jeszcze u niej nie zauważyła. Ta duża i silna kobieta, fanatycznie opanowana pojęciami barbarzyńskiego honoru, z dumą na czole, z ustami wykrzywionymi sardonicznym⁹⁸ uśmiechem, uwożąc tego młodego człowieka, uzbrojonego jak na złowrogą wyprawę, przypomniała jej obawy Orsa; zdawało się miss Lidii, że widzi złego ducha, ciągnącego go do zguby. Orso, już na koniu, podniósł głowę i spostrzegł ją. Czy to, że odgadł jej myśl, czy aby pożegnać miss

⁹⁷*sold* — dawna drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

⁹⁸*sardoniczny* — o uśmiechu, wyrazie twarzy itp.: szydarczy. [przypis edytorski]

Lidię raz ostatni, wziął pierścień egipski, który zawiesił na sznurku, i podniósł go do ust. Miss Lidia odeszła do okna, rumieniąc się; po czym, opamiętawszy się prawie natychmiast, ujrzała dwoje Korsykan oddalających się w galopie na swych małych *poneyach*⁹⁹ w stronę gór. W pół godziny potem pułkownik za pomocą lunety ukazał ich córce, objeżdżających zatokę: miss Lidia ujrzała, iż Orso obraca często głowę ku miastu. Znikł wreszcie za bagnami, których miejsce zajęła dziś piękna szkółka drzewek.

Miss Lidia, spojrzawszy w lustro, ujrzała, że jest bardzo blada.

— Co o mnie musi myśleć ten młody człowiek? — rzekła do siebie. — A ja co myślę o nim? I dlaczego o tym myślę?... Znajomość z podróży!... Po co ja przyjechałam na tę Korsykę?... Och, nie kocham go... Nie, nie; zresztą to niemożliwe... A Kolomba... Ja bratową *vo-ceratrice!*... która nosi przy sobie wielki sztylet! — Tu spostrzegła, iż trzyma w ręku sztylet

⁹⁹*poney* (fr.) — kuc, niewielki koń. [przypis edytorski]

króla Teodora. Rzuciła go na gotowalnię¹⁰⁰. — „Kolomba w Londynie, tańcząca w Almacks’¹⁰¹... Cóż za cudo do pokazania światu, wielki Boże!... Hm, może by właśnie zrobiła furorę... On mnie kocha, jestem tego pewna... To bohater romansu, któremu przerwałam awanturniczą karierę. Ale czy on naprawdę miał ochotę pomścić ojca na korsykański sposób?... To coś pośredniego między Konradem¹⁰² a dandym... Zrobiłam zeń czystego dandysa i to dandysa, który ma korsykańskiego krawca...”

Miss Lidia rzuciła się na łóżko i chciała usnąć, ale na próżno; nie pokuszę się o prowadzenie dalej jej monologu, w którym powiedziała sobie więcej niż sto razy, że pan Della

¹⁰⁰*gotowalnia* (daw.) — stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

¹⁰¹*Almacks’*, właśc. *Almack’s Assembly Rooms* — klub towarzyski w Londynie przy King Street w dzielnicy St. James, istniejący od 1765 do 1871, do którego przynależność uważano za potwierdzenie wysokiej rangi społecznej, jeden z pierwszych, którego członkami mogli być zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Był miejscem cotygodniowych balów, stwarzających okazje do znalezienia odpowiednich kandydatów i kandydatek do małżeństwa. O członkostwie w klubie decydował komitet najbardziej wpływowych pań londyńskiego towarzystwa. [przypis edytorski]

¹⁰²*Konrad* — bohater powieści poetyckiej George’a Byrona pt. *Korsarz* (1814). [przypis edytorski]

Rebbia nie był, nie jest i nie będzie nigdy dla niej niczym.

IX

Tymczasem Orso wędrował w towarzystwie siostry. Zrazu szybki ruch koni nie pozwolił im mówić, ale kiedy zbyt strome zbocza kazały jechać stępa¹⁰³, wówczas wymieniali kilka słów na temat przyjaciół, z którymi właśnie się rozstali. Kolomba mówiła z zachwytem o piękności miss Nevil, o jej blond włosach, obejściu pełnym wdzięku. Potem pytała, czy pułkownik jest równie bogaty, jak się wydaje, i czy panna Lidia jest jedynaczką.

— To musi być dobra partia — mówiła. — Ojciec jej ma, jak się zdaje, wiele przyjaźni dla ciebie...

Że zaś Orso nie odpowiadał nic, ciągnęła dalej:

— Nasza rodzina była niegdyś bogata; dziś jeszcze jest jedną z najbardziej poważanych na

¹⁰³stępa — najwolniejszy chód konia. [przypis edytorski]

wyspie. Wszyscy ci *signori*¹⁰⁴ to bękarty. Prawdziwa szlachta jest już tylko w rodzinach „kaprali”, a wiesz Orso, że pochodzisz od pierwszych „kaprali” wyspy. Wiesz, że nasza rodzina pochodzi z tamtej strony gór i że to wojny domowe zmusiły ją przejść na tę stronę. Gdybym była na twoim miejscu, Orso, nie wahałabym się, poprosiłabym ojca o rękę miss Nevil... (Orso wzruszył ramionami). Za jej posag kupiłabym las Falsetta i winnice przylegające do naszych; zbudowałabym piękny dom z ciosu i podniosłabym o jedno piętro starą wieżę, z której Sambucuccio¹⁰⁵ zabił tylu Maurów¹⁰⁶ za czasu hrabiego Henryka bel Missere¹⁰⁷.

¹⁰⁴*signori* — *signori* nazywa się potomków feudalnych panów na Korsyce. Między rodzinami *signori* a „kapralami” istnieje współzawodnictwo co do szlachectwa. [przypis autorski]

¹⁰⁵*Sambucuccio d’Alando* (zm. 1370) — korsykański bohater, przywódca antyfeudalnego powstania, skierowanego przeciwko miejscowej szlachcie, stronnikom króla Aragonii. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Maur* (hist.) — od średniowiecza do pocz. XIX w.: europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i płn.-zach. Afryki; tu: pogardl. o stronnikach królestwa Aragonii, w obecnej płn.-wsch. Hiszpanii, które w XIV w. władało Korsyką, Sycylią i pld. częścią Płw. Apenińskiego. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*hrabia Arrigo bel Missere* — umarł około r. 1000; powiadają, że przy jego śmierci dał się słyszeć w powietrzu głos, który śpiewał te prorocze słowa: *E morto il conte Arrigo bel Missere! E Corsica sarà di male in peggio*. [Nie żyje hrabia Henryk,

— Kolombo, ty masz źle w głowie — odparł Orso, puszczając się galopa.

— Jesteś mężczyzną, Ors' Anton', i wiesz z pewnością lepiej niż kobieta, co ci należy czynić. Ale chciałabym wiedzieć, co by ten Anglik mógł mieć przeciw związkowi z nami. Czy w Anglii są „kaprale”?...

Po dość długiej drodze bez postoju, rozmawiając w ten sposób, rodzeństwo przybyło do miasteczka niedaleko od Bocognano, gdzie zatrzymali się, aby spożyć obiad i przenocować u dawnego przyjaciela rodziny. Przyjęto ich z ową korsykańską gościnnością, którą można ocenić jedynie, gdy się jej zaznało. Nazajutrz gospodarz, który był kumem¹⁰⁸ pani della Rebbia, przeprowadził ich aż o milę od swej siedziby.

— Widzisz te lasy i chaszczę? — rzekł do Orsa, gdy się rozstawali. — Człowiek, który by

piękny pan, Korsyka ze złej stanie się gorsza; „bel Missere” to przydomek, jaki nosił Arrigo Colonna, szósty hrabia Korsyki; red. WL]. [przypis autorski]

¹⁰⁸*kum* (daw.) — ojciec chrzestny w stosunku do matki chrzestnej i rodziców dziecka albo ojciec dziecka w stosunku do rodziców chrzestnych; pot.: dobry znajomy, sąsiad. [przypis edytorski]

narobił nieszczęścia, mógłby tu żyć dziesięć lat bez obawy wołtyżerów lub żandarmów. Te bory stykają się z Vizzawońskim Lasem i kiedy się ma przyjaciół w Bocognano lub w okolicy, człowiekowi nie zbywa na niczym. Ale widzę, że masz ładną fuzję, musi daleko nieść. Święta Madonno! Cóż za kaliber! Można ubić z niej coś lepszego niż dzika.

Orso odpowiedział zimno, że fuzja jest angielska i że niesie śrut bardzo daleko. Uściskali się i każdy ruszył w swoją stronę.

Już nasi podróżni byli bardzo niedaleko od Pietranera, kiedy u wjazdu do wąwozu, który trzeba było przebyć, ujrzeli siedmiu czy ośmiu ludzi uzbrojonych w fuzje; jedni siedzieli na kamieniach, drudzy leżeli w trawie, niektórzy stali, jak gdyby sprawując czaty. Konie pasły się opodal. Kolomba przyglądała się im chwilę przy pomocy lunety, wydobytej z wielkiej torby skórzanej, jaką wszyscy Korsykanie noszą w podróży.

— To nasi ludzie! — wykrzyknęła radośnie. — Pierruccio dobrze wypełnił zlecenie.

— Co za ludzie? — spytał Orso.

— Pasterze — odparła. — Przedwczoraj wieczór wyprawiłam Pierruccia, aby zgromadził tych dzielnych ludzi na twój wjazd do domu. Nie wypada, byś wjechał do Pietranera bez eskorty, a zresztą powinieneś wiedzieć, że Barriciniowie zdolni są do wszystkiego.

— Kolombo — rzekł Orso surowo — prosiłem cię wiele razy, abyś mi już nie mówiła o Barriciniach ani o twoich bezpodstawnych podejrzeniach. Nie dopuszczę z pewnością tej śmieszności, abym miał wjeżdżać do siebie z tą zgrają nierobów, i bardzo nierad jestem, żeś ich zgromadziła, nie uprzedziwszy mnie o tym.

— Bracie, zapomniałeś o swoim kraju. Do mnie należy strzec ciebie, skoro twoja nieopatrność naraża cię na niebezpieczeństwo. Obowiązkiem moim było uczynić to, co uczyniłam.

W tej chwili pasterze, spostrzegłszy ich, pobiegli do koni i pognali w galopie naprzeciw państwa.

— *Evviva*¹⁰⁹ Ors' Anton'! — wykrzyknął krzepki starzec o siwej brodzie, okryty pomimo upału burką¹¹⁰ z kapturem z korsykańskiego sukna, bardziej zbitego niżli sierść kozia. — Szczery portret ojca, tylko wyższy i silniejszy. Cóż za piękna fuzja! Będą ludzie gadali o tej fuzji, Ors' Anton'.

— *Evviva* Ors' Anton'! — powtórzyli chórem pasterze. — Wiedzieliśmy dobrze, że wróci nam w końcu.

— Ach, Ors' Anton' — mówił wysoki chłopak o ceglastej cerze — ileż radości miałby twój ojciec, gdyby żył jeszcze i mógł cię przywitać! Złoty człowiek! Byłbyś go oglądał, gdyby zechciał mi wierzyć, gdyby mi pozwolił załatwić się z tym Giudice... Zaczny człowiek, nie uwierzył; wie teraz, że miałem słusność.

— Ba! — odparł stary. — Giudice nie straci nic na zwłóce.

— *Evviva* Ors' Anton'!

¹⁰⁹*Evviva* (kors.) — niech żyje. [przypis edytorski]

¹¹⁰*burka* — dawne wierzchnie okrycie w formie peleryny z kapturem, zwykle używane podczas podróży. [przypis edytorski]

I dwanaście strzałów z fuzji ozwało się w ślad za okrzykiem.

Orso, bardzo niezadowolony, wśród tej grupy ludzi na koniach, mówiących jednocześnie i cisnących się, aby mu podać rękę, jakiś czas nie mógł dojść do głosu. Wreszcie, przybierając minę, jaką miewał na czele swego plutonu, kiedy rozdzielał reprimendy i dni aresztu w koszarach, rzekł:

— Moi przyjaciele, dziękuję wam za przywiązanie, jakie mi okazujecie, jak również za to, jakie mieliście dla mego ojca; ale proszę i życzę sobie, aby mi nikt nie dawał rad. Wiem, co mam do czynienia.

— Ma słuszość, ma słuszość! — krzyknęli pasterze. — Wiecie dobrze, Ors' Anton', że możecie liczyć na nas.

— Tak, liczę na was, ale nie potrzebuję w tej chwili nikogo i żadne niebezpieczeństwo nie grozi memu domowi. Na razie chciejcie uczynić w tył zwrot... i idźcie do swoich kóz. Znam drogę do Pietranera i nie trzeba mi przewodników.

— Nie bójcie się niczego, Ors' Anton' — rzekł stary. — Oni nie śmieliby się pokazać dzisiaj. Mysz chowa się do dziury, kiedy się zjawia kocur.

— Sameś kocur, stary siwoszu — rzekł Orso. — Jak się nazywasz?

— Ej! Nie poznajecie mnie, Ors' Anton', mnie, który was brałem tak często za siebie na siodło na mego muła, tego, co to gryzie? Nie wiecie już, kto jest Polo Griffio? Dzielny człowiek, wiadomo, i oddany della Rebbiom ciałem i duszą. Powiedźcie słowo, a kiedy wasza duża fuzja zagada, to i ten stary muszkiet, stary jak jego pan, też nie będzie milczał. Licz na to, Ors' Anton'.

— Dobrze, dobrze, ale do wszystkich diabłów, idźcie już i dajcie nam jechać swoją drogą.

Pasterze oddalili się wreszcie, kłusując zwa-wo ku wiosce, ale od czasu do czasu zatrzymywali się na wyniosłych punktach, jak gdyby do zbadania, czy nie ma gdzie ukrytej zasadzki; ciągle też trzymali się dość blisko Orsa i jego

siostry, aby w potrzebie pospieszyć im z pomocą. A stary Polo Griffó powiadał do towarzyszy:

— Ja go rozumiem! Ja go rozumiem! Nie opowiada o tym, co chce zrobić, ale robi. Wykapany portret ojca. Dobrze! Gadaj ty, że nie masz urazy do nikogo! Uczyniłeś ślub świętej Nega¹¹¹. Brawo! Już ja bym nie dał ani figi za skórę naszego mera. Nim miesiąc upłynie, nie da się z niej zrobić bukłaka na wino.

Poprzedzany tą forpocztą¹¹², potomek della Rebbiów wjechał do wioski i dotarł do starego dworzyszczka „kaprali”, swoich przodków. Rebbianiści, długo pozbawieni głowy, wysypali się hurmem na spotkanie, ci zaś mieszkańcy wioski, którzy zachowywali neutralność, stali wszyscy w progach, aby widzieć przejeżdżającego. Barriciniści zamknęli się w domach i patrzyli przez szczeliny okiennic.

Mieścina Pietranera zbudowana jest bardzo nieregularnie, jak wszystkie wsie korsy-

¹¹¹*uczyniłeś ślub świętej Nega* — „ślubować świętej Nega” znaczy przeczyć z umysłu wszystkiemu. [przypis autorski]

¹¹²*forpoczta* — straż przednia. [przypis edytorski]

kańskie. Domy, rozrzucone kapryśnie, nieusze-
regowane w ulice, zajmują szczyt małego płą-
skowzgórza, lub raczej terasy¹¹³. Mniej więcej
w środku wioski wznosi się duży dąb; tuż przy
nim stoi granitowa kadź, do której drewnia-
na rynna doprowadza wodę z bliskiego źródła.
Ten monument użyteczności publicznej wznio-
sły niegdyś wspólnym kosztem rodziny della
Rebbia i Barricinich; ale myliłby się bardzo,
kto by w nim widział świadectwo dawnej zgo-
dy dwóch rodów. Jest to, przeciwnie, dzieło
ich zawiści. Swego czasu, gdy pułkownik della
Rebbia przesłał radzie gminnej niewielką sum-
kę, aby się przyczynić do wzniesienia studni,
advokat Barricini skwapliwie pospieszył z ta-
kim samym darem: temu to pojedynkowi na
szlachetność zawdzięcza Pietranera posiadanie
wody. Dokoła dębu i studni istnieje wolna prze-
strzeń, którą nazywają rynkiem i gdzie niezat-
rudnieni mieszkańcy gromadzą się wieczorem.
Niekiedy grywają tam w karty, raz na rok zaś,

¹¹³*terasa* — płaski próg na zboczu doliny rzecznej lub nad brzegiem morza.
[przypis edytorski]

w zapusty¹¹⁴, odbywają się tańce. Na dwóch krańcach placu wznoszą się dość wysokie budowle z granitu i łupku. Są to wrogie sobie *wieże* della Rebbiów i Barricinich. Są one jednakiej architektury, jednej wysokości i widać z nich, że rywalizacja dwóch rodzin utrzymywała się zawsze w jednej mierze, nieprzeważona losem na żadną stronę.

Nie od rzeczy może będzie wytłumaczyć, co należy rozumieć pod słowem „wieża”. Jest to kwadratowy budynek, wysoki na jakich czterdzieści stóp¹¹⁵, który w innym kraju nazywałby się po prostu gołębnikiem. Bardzo wąska brama otwiera się na osiem stóp nad ziemią, a dochodzi się do niej stromymi schodkami. Nad bramą znajduje się okno z balkonem, podziurawionym od spodu jak machikuł¹¹⁶ forteczny. Otwory te pozwalają zgładzić bez niebezpieczeństwa niepożądanego gościa. Między

¹¹⁴*zapusty* (daw.) — ostatnie dni karnawału; ostatki. [przypis edytorski]

¹¹⁵*stopa* — dawna miara długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

¹¹⁶*machikuł* — rodzaj ganku w górnej części średniowiecznych murów obronnych, wystającego przed mur, zaopatrzonego w otwory strzelnicze oraz otwory w podłodze, przez które można było lać np. gorącą smołę na przeciwnika szturmującego zamek. [przypis edytorski]

oknem a drzwiami widzi się dwie grubo rzeźbione tarcze herbowe. Jedna nosiła dawniej krzyż genueński, ale dzisiaj krzyż ten, cały poobtłukiwany, rozpoznałoby chyba oka antykwariusza. Na drugiej tarczy wyrzeźbiony jest herb rodziny, do której należy wieża. Dodajcie, dla uzupełnienia dekoracji, ślady kul na tarczach i na gzymsach, a możecie sobie stworzyć pojęcie o średniowiecznym dworzyszczu na Korsyce. Zapomniałem powiedzieć, iż część mieszkalna budowli styka się z wieżą, a często łączy się z nią wewnątrz.

Wieża i dom della Rebbiów zajmują północną stronę placu w Pietranera; wieża i dom Barricinich południową. Przestrzeń od wieży północnej do studni stanowi miejsce przechadzki della Rebbiów; promenada Barricinich znajduje się po przeciwnej stronie. Od pogrzebu pułkownikowej nikt nie widział, aby członek której z dwu rodzin zjawił się po innej stronie placu niż ta, która mu była wyznaczona jakby milczącą umową. Aby uniknąć okrążania, Orso miał już przejechać pod domem mera, kiedy

siostra ostrzegła go i poradziła, aby się skierował w uliczkę, którą można się było dostać do domu, nie przejeżdżając przez plac.

— Po co nakładać drogi? — rzekł Orso. — Czyż rynek nie dla każdego? — To mówiąc, popędził konia.

— Dzielne serce! — rzekła po cichu Kolomba... — Ojczy, będziesz pomszczony.

Wjeżdżając na rynek, Kolomba trzymała się między domem Barricinich a bratem i bez ustanku miała oko utkwione w okna nieprzyjaciół. Zauważyła, że są od niedawna zabarykadowane i że sporządzono przy nich *archere*. *Archere* nazywają się wąskie otwory w kształcie strzelnic, zostawione między wielkimi polanami, którymi zasłania się dolną część okna. Skoro dom jest pod grozą jakiegoś napadu, barykaduje go się w ten sposób i wówczas można, pod ochroną polan, strzelać bezpiecznie do oblegających.

— Podli! — rzekła Kolomba. — Patrz bracie, już zaczynają się mieć na ostrożności: barykadują się! Ale i tak będą musieli kiedyś wyjść z domu!

Zjawienie się Orsa na południowej części placu wywarło wielkie wrażenie w Pietranera; poczytano je za dowód odwagi graniczącej z lekkomyślnością. Dla „neutralnych”, zgromadzonych wieczorem pod dębem, był to temat do niekończących się komentarzy.

— Szczęście dla niego — mówili — że młodzi Barriciniowie jeszcze nie wrócili, są bowiem mniej cierpliwi od adwokata; nie pozwoliliby może chodzić nieprzyjacielowi po cudzym terenie, nie kazawszy mu drogo przypłacić zachwalstwa.

— Zapamiętajcie sobie co wam powiem, sąsiedzie — rzekł starzec, który był wyrocznią wioski. — Przyglądałem się dziś twarzy Kolomby, ona coś knuje. Czuję proch w powietrzu. Maluczko, a będzie tanie mięso w jatkach w Pietranera.

X

Rozstawszy się bardzo młodo z ojcem, Orso wcale nie miał czasu go poznać. Opuścił Pie-

tranera, mając piętnaście lat, aby się udać do szkół w Pizie, stamtąd zaś przeszedł do szkoły wojskowej, gdy Ghilfuccio obnosił po Europie orły cesarskie. Na kontynencie Orso widywał go jedynie w rzadkich odstępach; dopiero w 1815 znalazł się w pułku, którym ojciec dowodził. Ale pułkownik, niewzruszony w dyscyplinie, traktował syna jak wszystkich innych młodych poruczników, to znaczy bardzo surowo. Wspomnienia, jakie Orso zachował o nim, były dwojakiego rodzaju. Przypominał sobie ojca w Pietranera, jak mu oddawał szablę, dawał wyładować fuzję za powrotem z polowania lub też pozwalał mu, jako małemu berbeciowi, usiąść pierwszy raz przy rodzinnym stole. Następnie wyobrażał sobie pułkownika della Rebbia, jak go posyła do aresztu za jakąś nieuwagę, nazywając go zawsze tylko porucznikiem della Rebbia.

— Poruczniku della Rebbia, nie zająłeś w bitwie właściwego miejsca: trzy dni kozy. Tyralierzy twoi są o pięć metrów za daleko od rezer-

wy, pięć dni kozy. Widziałem cię w czapeczce pięć minut po dwunastej, osiem dni kozy.

Jeden jedyny raz, pod Quatre Bras¹¹⁷, rzekł: — Bardzo dobrze, Orso, ale więcej rozważgi.

Zresztą otoczenie Pietranera nastroczało Orsowi raczej inne, nie te ostatnie wspomnienia. Widok miejsc związanych z jego dzieciństwem, sprzęty, którymi posługiwała się ukochana matka, wzniecały w duszy jego tłum słodkich i bolesnych wzruszeń. Następnie znowu oblegała go czarna przyszłość, otwierająca się przed nim, nieokreślony niepokój, jaki budziła w nim siostra, a ponad to wszystko myśl, że miss Nevil ma przybyć do tego domu, który wydał mu się dziś tak mały, tak biedny, tak nieodpowiedni dla osoby przywykłej do zbytku! Wyobrażał sobie, iż może poweźmie wzgardę dla tej siedziby; słowem, wszystko to tworzyło w głowie młodzieńca chaos i wtrącało go w głębokie zniechęcenie.

¹¹⁷*bitwa pod Quatre Bras* — stoczona 16 czerwca 1815, podczas Stu Dni Napoleona, w której armia francuska została zmuszona do odwrotu przez armię angielsko-holenderską. [przypis edytorski]

Siadł do wieczerzy w wielkim szerniałym fotelu dębowym, w którym ojciec jego zajmował miejsce przy rodzinnym stole. Orso uśmiechnął się, widząc, iż Kolomba waha się, czy ma siąść wraz z nim. Był jej zresztą wdzięczny za milczenie podczas wieczerzy i za pośpiech, z jakim opuściła pokój, czuł się bowiem zbyt wzruszony, aby się opierać atakom, które gotowała niewątpliwie. Ale Kolomba oszczędzała brata; chciała mu zostawić czas na oswojenie się z domem. Z głową opartą na rękę trwał długo nieruchomy, przechodząc w myśli wypadki i przeżycia ostatnich dwóch tygodni. Z przerażeniem widział owo wyraźne oczekiwanie, z jakim wszyscy spoglądali na stanowisko jego wobec Barricinich. Już spostrzegł, że opinia Pietranera zaczyna być dlań opinią całego świata. Miał obowiązek pomścić się, jeśli nie chce uchodzić za nikczemnika. Ale na kim? Nie mógł uwierzyć, aby Barriciniowie byli winni mordu. To prawda, byli nieprzyjaciółmi rodziny, ale trzeba było grubych korsykańskich przesądów, aby ich pomawiać o morderstwo. Od cza-

su do czasu Orso spoglądał na talizman miss Nevil i powtarzał po cichu jego dewizę: „Życie jest walką!” Wreszcie rzekł sobie stanowczym tonem: „Wyjdę z niej zwycięzcą!” Z tą dobrą myślą podniósł się, i biorąc lampę, miał się udać do swego pokoju, kiedy ktoś zapukał do bramy. Godzina była nieodpowiednia na odwiedzinę. Natychmiast zjawiała się Kolomba w towarzystwie służącej.

— To nic — rzekła, biegnąc ku drzwiom. Zanim otworzyła, spytała wszakże, kto puka. Słodki głosik odpowiedział:

— To ja.

Natychmiast drewniana zaporą usunęła się i Kolomba ukazała się z powrotem w jadalni, w towarzystwie małej, mniej więcej dziesięcioletniej dziewczynki, z bosymi nogami, w łachmanach, w lichej chustczynie, spod której wymykały się długie kosmyki włosów czarnych jak skrzydło kruka. Dzieciak był chudy, blady, z cerą spaloną słońcem, ale w oczach błyszczał ogień inteligencji. Widząc Orsa, dziewczynka zatrzymała się lękliwie i skłoniła mu się nisko,

z chłopska, po czym zaszepiała coś do Kolomby i oddała jej świeżo zabitego bażanta.

— Dziękuję, Chili — rzekła Kolomba. — Podziękuj wujowi. Ma się dobrze?

— Bardzo dobrze, panienko, do usług. Nie mogłam przyjść wcześniej; wuj bardzo się spóźnił. Trzy godziny czekałam w chaszczach.

— I nie jadłaś wieczerzy?

— A nie, panienko, nie miałam kiedy.

— Dadzą ci w kuchni jeść. Czy wuj ma jeszcze chleb?

— Niewiele, panienko, ale zwłaszcza brak nam prochu. Przyszła już pora kasztanów¹¹⁸, tak że teraz trzeba mu tylko prochu.

— Dam ci bochenek chleba i proch. Powiedz mu, aby oszczędzał. Drogi jest.

— Kolombo — rzekł Orso po francusku — któż jest przedmiotem tego miłosierdzia?

— Biedny bandyta z naszej wsi — odparła Kolomba w tym samym języku. — Ta mała to jego siostrzenica.

¹¹⁸*pora kasztanów* — mowa o owocach kasztana jadalnego, występującej na południu Europy rośliny z rodziny bukowatych. [przypis edytorski]

— Zdaje mi się, że mogłabyś lepiej umieszczać swe dary. Po co posyłać proch hultajowi, który posłuży się nim dla spełnienia jakiej zbrodni? Gdyby nie ta oplakana pobłażliwość, jaką wszyscy tutaj wyraźnie żywią dla bandytów, od dawna już nie byłoby ich na Korsyce.

— Najgorsi złoczyńcy w kraju to nie ci, którzy są w lasach¹¹⁹.

— Daj mu chleba, jeśli chcesz, tego nie godzi się odmawiać nikomu; ale nie życzę sobie, abyś im dostarczała amunicji.

— Bracie — rzekła Kolomba poważnie — jesteś panem i wszystko do ciebie należy w tym domu, ale uprzedzam cię, dam swoje *mezzarro* tej dziewczynce, aby je sprzedała raczej, niż bym miała odmówić prochu bandycie. Odmówić prochu! Toż by znaczyło tyle, co wydać go żandarmom. Jakąż ma on ochronę przeciw nim, jeśli nie naboje?

Dziewczynka pożerała tymczasem chciwie kawałek chleba i spoglądała uważnie kolejno na

¹¹⁹*którzy są w lasach* — „być w lasach” to znaczy być bandytą. „Bandyta” nie jest terminem hańbiącym; używa się w znaczeniu banity, jest to *outlaw* ballad angielskich [wyjęty spod prawa, wygnaniec; red. WL]. [przypis autorski]

Kolombę i jej brata, starając się odgadnąć w ich oczach sens tego, co mówili.

— I cóż on wreszcie zrobił, ten bandyta? Za jaką zbrodnię zagrzebał się w chaszczach?

— Brandolaccio nie popełnił wcale zbrodni — wykrzyknęła Kolomba. — Zabił Giovan' Opizzo, który zamordował jego ojca, gdy on sam był w wojsku.

Orso odwrócił głowę, wziął lampę i bez odpowiedzi przeszedł do swego pokoju. Wówczas Kolomba dała dziewczynce proch i zapasy i odprowadziła ją do bramy, powtarzając:

— Zwłaszcza powiedz wujowi, niech dobrze czuwa nad Orsem.

XI

Orso długo nie mógł usnąć; na drugi dzień obudził się późno, przynajmniej jak na Korsykanina. Ledwie się zerwał, pierwszym przedmiotem, jaki uderzył jego oczy, był dom nieprzyjaciół i *archere*, którymi go obwarowali. Zszedł na dół i spytał o siostrę.

— Panienska jest w kuchni, leje kule — odparła służąca.

Tak więc nie mógł uczynić kroku, aby się nie natknąć na obraz wojny.

Zastał Kolombę siedzącą na zydelku¹²⁰ wśród mnóstwa świeżo odlanych kul i tnącą strużki ołowiu.

— Cóż ty tu, u diabła, robisz? — spytał brat.

— Nie masz kul do fuzji pułkownika — odparła łagodnym głosem. — Znalazłam formę tego samego kalibru; będziesz miał dzisiaj dwadzieścia cztery naboje, braciszku.

— Nie potrzebuję ich, Bogu dzięki!

— Nie trzeba się dać zaskoczyć bez obrony, Ors' Anton'! Straciłeś już pamięć swego kraju i ludzi, którzy cię otaczają.

— Choćbym nawet zapomniał, ty przypomnialabyś mi bardzo szybko. Powiedz mi, czy nie przyszła tu duża waliza przed kilku dniami?

— Owszem, bracie. Chcesz, abym ją zaniosiła do twego pokoju?

¹²⁰zydel — prosty drewniany stółek. [przypis edytorski]

— Ty, zanieść! Ależ nie miałabyś siły podźwignąć jej nawet... Czyż nie ma tu jakiego mężczyzny, żeby się z tym uporał?

— Nie jestem taka słaba, jak myślisz — rzekła Kolomba, zawijając rękawy i odslaniając białe i okrągłe ramię, doskonale foremne, ale zarazem zdradzające niepospolitą siłę. — Chodź, Sawerio — rzekła do służebnej — pomóż mi.

Już unosiła ciężką walizę, kiedy Orso pospieszył jej pomóc.

— Jest w tej walizce coś dla ciebie, droga Kolombo — rzekł. — Daruj, że ci przywożę tak lichy podarek, ale sakiewka porucznika na pensji nie obfituje zbyt w dostatki.

To mówiąc, otworzył walizę i wydobył z niej kilka sukien, szal i inne przedmioty stosowne dla młodej osoby.

— Co za śliczne rzeczy! — wykrzyknęła Kolomba. — Schowam je zaraz, żeby się nie zniszczyły. Zachowam je na swoje wesele — dodała ze smutnym uśmiechem — bo teraz jestem w żałobie.

— To przesada, siostró, nosić żałobę tak długo.

— Przysięgam — rzekła Kolomba stanowczym tonem. — Zdejmę żałobę aż w dniu...

Tu spojrzała przez okno ku domowi Barri-
cinich.

— W dniu, w którym wyjdiesz za mąż? —
rzekł Orso, starając się uchylić koniec zdania.

— Wyjdę za mąż — rzekła Kolomba —
jedynie za człowieka, który spełni trzy rzeczy...

I wciąż spoglądała złowrogo ku domowi wro-
gów.

— Taka ładna dziewczyna jak ty, Kolombo,
dziw, że się dotąd nie wydała. No, przyznaj się,
kochanie, kto się tam zaleca do ciebie? Zresztą,
będę przecież słyszał serenady. Musiałyby być
ładne, aby się spodobać tak wielkiej *voceratrice*.

— Któż chciałby biedną sierotę?... Przy tym
tylko ten skłoni mnie do zrzucenia szat żałob-
nych, kto każe wdziąć żałobę kobietom tam
z przeciwka.

„To przechodzi już w szaleństwo” — po-
myślał Orso.

Ale nie odpowiedział nic, aby uniknąć dyskusji.

— Bracie — rzekła Kolomba pieszczotliwie — ja także mam ci coś ofiarować. Ubranie, które nosisz, jest o wiele za wykwintne na nasz kraj. Twój piękny surdut poszedłby w strzępy po dwóch dniach, gdybyś się w nim wybrał w chaszczę. Trzeba go zachować na czas, kiedy przyjedzie miss Nevil.

Po czym otworzywszy szafę, wydobyła z niej całkowity strój strzelecki.

— Kazałam ci zrobić aksamitny kaftan, a oto czapka, taka, jaką noszą nasi strojnisi; wyhaftowałam ją dla ciebie już dawno. Czy zechcesz przymierzyć?

To mówiąc, podała bratu obszerny kaftan, z ogromną kieszenią na grzbiecie. Włożyła mu na głowę szpiczastą czapkę z czarnego aksamitu, wyhaftowaną dżetem¹²¹ i jedwabiem tegoż samego koloru i zakończoną kutasem¹²².

¹²¹*dżet* — błyszczący czarny kamień ozdobny, czarny paciorek. [przypis edytorski]

¹²²*kutas* (daw.) — frędzel; zwisająca ozdoba ze związanego w pędzel pęczka nici. [przypis edytorski]

— Oto ładownica ojca — rzekła — jego sztylet jest w kieszeni kaftana. Poszukam ci pistoletu.

— Wyglądam na prawdziwego opryszka z opery komicznej — rzekł Orso, przeglądając się w lusterku, które mu podała Saweria.

— Bardzo wam tak do twarzy, Ors' Anton' — mówiła stara służąca. — Najładniejszy *pinsuto*¹²³ z Bocagnano lub Bastelica nie ma dzielniejszej miny!

Orso siadł do śniadania w nowym kostiumie. W czasie posiłku oznajmił siostrze, że walizka zawiera nieco książek; zamiarem jego jest sprowadzić jeszcze więcej z Francji i z Włoch i pracować z nią wiele.

— To wstyd doprawdy, Kolombo — dodał — duża dziewczyna jak ty nie wie jeszcze rzeczy, których na kontynencie dzieci uczą się, zaledwie od ziemi odrosną.

— Masz słuszność, bracie — odparła Kolomba — wiem dobrze, czego mi brakuje i chę-

¹²³*pinsuto* — tak nazywa się strojnisiów, noszących szpiczastą czapkę, *barreta pinsuta*. [przypis autorski]

nie gotowa jestem się uczyć, zwłaszcza jeśli ty zechcesz mi udzielać lekcji.

Minęło kilka dni, w ciągu których Kolomba nie wymówiła nazwiska Barricinich. Otaczała wciąż brata najtroskliwszymi staraniami i mówiła mu często o miss Nevil. Orso dawał jej do czytania francuskie i włoskie książki i zdumiony był na przemian to bystrością i rozsądkiem jej uwag, to głęboką nieświadomością najpospolitszych rzeczy.

Jednego ranka po śniadaniu Kolomba wyszła na chwilę i zamiast wrócić z książką i kajetem, ukazała się w *mezzaro* na głowie. Twarz jej była poważniejsza jeszcze niż zazwyczaj.

— Bracie — rzekła — poproszę cię, abyś wyszedł ze mną.

— Gdzie chcesz, abym ci towarzyszył? — rzekł Orso, podając siostrze rękę.

— Nie trzeba mi twego ramienia, bracie, ale weź strzelbę i ładownicę. Mężczyzna nie powinien nigdy wychodzić bez broni.

— Niech i tak będzie! Trzeba się stosować do mody. Gdzie idziemy?

Kolomba bez odpowiedzi owinęła *mezzaro* dokoła głowy, przywołała psa i wyszła, prowadząc za sobą brata. Oddalając się wielkimi krokami od wioski, skierowała się dróżką w wąwozie kręcącym się wśród winnic. Kolomba wysłała przodem psa, dawszy mu sygnał, który znał widocznie dobrze; natychmiast bowiem zaczął biec zygzakiem, węsząc w winnicy, to po jednej, to po drugiej stronie, wciąż o jakie pięćdziesiąt kroków od pani. Niekiedy przystawał, aby popatrzeć na nią, kręcąc ogonem; słowem, zdawał się znakomicie rozumieć powierzoną mu funkcję przedniej straży.

— Jeżeli Muschetto zaszczeka — rzekła Kolomba — nabij strzelbę, bracie, i stój nieruchomo.

O pół mili od wioski, po wielu kołowaniach, Kolomba zatrzymała się nagle na zakręcie. W miejscu tym wznosił się kopczyk z gałęzi, jednych zielonych, drugich uschłych, wysokości około trzech stóp. Na szczycie widać było wystający koniec drewnianego, czarno pomalowanego krzyża. W wielu okolicach Korsyki,

zwłaszcza w górach, bardzo dawny obyczaj, sięgający może zabobonów pogaństwa, nakazuje przechodniom rzucać kamień lub gałąź na miejsce, gdzie człowiek zginął gwałtowną śmiercią. Przez całe lata, tak długo, jak długo przechowuje się w tradycji wspomnienie tragicznego końca, szczególny ten pomnik rośnie z każdym dniem.

Kolomba zatrzymała się przed tą kupą liści i odrywając gałąź, dorzuciła ją do piramidy.

— Orso — rzekła — tutaj umarł ojciec. Módlmy się za jego duszę, bracie.

I uklękła. Orso poszedł za jej przykładem. W tej chwili dzwon wioskowy zaczął dzwonić wolno, albowiem człowiek jakiś zmarł tej nocy. Orso zalał się łzami.

Po kilku minutach Kolomba podniosła się z okiem suchym, ale ożywioną twarzą. Uczyniła wielkim palcem znak krzyża, właściwy jej ziomkom i towarzyszący zazwyczaj uroczystym przysięgom; po czym wzięwszy brata za rękę, skierowała się ku wsi. Wrócili w milczeniu do domu. Orso udał się do swego pokoju. W chwili

lę później weszła tam Kolomba, niosąc małą szkatułkę, którą położyła na stole. Otworzyła szkatułkę, dobyte koszulę pokrytą dużymi plamami krwi.

— Oto koszula ojca, Orso.

Rzuciła mu ją na kolana.

— Oto ołów, który go ugodził.

I położyła na kominku dwie poczerńiałe kule.

— Orso, bracie mój! — krzyknęła, rzucając mu się w objęcia i obejmując go z siłą. — Orso, ty go pomścisz!

Uściskała go jakby w przystępie szału, ucałowała kule i krwawą bieliznę i wyszła, zostawiając brata skamieniałego na krześle.

Orso siedział jakiś czas nieruchomy, nie śmiejąc oddalić od siebie tych straszliwych relikwii. Wreszcie, czyniąc wysiłek, włożył je z powrotem do szkatułki i pobiegł w drugi koniec pokoju, aby się rzucić na łóżko, z głową obróconą do ściany, zanurzoną w poduszkach, jak gdyby chciał umknąć przed widokiem upiora. Ostatnie słowa siostry brzmiały mu bez prze-

rwy w uszach; zdawało mu się, że słyszy złowrogą, nieuniknioną wyrocznię, która domaga się krwi, i to krwi niewinnej. Nie będę próbował oddać wrażeń nieszczęśliwego młodego człowieka, równie zmaconych jak myśli, które przechodzą przez głowę szalonego. Długo trwał w tej pozycji, nie śmiejąc odwrócić głowy. Wreszcie podniósł się, zamknął szkatułkę i wyszedł spiesznie z domu, biegnąc przez wieś przed siebie, bez świadomości, dokąd.

Stopniowo świeże powietrze przyniosło mu ulgę; stał się spokojniejszy i zaczął z nieco zimniejszą krwią rozpatrywać położenie i sposoby wydobycia się zeń. Wiadomo już, że nie podejrzewał Barricinich o morderstwo, ale obwinił ich, że sfalszowali list bandyty Agostiniego, ten zaś list — tak sądził przynajmniej — spowodował śmierć ojca. Ścigać ich jako fałszerzy, czuł, że to niemożliwe. Od czasu do czasu, kiedy przesady lub instynkty ojczystej ziemi zaczynały go oblegać i ukazywały łatwą zemstę na zakręcie ustronnej drogi, Orso usuwał

je ze wstrętem, myśląc o kolegach pułkowych, o paryskich salonach, a zwłaszcza o miss Nevil. Później przychodziły mu na myśl wyrzuty siostry: wszystko, co zostało korsykańskiego w jego charakterze, usprawiedliwiało jej wymówki i czyniło je tym dotkliwszymi.

W tej walce między sumieniem a zabobonem zostawała mu jedna nadzieja: mianowicie wdać się pod jakimkolwiek pozorem w sprzeczkę z jednym z synów adwokata i wyzwać go na pojedynek. Zabić go za pomocą kuli lub szpady godziło pojęcia korsykańskie i francuskie. Przyjąwszy ten środek i obmyślając sposoby wykonania, Orso czuł już wielką ulgę.

Inne słodsze myśli przyczyniły się jeszcze do uśmierzenia jego wzruszeń. Cicero¹²⁴, zrozpaczony śmiercią córki Tulii, zapomniał o swej boleści, przechodząc w myśl wszystkie piękne rzeczy, jakie mógłby powiedzieć w tym przed-

¹²⁴*Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.) — najwybitniejszy mówca rzymski, filozof, polityk, pisarz. Ciężkim ciosem była dla niego śmierć jego jedynej, ukochanej córki, Tulii, która zmarła w pòłogu w lutym 45 p.n.e., mając 33 lata. Jej pochwałę poświęcił ostatnią część napisanego w żałobie filozoficznego traktatu pt. *Pocieszenie* (*Consolatio*), obecnie zaginionego, znanego z omówień i cytatów. [przypis edytorski]

miocie. Rozprawiając w ten sposób, pan Shandy¹²⁵ pocieszał się po stracie syna. Orso ochłonał nieco, myśląc, iż mógłby skreślić dla miss Nevil obraz stanu swej duszy, który to obraz zainteresowałby niezawodnie tę młodą osobę.

Zbliżał się do wsi, od której, sam nie wiedząc o tym, znacznie się oddalił, kiedy usłyszał głos. To mała dziewczynka, mniemając zapewne, że jest sama, śpiewała, idąc ścieżką wzdłuż chaszczów. Była to powolna i jednostajna uświęcona melodia żałobnych lamentacji. Dziecko śpiewało: „Dla mego syna, dla syna w dalekim kraju — zachowajcie mój krzyż i krwawą koszulę...”

— Co ty śpiewasz, mała? — rzekł gniewnie Orso, ukazując się nagle.

— To wy, Ors’ Anton’! — wykrzyknęło dziecko, nieco przestraszone... — To piosnka panny Kolomby...

— Zabraniam ci tego śpiewać — rzekł Orso straszliwym głosem.

¹²⁵pan Shandy — bohater powieści angielskiej Sterne’a z XVIII w. (*Życie Tristrama Shandy*). [przypis tłumacza]

Dziecko, obracając głowę na prawo i lewo, zdawało się szukać, gdzie mogłoby się ukryć, i bez wątpienia byłoby uciekło, gdyby nie wstrzymwała go troska o duży pakiet, który widniał na trawie u stóp dziewczynki.

Orso zawstydził się swej gwałtowności.

— Co ty tam niesiesz, mała? — spytał łagodniej.

A gdy Chilina wahala się z odpowiedzią, uchylił płótno, które okrywało pakiet, i ujrzal, iż zawiera chleb i inne zapasy.

— Komu niesiesz ten chleb, maleńka? — zapytał.

— Wie pan przecież, Ors' Anton', wujowi.

— Czy twój wuj jest bandytą?

— Do usług, Ors' Anton'.

— Gdyby żandarmi cię spotkali, spytaliby, dokąd idziesz...

— Powiedzialabym — odparlo dziecko bez wahania — że niosę jeść lukańczykom¹²⁶, którzy wycinają chaszczce.

¹²⁶lukańczycy — mieszkańcy miasta Lukka we Włoszech. [przypis edytorski]

— A gdybyś spotkała jakiego zgłodniałego myśliwca, który by pragnął posilić się twoim kosztem i zagarnąć zapasy?

— Nie śmiałyby. Powiedziałabym, że to dla wuja.

— W istocie, to nie jest człowiek, który by pozwolił zabrać sobie obiad... Kocha cię bardzo wujaszek?

— O, tak, Ors' Anton'. Od czasu jak ojciec umarł, on opiekuje się rodziną, moją matką, mną, siostrzyczką. Zanim mamusia była chora, polecał ją bogatym ludziom, aby jej dawali robotę. Mer daje mi co roku suknię, a ksiądz proboszcz uczy mnie katechizmu i czytania, od czasu jak wuj pomówił z nimi. Ale zwłaszcza siostra pańska dobra jest dla nas.

W tej chwili pies ukazał się na dróżce. Dziewczynka, podnosząc dwa palce do ust, wydała ostry gwizd: natychmiast pies podbiegł do niej i połasił się, po czym zagłębił się szybko w chaszczce. Niebawem dwóch ludzi źle ubranych, ale dobrze uzbrojonych podniosło się zza pnia o kilka kroków od Orsa. Można by mniemać, iż

podsunęli się, pełzając jak jaszczurki wśród gąszczu czystków¹²⁷ i mirtów, które porastały pole.

— Och, Ors' Anton', bądź pozdrowiony — rzekł starszy z nowo przybyłych. — Jak to, nie poznajecie mnie?

— Nie — rzekł Orso, patrząc nań bystro.

— To zabawne, jak broda i szpiczasta czapka odmieniają człeka! Ejże, poruczniku, przypatrz mi się dobrze. Zapomniałeś już tedy starą wiarę spod Waterloo? Nie przypominasz już sobie Branda Savelli, który wystrzelił niejednen ładunek tuż koło ciebie w tym przeklętym dniu?

— Jak to! To ty? — rzekł Orso. — I zdezerterowałeś w tysiąc osiemset szesnastym!

— Jak powiadacie, poruczniku. Ba! Służba to nudna rzecz, przy tym miałem w kraju rachuneczek do załatwienia. Ha, ha! Chili, dzielna z ciebie dziewczyna! Dawaj prędko, głodni jesteśmy. Nie masz pojęcia, poruczniku, jak życie w chaszczach rozbudza w człowieku apetyt.

¹²⁷czystek (bot.) — rodzaj krzewów rosnących w basenie M. Śródziemnego i w Azji Zachodniej. [przypis edytorski]

Kto nam to przysyła, panna Kolomba czy pan mer?

— Nie, wuju. Młynarka dała mi to dla ciebie, a kołdrę dla mamy.

— Czegóż ona chce ode mnie?

— Powiada, że lukańczycy, których wzięła do karczowania, żądają od niej teraz trzydzieści pięć soldów, prócz kasztanów, z przyczyny febry, jaka panuje niżej Pietranera.

— Próżniacy!... Zobaczę. Bez ceremonii, poruczniku, zechcesz podzielić nasz obiad? Spożyliśmy niejeden lichy posiłek razem za czasu naszego biednego krajana, którego spensjonowano.

— Dziękuję bardzo. I mnie też spensjonowano.

— Tak, słyszałem; ale nie musiałeś się pan zbyt martwić, założyłbym się. Niby względem tego rachuneczku, jaki masz tu do uregulowania. Dalej, księżu — rzekł bandyta do towarzysza — do stołu. Panie Orso, przedstawiam panu księdza proboszcza, to jest, nie wiem na pewno, czy ma święcenia, ale ma studia.

— Biedny student teologii — rzekł drugi bandyta — student, panie, któremu nie pozwolono iść za swym powołaniem. Kto wie? Byłbym może został papieżem, Brandolaccio.

— Jakaż przyczyna pozbawiła kościół pańskich talentów? — spytał Orso.

— Drobnostka, rachuneczek do uregulowania, jak powiada przyjaciel Brandolaccio: siostra moja, która narobiła głupstw, gdy ja łykałem szpargały w uniwersytecie w Pizie. Trzeba mi było wrócić do kraju, aby ją wydać za mąż. Ale jej przyszły, zawsze zbyt nagły, umiera na febrę trzy dni przed moim przybyciem. Zwracam się tedy, jak i pan byłbyś zrobił na moim miejscu, do brata zmarłego. Dowiaduję się, że jest żonaty. Co począć?

— W istocie, położenie kłopotliwe. I cóż pan uczynił?

— Hm, to właśnie są wypadki, w których trzeba się uciec do skałki i krzesiwa.

— To znaczy, że...

— Wpakowałem mu kulę w łeb — rzekł zimno bandyta.

Orso uczynił gest grozy. Mimo to ciekawość, a może chęć opóźnienia chwili, w której trzeba będzie wracać do domu, kazały mu zostać na miejscu i prowadzić dalej rozmowę z tymi dwoma ludźmi, z których każdy miał co najmniej jeden mord na sumieniu.

Gdy towarzysz mówił, Brandolaccio postawił przed nim chleb i mięso; wydzielił sobie sam porcję, po czym oddał cząstkę psu, którego przedstawił Orsowi pod imieniem Brusco, jako zwierzę obdarzone cudownym instynktem rozpoznania wołyżera, bez względu na to pod jakim przebraniem. Wreszcie ukroił kawałek chleba i płat surowej szynki i dał siostrzenicy.

— Ładne to życie, życie bandyty! — wykrzyknął student teologii, przełknąwszy kilka kąsków. — Zakosztujesz go pan może kiedy, panie della Rebbia, i poznasz, jak słodko jest nie mieć innego pana niż swoje zachcenie.

Aż dotąd bandyta wyrażał się po włosku, ciągnął dalej po francusku.

— Korsyka to kraj niezbyt zabawny dla młodego człowieka, ale dla bandyty, cóż za różnica!

Kobiety szaleją za nami. Ja sam, jak mnie pan widzisz, mam trzy kochanki w trzech różnych okręgach. Wszędzie jestem u siebie. A jedna jest przy tym żoną żandarma.

— Zna pan wiele języków — rzekł Orso poważnie.

— Jeśli mówię po francusku, to dlatego, że widzi pan, *maxima debetur pueris reverentia*¹²⁸. Życzymy sobie, Brandolaccio i ja, aby ta mała poszła w życiu dobrą i prostą drogą.

— Kiedy jej będzie piętnaście lat — rzekł wuj Chiliny — wyswatam ją jak się należy. Mam już coś napiętego.

— Ty będziesz prosił o rękę? — rzekł Orso.

— Oczywiście. Czy myśli pan, że kiedy powiem jakiemu bogaczowi: „Ja, Brando Savelli, bardzo byłbym rad, aby syn pański zaślubił Michalinę Savelli”, czy myśli pan, że da się ciągnąć za ucho?

¹²⁸*maxima debetur pueris reverentia* (łac.) — dziecku należy się najwyższe poszanowanie, tu: ochrona moralna przed zgorzeniem (cytat z rzym. poety Juwenalisa, *Satyry* XIV 47). [przypis edytorski]

— Nie radziłbym mu — rzekł drugi bandyta. — Kolega ma rękę trochę ciężką.

— Gdybym był łajdakiem — ciągnął Brandolaccio — szelmą, podrzutkiem, potrzebowalbym tylko otworzyć sakwę, a pięciofrankówki sypałyby się do niej aż miło!

— Jest w twojej sakwie — rzekł Orso — coś, co je przyciąga?

— Nie, ale gdybym napisał, jak niejedni robili, do jakiego bogacza: „Potrzeba mi stu franków”, w te pędy by mi je przysłał. Ale ja jestem człowiekiem honoru, poruczniku.

— Wiesz pan, panie della Rebbia — rzekł bandyta, którego towarzysz nazywał proboszczem — wiesz pan, że w tej krainie prostych obyczajów istnieje wszakże paru nędzników, którzy korzystają z szacunku, jaki my budzimy za pomocą naszych paszportów (pokazał na fuzję), aby wyciskać obligi¹²⁹, naśladowując nasze pismo?

— Wiem — rzekł Orso krótko. — Ale jakie obligi?

¹²⁹*oblig* (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

— Pół roku temu — ciągnął bandyta — przechadzałem się w okolicy Orezza; otóż zbliża się do mnie jakiś ciura¹³⁰, z daleka już zdejmuję czapkę i mówi: „Ach, księżu proboszczu (zawsze mnie tak nazywają), daruj mi pan, pozwól mi trochę czasu; ledwie zdołałem zebrać pięćdziesiąt pięć franków; szczerze mówię, to wszystko, co posiadam”. Ja, osłupiały, powiadam: „Cóż to ma znaczyć, ciemięgo! Co za pięćdziesiąt pięć franków?” „Chciałem powiedzieć: sześćdziesiąt pięć, ale co do tych stu, których pan żąda, to czyste niepodobieństwo¹³¹”. „Jak to, łajdaku? Ja żądam od ciebie stu franków? Toż ja cię nie znam”. Wówczas oddał mi list, a raczej brudny świstek, którym wezwano go, aby złożył sto franków we wskazanym miejscu, pod grozą, iż Giocanto Castriconi (to moje imię) spali mu dom i wybije krowy. I ten ktoś miał tę czelność, aby podrobić mój podpis! Co mnie najbardziej dotknęło, to że list był pisany dialektem, pełen błędów ortogra-

¹³⁰*ciura* (daw.) — pacholek, sługa wojskowy. [przypis edytorski]

¹³¹*niepodobieństwo* (daw.) — niemożliwość. [przypis edytorski]

ficznych. Ja i błędy ortograficzne! Ja, który brałem na uniwersytecie wszystkie nagrody! Na początek dałem ciurze tęgi policzek, po którym okręcił się dwa razy koło osi. „Ha! Ty mnie bierzesz za złodzieja, łajdaku jeden!”, rzekłem i wymierzyłem mu tęgie kopnięcie tam, gdzie pan wie. Ulżywszy sobie nieco, rzekłem: „Kiedy masz zanieść pieniądze w oznaczone miejsce?” „Dziś właśnie”. „Dobrze, zanieś”. Było to u stóp sosny, w miejscu bardzo szczegółowo wskazanym. Niesie pieniądze, zagrzebuje je pod drzewem i wraca do mnie. Zaczaiłem się niedaleko. Przeczekaliśmy tak we dwóch sześć śmiertelnych godzin. Panie della Rebbia, byłbym wytrzymał trzy dni, gdyby było trzeba. Po upływie sześciu godzin pojawia się *bastaccio*¹³², nikczemny lichwiarz. Schyla się, aby podjąć pieniądze, ja daję ognia; wymierzyłem tak dobrze, że głowa osunęła się właśnie na talary, które wygrzebywał. „Teraz, ciemnego, rzekłem do chłopka, zabieraj swoje pieniądze i nie wąż się już podej-

¹³²*bastaccio* — górale korsykańscy nienawidzą mieszkańców Bastii, których nie uważają za swoich rodaków. Nigdy nie mówią *bastiese*, ale *bastaccio* (końcówka *-accio* mieści w sobie coś pogardliwego). [przypis autorski]

rzewać Giocanta Castriconi”. Nieborak, drząc cały, zgarnął swoich sześćdziesiąt pięć franków, nie zadając sobie nawet trudu, aby je obetrzeć. Dziękuję mi, ja wymierzam mu znów kopniaka na pożegnanie i goni jeszcze dotąd.

— Ach, Proboszczu — rzekł Brandolaccio — zazdroszczę ci tego strzału. Musiałeś się tego uśmieć?

— Wyrznięłem *bastaccia* w samą skroń — ciągnął bandyta — i to mi przypomniało wiersze Wergilego¹³³:

...*Liquefacto tem-*

pora plumbo

Diffidit, ac multa porrectum extendit arena.

134

Liquefacto! Czy pan wierzy, panie Orso, że kula ołowiana topi się przez szybkość lotu, w powietrzu? Pan, który studiowałeś balistykę, mo-

¹³³Wergili, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — poeta rzymski, autor *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian. [przypis edytorski]

¹³⁴*Liquefacto tempora plumbo...* (łac.) — [i w głowę wroga] miecąc roztopiony ołów, / Rozbił czaszkę. Ów runął na piaski spłowiełe (Wergiliusz, *Eneida* IX 588–589, tłum. T. Karyłowski; opis strzału Mezencjusza z procy w syna Arcensa). [przypis edytorski]

że mnie zechcesz objaśnić, czy to bajka, czy prawda?

Orso wolał podjąć dyskusję w tej kwestii fizykalnej, niż spierać się z licencjantem o moralność jego postępku. Brandolaccio, którego ta uczona rozprawa nie bawiła wcale, przerwał ją, aby zauważyć, iż słońce ma się ku zachodowi.

— Skoro pan nie chciałeś podzielić z nami obiadu, Ors' Anton' — rzekł — radzę panu nie dać dłużej na siebie czekać pannie Kolombie. Nie zawsze bywa też zdrowo chodzić po polach, kiedy słońce się schowa. Czemu pan wychodzi bez strzelby? Są tu źli ludzie; niech pan uważa na siebie. Dziś nie ma się pan czego obawiać: Barriciniowie sprowadzają do domu prefekta. Spotkali go na drodze; zatrzymuje się jeden dzień w Pietranera, nim uda się do Corte¹³⁵ położyć jakiś kamień węgielny, jak to nazywają... ot, bzdurstwa! Dziś wieczór nocuje u Barricininich, ale jutro będą wolni. Jest tam

¹³⁵*Corte* — miasto w centralnej części Korsyki; w latach 1755–1769 było stolicą jedyne go niepodległego państwa korsykańskiego, Republiki Korsykańskiej. [przypis edytorski]

Vincentello, wielkie nic dobrego, i Orlanduccio, też nie lepszy... Niech pan się stara spotkać ich osobno, jednego dziś, drugiego jutro; ale niech się pan ma na baczności, tyle tylko panu mówię.

— Dziękuję za radę — rzekł Orso — ale nie mamy z sobą żadnej sprawy; póki nie przyjdą mnie szukać, nie mam im nic do powiedzenia.

Bandyta przekręcił na bok język i strzelił nim o policzek z ironiczną miną, ale nie odpowiedział nic. Orso podniósł się do drogi:

— Ale, ale — rzekł Brandolaccio — nie podziękowałem panu za proch; przyszedł mi bardzo w porę. Teraz niczego mi już nie brakuje... to jest, brak mi jeszcze trzewików... ale sporządzą je sobie w najbliższych dniach ze skóry dzikiego barana.

Orso wsunął w rękę bandyty dwie pięciofrankówki.

— To Kolomba przysłała ci proch; a tu masz na trzewiki.

— Żadnych głupstw, poruczniku — wykrzyknął Brandolaccio, oddając pieniądze. — Czy mnie pan bierze za żebraka? Przyjmuję chleb i proch, ale nie chcę poza tym nic.

— Między starymi żołnierzami myślałem, że można sobie pomóc. No, bywajcie!

Ale nim odszedł, włożył niepostrzeżenie pieniądze do sakwy bandyty.

— Z Bogiem, Ors' Anton'! — rzekł słuchacz teologii. — Spotkamy się może któregoś dnia w chaszczach i będziemy dalej prowadzić studia nad Wergilim.

Minął już z kwadrans, jak Orso opuścił swych uczciwych towarzyszy, kiedy usłyszał, że ktoś biegnie za nim ze wszystkich sił. Był to Brandolaccio.

— To trochę nadto, poruczniku! — wykrzyknął zdyszczanym głosem. — To trochę nadto! Oto pańskie dziesięć franków. Komu innemu nie przepuściłbym takiego figła. Śliczne ukłony dla panny Kolomby. Ot, jak się zdyszałem przez pana. Dobranoc.

XII

Orso zastał Kolombę nieco zaniepokojoną jego długą nieobecnością; ale widząc go, znów przybrała zwyczajny wyraz smutnej pogody. Przy wieczerzy mówili jedynie o rzeczach obojętnych. Ośmielony spokojem siostry, Orso opowiedział spotkanie z bandytami i rzucił nawet parę żarcików na temat moralnego i religijnego wychowania, jakie otrzymuje mała Chilina dzięki staraniom wuja i jego czcigodnego kamrata, imć pana Castriconi.

— Brandolaccio jest zacny człowiek — rzekła Kolomba — ale co do Castriconiego, słyszałam, że to człowiek bez zasad.

— Sądzę — rzekł Orso — że jest ściśle tyle wart, co Brandolaccio, a Brandolaccio tyle, co on. Obaj są w otwartej wojnie ze społeczeństwem. Pierwsza zbrodnia pcha ich co dzień do nowych zbrodni; mimo to nie są może tyle winni, co wielu ludzi niemieszkających w chaszczach.

Błysk radości zajaśniał na czole siostry.

— Tak — ciągnął Orso — ci nędznicy mają na swój sposób honor. W życie, jakie pędzą, wtrącił ich okrutny zabobon, nie zaś niska chciwość.

Nastała chwila milczenia.

— Bracie — rzekła Kolomba, nalewając kawę — wiesz może, że Karol Baptysta Pietri zmarł ubiegłej nocy? Tak, zmarł na złośliwą febrę.

— Cóż to za Pietri?

— Człowiek z naszego miasteczka, mąż Magdaleny, tej, która odebrała portfel z rąk ojca, gdy umierał. Wdowa przyszła mnie prosić, abym przyszła na ceremonię i zaśpiewała coś. Wypadaloby, abyś i ty przybył. To sąsiedzi, jest to grzeczność, od której nie można się usuwać w tak małej miejscinie.

— Do diabła z tymi ceremoniami, Kolombo! Nie podoba mi się, aby siostra moja robiła z siebie publiczne widowisko.

— Orso — odparła Kolomba — każdy czci zmarłych na swój sposób. *Ballatę* przekazali nam przodkowie; powinniśmy ją szanować jako sta-

rodawny obyczaj. Magdalena nie ma daru, a stara Fiordispina, która jest najlepszą *voceratrice* w naszych stronach, jest chora. Trzeba koniecznie kogoś, kto by wygłosił *ballatę*.

— Czy myślisz, że Karol Baptysta nie odnajdzie drogi na tamten świat, jeśli kto nie odśpiewa lichych wierszy nad jego trumną? Idź, jeśli chcesz, Kolombo; pójdę z tobą, skoro uważasz, że powinien, ale nie improwizuj; to nie jest odpowiednie w twoim wieku i... proszę cię o to.

— Bracie, przyrzekłam. To zwyczaj u nas, wiesz o tym, a powtarzam: ja jestem jedyna, która mogę go dopełnić.

— Głupi zwyczaj!

— I mnie bardzo jest ciężko śpiewać w tych okolicznościach. To mi przypomina wszystkie nasze nieszczęścia. Jutro odchoruję to, ale trzeba. Pozwól mi, bracie. Przypomnij sobie, że w Ajaccio kazałeś mi improwizować dla zabawienia tej młodej Angielki, która śmieje się z naszych starych obyczajów. Czyż nie ma mi być wolno dzisiaj improwizować dla biednych

ludzi, którzy będą mi wdzięczni za to i którym to pomoże udźwignąć ich zgryzotę?

— Dobrze więc, czyń jak zechcesz. Założę się, że już napisałaś swoją *ballatę* i nie chcesz jej zmarnować.

— Nie, nie mogłabym ułożyć tego z góry, bracie. Staję wobec umarłego i myślę o tych, którzy zostali. Łzy napływają mi do oczu i wówczas śpiewam, co mi przyjdzie na myśl.

Wszystko to powiedziane było z taką prostotą, że niepodobna było przypuszczać najbliższej poetyckiej miłości własnej u panny Kolomby. Orso dał się zmiękczyć i udał się z siostrą do Pietrich. Zmarły leżał na stole, z odkrytą twarzą, w najpiękniejszej izbie. Drzwi i okna były otwarte; świece paliły się dokoła stołu. W głowach zmarłego klęczała wdowa, za nią tłum kobiet zajmował całą jedną połąć izby; z drugiej strony skupili się mężczyźni, stojąc z odkrytą głową, z okiem utkwionym w trupa, zachowując głębokie milczenie. Każdy nowo wchodzący

zbliżał się do stołu, ściskał zmarłego¹³⁶, kłaniał się wdowie i synowi, po czym zajmował miejsce w kole, nie wymawiając słowa. Od czasu do czasu wszelako ktoś z obecnych przerywał uroczyste milczenie, zwracając się z paroma słowami do zmarłego. „Czemu opuściłeś swoją dobrą żonę?”, mówiła jakaś kuma. „Czy nie dbała troskliwie o ciebie? Czego ci brakowało? Nie mogłeś zaczekać jeszcze miesiąc? Synowa powiłaby ci wnuka”.

Słuszny młody człowiek, syn Pietriego, ściskając za rękę ojca, wykrzyknął: „Och, czemuż nie zginąłeś od złej śmierci?¹³⁷ Bylibyśmy cię pomścili!”

Były to pierwsze słowa, jakie Orso usłyszał, wchodząc. Na jego widok krąg otworzył się, słaby szmer ciekawości oznajmił oczekiwanie zgromadzonych, zbudzone wejściem improwizatorki. Kolomba uściskała wdowę, ujęła ją za rękę i trwała tak kilka minut, skupiona, ze spuszczonej oczami. Następnie odrzuciła zasłonę

¹³⁶*Każdy nowo wchodzący zbliżał się do stołu, ściskał zmarłego* — zwyczaj ten istnieje jeszcze w Bocognano (1840). [przypis autorski]

¹³⁷*zła śmierć* — *malemort*, gwałtowna śmierć. [przypis autorski]

w tył, wlepiła wzrok w umarłego i pochyłona nad trupem, prawie równie blada jak on, zaczęła w ten sposób:

„Karolu Baptysto! Niech Chrystus przyjmie twą duszę! — Życ to cierpieć. Idziesz w miejsce, gdzie nie ma słońca ani chłodu. Nie trzeba ci już sierpa ani ciężkiej motyki. — Nie ma już pracy dla ciebie. — Odtąd każdy dzień będzie tobie niedzielą. — Karolu Baptysto, niech Chrystus przygarnie twoją duszę! — Syn włada twoim domem. — Widziałam padający dąb — wysuszony tchnieniem *libeccia*¹³⁸. — Myślałam, że już umarł. — Wróciłam i korzeń jego puścił pędy. — Pęd stał się dębem o szerokim cieniu. — Pod jego krzepkimi gałęzmi spocznij, Maddelè — i myśl o dębie, którego już nie ma”.

Tu Magdalena zaczęła głośno szlochać, a paru ludzi, którzy w potrzebie zmierzyliby z fuzji do człowieka z równie zimną krwią co do ku-

¹³⁸*libeccio* (wł.) — wiatr południowo-zachodni, dominujący na Korsyce, szczególnie południowej, przez cały rok. [przypis edytorski]

ropatwy, jęło wycierać grube łzy na ogorzałych policzkach.

Kolomba ciągnęła w ten sposób jakiś czas, zwracając się to do nieboszczyka, to do rodziny. Niekiedy, za pomocą prozopopei¹³⁹ właściwej *ballacie*, kazała mówić samemu zmarłemu, aby pocieszać przyjaciół lub dawać im rady. W miarę jak improwizowała, twarz jej przybierała natchniony wyraz; płeć¹⁴⁰ barwiła się przejrzystą różowością, która tym więcej uwydatniała blask zębów i ogień rozszerzonych źrenic. Była to pytonissa na trójnogu¹⁴¹. Prócz kilku westchnień, kilku zduszonych szlochów, nie dosłyszałoby się ani najłżejszego szmeru w tłumie, który cisnął się dokoła niej. Mimo że Orso mniej niż ktokolwiek inny dostępny był tej dzikiej poezji, niebawem

¹³⁹*prozopopeja* — zabieg retoryczny polegający na wprowadzeniu w obręb wypowiedzi pozornych cytatów słów tych, którzy nie mogą rzeczywiście wypowiedzieć się, np. zmarłych, nieobecnych, a nawet (poprzez personifikację) przedmiotów, zwierząt, zjawisk i pojęć. [przypis edytorski]

¹⁴⁰*płeć* (daw.) — cera; koloryt skóry twarzy. [przypis edytorski]

¹⁴¹*pytonissa na trójnogu* — w staroż. Grecji *Pytia*, wieszczka Apolla w świątyni w Delfach, która siedząc na trójnogu w podziemnym pomieszczeniu, odurzona oparami, w transie udzielała niejasnych przepowiedni na przekazane jej pytania. [przypis edytorski]

udzieliło mu się powszechne wzruszenie. Ukryty w ciemnym kącie, płakał na równi z synem Pietriego.

Nagle uczynił się lekki ruch w audytorium: krąg otworzył się, weszło kilku obcych. Z szacunku, jaki im okazano, z pośpiechu, z jakim uczyniono miejsce, widać było, iż są to ludzie znaczni, których odwiedziny przynosiły zaszczyt domowi. Mimo to, przez szacunek dla *ballaty*, nikt nie odezwał się do nich ni słowem. Ten, który wszedł pierwszy, wyglądał na mężczyznę lat czterdziestu. Czarne ubranie, czerwona wstążeczka w kształcie rozety, powaga i pewność siebie malujące się na twarzy pozwalały od pierwszego rzutu oka odgadnąć prefekta. Za nim wszedł przygarbiony starzec, o żółciowej cerze, starający się pod zielonymi okularami ukryć lękliwe i niespokojne spojrzenie. Miał czarne ubranie, zbyt obszerne, które mimo że zupełnie jeszcze nowe, zrobione było widocznie przed wielu laty. Wciąż trzymając się boku prefekta, wyglądał na człowieka, który, można by rzec, chce się skryć w jego cieniu. Wreszcie za

nim weszli dwaj młodzi ludzie o słusznej postawie, z cerą spaloną przez słońce, o policzkach ocienionych gęstymi bokobrodami, z okiem dumnym, zuchwałym, okazującym lekceważącą ciekawość. Orso miał czas zapomnieć fizjonomii¹⁴² swoich krajanów; ale widok starca w zielonych okularach obudził w nim natychmiast dawne wspomnienia. Obecność jego w towarzystwie prefekta wystarczała, aby go poznać. Był to adwokat Barricini, mer Pietranera, który wraz z dwoma synami przybył, aby uraczyć prefekta widowiskiem *ballaty*. Trudno określić, co się działo w tej chwili w duszy Orsa; ale obecność wroga jego ojca obudziła w nim jakby dreszcz grozy; bardziej niż kiedykolwiek uczuł się dostępny podejrzeniom, które przez tak długi czas zwalczał.

Co do Kolomby, na widok człowieka, któremu przysięgła śmiertelną nienawiść, żywa jej fizjonomia przybrała natychmiast złowrogi wyraz. Zbladła, głos jej stał się chrapliwy, rozpoczęty wiersz zamarł na ustach... Ale niebawem,

¹⁴²fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

podejmując swą *ballatę*, ciągnęła z wznowioną gwałtownością:

„Kiedy jastrząb podnosi lament — wobec opróżnionego gniazda — szpaki bujają dokoła — urągając jego boleści”.

Tutaj dał się słyszeć zduszony śmiech: byli to dwaj młodzi ludzie, świeżo przybyli, którym się ta przenośnia wydała zapewne zbyt śmiała.

„Jastrząb się obudzi; rozwinie skrzydła — obmyje dziób we krwi! — A ty, Karolu Baptysto, niechaj twoi przyjaciele — dadzą ci ostatnie pożegnanie. — Łzy ich płynęły dość długo. — Jedynie biedna sierota nie będzie cię opłakiwać. — I czemu miałyby cię opłakiwać? — Usnąłeś syt życia — pośród rodziny — przygotowany, aby się zjawić — przed obliczem Wszechmocnego. — Sierota płacze swego ojca — zaskoczonego przez nikczemnych mordców — ugodzonego z tyłu — ojca, którego krew czerwieni się — pod stosem zielonych liści. Ale zebrała jego krew — tę krew szlachetną i niewinną — rozlała ją na Pietranera — izby się stała śmiertelną trucizną. — I Pietranera

będzie napiętnowana — dopóki krew zbrodnicza — nie wymaże śladów krwi niewinnej”.

Kończąc te słowa, Kolomba osunęła się na krzesło, ściągnęła zasłonę na twarz i słychać było jej szlochanie. Kobiety, zapłakane, cisnęły się dokoła improwizatorki; wielu mężczyzn rzucało złowrogie spojrzenia w stronę mera i jego synów; kilku starców szemrało na zgorszenie, które spowodowali swą obecnością. Syn zmarłego przedostał się przez ciżbę i zamierzał prosić mera, aby co prędzej opuścił dom, ale ten nie czekał na to zaproszenie. Cofał się ku drzwiom, a obaj synowie byli już na ulicy. Prefekt zwrócił parę kondolencyjnych frazesów do młodego Pietri i udał się prawie natychmiast za tamtymi. Orso zbliżył się do siostry, ujął ją za ramię i wyprowadził z izby.

— Przeprowadźcie ich — rzekł młody Pietri do paru przyjaciół. — Czuwajcie, aby się im nic nie przytrafiło!

Paru młodych ludzi włożyło pośpiesznie sztylety w lewy rękaw kaftana i odprowadzili Orsa i siostrę jego aż do domu.

XIII

Bez tchu, wyczerpana, Kolomba nie była zdolna wymówić słowa. Oparła głowę na ramieniu brata, z ręką wciśniętą między jego dłonie. Mimo iż Orso w głębi dosyć miał za złe jej wystąpienie, zanadto był niespokojny, aby czynić siostrze najłżejszą wymówkę. Oczekiwał w milczeniu końca ataku nerwowego, jakiego zdawała się być pastwą, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Saweria wbiegła pomieszana, oznajmiając: „Pan prefekt!” Na to imię Kolomba podniosła się, jak gdyby zawstydzona swą słabością, i stała wyprostowana, opierając się na krześle, które widocznie drżało pod jej ręką.

Prefekt zaczął od kilku słów banalnego usprawiedliwienia niewłaściwej pory odwiedzin, wyraził współczucie dla stanu panny Kolomby, wspomniał o niebezpieczeństwie silnych wzruszeń, zganił obyczaj żałobnych lamentacji, które talent improwizatorki czyni tym boleśniejszymi dla obecnych; wsunął zręcznie lekki wyrzut z przy-

czynny ostatniej apostrofy¹⁴³. Następnie, zmieniając ton, rzekł:

— Panie della Rebbia, przywożę dla pana wiele uprzejmych wyrazów od pańskich angielskich przyjaciół. Miss Nevil przesyła nadto serdeczności pańskiej siostrze. Mam panu doręczyć list, który przywiozłem.

— List od miss Nevil? — wykrzyknął Orso.

— Niestety, nie mam go przy sobie, ale otrzyma go pan za pięć minut. Pułkownik był cierpiący. Lękaliśmy się chwilę, aby się nie stał pastwą naszej straszliwej febry. Dzięki Bogu, jest już wolny od niebezpieczeństwa, o czym będzie pan mógł sam osądzić, mam nadzieję bowiem, że ujrzysz go niedługo.

— Miss Nevil musiała być bardzo niespokojna?

— Szczęściem, dowiedziała się o niebezpieczeństwie dopiero wówczas, kiedy już by-

¹⁴³*apostrofa* — figura retoryczna polegająca na bezpośrednim zwróceniu się do fikcyjnego lub realnego adresata. [przypis edytorski]

ło daleko. Panie della Rebbia, miss Nevil wiele mówiła mi o panu i o pańskiej siostrze.

Orso skłonił się.

— Ma wiele przyjaźni dla obojga państwa. Pod zewnętrzną formą pełną uroku, pod pozorami lekkości, kryje ona prawdziwe skarby rozumu i charakteru.

— To urocza osoba — rzekł Orso.

— Jeżeli tu przybyłem, to prawie że na jej prośbę, panie della Rebbia. Nikt lepiej ode mnie nie zna opłakanej przygody, której wolałbym nie musieć przypominać panu. Wobec tego, że pan Barricini jest jeszcze merem Pietranera, a ja prefektem tego departamentu, nie potrzebuję panu mówić, ile wagi przywiązuję do pewnych podejrzeń, których, jeśli dobrze jestem powiadomiony, nierozważne osoby panu udzieliły i które pan odtrąciłeś, wiem o tym, z całym oburzeniem, jakiego można się było spodziewać po pańskim stanowisku i charakterze.

— Kolombo — rzekł Orso, kręcąc się niespokojnie na krześle — jesteś bardzo zmęczona. Powinna byś się położyć.

Kolomba uczyniła przeczący gest. Wróciła do zwykłego spokoju i wlepiła gorejące oczy w prefekta.

— Pan Barricini — ciągnął prefekt — pragnąłby żywo, aby już ustała ta nieprzyjaźń... to jest ten stan niepewności, w jakim panowie znajdujecie się wzajem... Co do mnie byłbym uszczęśliwiony, widząc, iż wytwarzają się między panem a nim stosunki, jakie winny panować między ludźmi godnymi wzajemnego poważania...

— Panie prefekcie — rzekł Orso wzruszonym głosem — nigdy nie oskarżałem adwokata Barricini o zabójstwo ojca, ale popełnił czyn, który na zawsze broni mi utrzymywania z nim jakichkolwiek stosunków. Podrobił list z pogrózkami w imieniu pewnego bandyty... a przynajmniej podstępnie przypisał ten list memu ojcu. Ostatecznie ten list, panie prefekcie, stał się prawdopodobnie pośrednią przyczyną jego śmierci.

Prefekt skupił się chwilę.

— To, że pański ojciec mógł w to uwierzyć wówczas, kiedy uniesiony żywością charakteru prowadził sprawę przeciw panu Barricini, to się da usprawiedliwić; ale z pańskiej strony podobne zaślepienie jest niedopuszczalne. Niech się pan zastanowi, że Barricini nie miał żadnego interesu w podrabianiu tego listu. Nie mówię panu o jego charakterze... nie znasz go pan, jesteś uprzedzony... ale nie przypuszczasz chyba, aby człowiek znający prawo...

— Ależ, panie — rzekł Orso podnosząc się z krzesła — niech się pan raczy zastanowić, iż mówić mi, że ten list nie jest dziełem pana Barricini, znaczy przypisywać go memu ojcu. Jego honor, panie prefekcie, jest moim.

— Nikt więcej ode mnie, drogi panie — podjął prefekt — nie jest przekonany o honorze pułkownika della Rebbia... ale... autor listu jest już dziś wiadomy.

— Kto? — wykrzyknęła Kolomba, podchodząc ku prefektowi.

— Nędznik, winny wielu zbrodni... zbrodni, których wy, Korsykanie, nie przebaczacie,

złodziej, niejaki Tomaso Bianchi, obecnie zamknięty w więzieniu w Bastia, wyznał, że jest autorem nieszczęsnego listu.

— Nie znam tego człowieka — rzekł Orso.
— Jaki mógłby mieć cel?...

— To człowiek z tych stron — rzekła Kolomba — brat naszego dawnego młynarza. To nicpoń i kłamca, niegodny, aby mu wierzyć.

— Zaraz zobaczycie państwo — ciągnął prefekt — jaki mógł mieć interes w tej sprawie. Młynarz, o którym mówi szanowna siostra pańska — nazywał się, o ile mi się zdaje, Teodor — dzierżawił od pułkownika młyn na owym strumieniu, którego własność kwestionował pańskiemu ojcu pan Barricini. Otóż Tomaso sądził, że jeżeli pan Barricini uzyska prawo do strumienia, trzeba mu będzie płacić znaczny czynsz, wiadomo bowiem, że pan Barricini dosyć jest łakomy na pieniądze. Krótko mówiąc, aby wygodzić bratu, Tomaso podrobił list bandyty i oto cała historia. Wiadomo panu, iż węzły rodzinne są na Korsyce tak potężne, że pociągają niekiedy aż do zbrodni... Chciej pan rzucić okiem na

list, jaki pisze do mnie generalny prokurator, a znajdziesz potwierdzenie tego, co powiadam.

Orso przebiegł oczyma list, który przytaczał szczegółowo zeznania Tomasa, Kolomba zaś równocześnie czytała przez ramię brata.

Gdy skończyła czytać, wykrzyknęła:

— Orlanduccio Barricini udał się do Bastii przed miesiącem, skoro przysłała wiadomość, że Orso ma wrócić. Zobaczył się z Tomasem i kupił od niego to kłamstwo.

— Panno Kolombo — rzekł prefekt z pewnym zniecierpliwieniem — pani tłumaczy wszystko za pomocą hańbiących przypuszczeń; czy to jest sposób, aby dojść do prawdy? Pan, drogi panie, patrzysz na rzeczy z zimną krwią; niech mi pan powie, co pan teraz myśli? Czy sądzi pan, jak siostra, iż człowiek, któremu grozi na ogół jedynie dosyć lekka kara, będzie się obwiniał, ot, tak sobie, o zbrodnię fałszerstwa, aby zobowiązać człowieka, którego nie zna?

Orso odczytał list generalnego prokuratora, ważąc każde słowo z niezmierną bacznością; od czasu bowiem jak ujrział adwokata Barri-

cini, czuł się trudniejszy do przekonania niż kilka dni przedtem. Wreszcie musiał przyznać, że tłumaczenie zdaje mu się zadowolające. Ale Kolomba wykrzyknęła z siłą:

— Tomaso Bianchi jest szalbierz! Nie będzie skazany albo też umknie z więzienia, jestem tego pewna.

Prefekt wzruszył ramionami.

— Udzieliłem panu — rzekł — objaśnień, które otrzymałem. Odchodzę i zostawiam pana refleksjom. Zaczekam, aż oświeci pana jego rozsądek i mam nadzieję, iż okaże się silniejszy niż... przypuszczenia pańskiej siostry...

Orso po kilku słowach, w których starał się usprawiedliwić Kolombę, powtórzył, iż wierzy obecnie, że Tomaso jest jedynym winnym.

Prefekt podniósł się z miejsca.

— Gdyby nie było tak późno — rzekł — zaproponowałbym panu, abyś się udał ze mną po list miss Nevil... Za jednym zachodem mógłby pan powtórzyć panu Barricini to, co powiedziałeś mnie, i wszystko byłoby skończone.

— Nigdy Orso della Rebbia nie przekroczy progu Barricinich! — krzyknęła Kolomba gwałtownie.

— Widzę, że panienka jest *tintinajo*¹⁴⁴ rodziny — rzekł prefekt szyderczo.

— Panie — rzekła Kolomba stanowczym głosem — oni pana oszukują. Pan nie zna adwokata. To najchytrzejszy, najpodstępniejszy z ludzi. Zaklinam pana, nie popychaj Orsa do uczynku, który okryłby go hańbą.

— Kolombo! — krzyknął Orso. — Zapamiętałość doprowadza cię do niedorzeczności.

— Orso! Orso! Na tę szkatułkę którą ci oddałam, błagam, wysłuchaj mnie. Między tobą a Barricinimi jest krew, nie pójdiesz do nich!

— Siostro!

— Nie, bracie, nie pójdiesz albo ja opuszczę ten dom i już mnie nie zobaczysz... Orso, miej litość nade mną.

Padła na kolana.

¹⁴⁴*tintinajo* — tak nazywa się tryka niosącego dzwonek i prowadzącego trzodę, a przez przenośnię daje się to miano członkowi rodziny, który kieruje nią we wszystkich ważnych sprawach. [przypis autorski]

— Jesteśmy w rozpaczycy — rzekł prefekt — iż panna della Rebbia tak nieprzystępna jest głosowi rozsądku. Ale przekona ją pan, jestem pewny.

Uchylił drzwi i zatrzymał się, jakby czekając, aby Orso udał się za nim.

— Nie mogę jej opuścić w tej chwili — rzekł Orso. — ...Jutro, jeżeli...

— Wyjeżdżam wcześniej — rzekł prefekt.

— Przynajmniej, bracie — wykrzyknęła Kolomba ze złożonymi rękami — zaczekaj do jutra rana. Pozwól mi przejrzeć papiery ojca... Nie możesz mi tego odmówić.

— Więc dobrze! Przejrzysz je dziś wieczór, ale pod warunkiem, że nie będziesz mnie już później dręczyć tą obłądną nienawiścią... Stokrotnie przepraszam pana, panie prefekcie... Sam czuję się w tej chwili tak nieswój... Lepiej odłożyć to do jutra rana.

— Noc przynosi zdrową radę — rzekł prefekt, zegnając się — mam nadzieję, że jutro wszystkie pańskie wahania pierzchną.

— Saweria — wykrzyknęła Kolomba — weź latarnię i poświeć panu prefektowi. Odda ci list dla pana Orsa.

Dodała kilka słów, które jedna tylko Saweria usłyszała.

— Kolombo — rzekł Orso po odejściu prefekta — zrobiłaś mi wielką przykrość. Czy ciągle będziesz się upierać wobec oczywistości?

— Dałeś mi czas do jutra — odparła. — To bardzo krótko, ale mam jeszcze nadzieję.

Wzięła pęk kluczy i pobiegła do pokoju na pięterku. Tam słychać było, jak otwiera spiesznie szuflady i szpera w sekretarzyku, gdzie pułkownik della Rebbia zamykał niegdyś ważniejsze papiery.

XIV

Saweria bawiła długo poza domem. Niecierpliwość Orsa dochodziła szczytu, kiedy zjawiała się wreszcie, trzymając list i prowadząc za sobą małą Chilinę, która przecierała oczy, zbudzono ją bowiem z pierwszego snu.

— Dziecko — rzekł Orso — co ty tu robisz o tej porze?

— Panienska mnie wezwwała — odparła Chilina.

„Kiż licha ona chce od tej małej?” — pomyślał Orso, ale skwapliwie odpieczętował list miss Lidii, Chilina zaś, gdy on czytał, udała się na piętro, do „panienki”.

Ojciec był nieco cierpiący — pisała miss Nevil — jest zresztą tak leniwy do pióra, że muszę służyć mu za sekretarza. Kiedyś, pamięta pan, zamoczył nogi nad morzem, zamiast podziwiać z nami krajobrazy; nie trzeba więcej, aby przyprawić człowieka o febrę na waszej uroczej wyspie. Widzę stąd minę, jaką pan robi; szuka pan z pewnością sztyletu, ale mam nadzieję, że już go pan nie nosi. Zatem ojciec przebył nieco gorączki, a ja wiele strachu; prefekt, który wciąż wydaje mi się nader sympatyczny, dostarczył nam lekarza, również bardzo miłego, i ten w ciągu dwóch dni

położył koniec naszym zmartwieniom. Napad nie powtórzył się i ojciec wybiera się już na polowanie; ale nie pozwalałam mu jeszcze. Jak pan znalazł¹⁴⁵ swój zamek w górach? Czy wieża północna zawsze jest na swoim miejscu? Czy są strachy? Pytam o to wszystko, ponieważ ojciec pamięta, że mu pan przyrzekł daniele, dziki, muflony¹⁴⁶... Czy takie jest przezwisko tego osobliwego zwierzęcia? Udając się do Bastii, spodziewamy się poprosić pana o gościnność i mam nadzieję, że zamek della Rebbia, który pan przedstawia jako tak stary i zrujnowany, nie zawali się nam na głowy. Mimo iż prefekt jest tak miły, że nigdy z nim nie braknie tematu do rozmowy, *by the bye*¹⁴⁷, pochlebiam sobie, iż zawróciłam mu w głowie. Mówiliśmy też o Waszej Dostojskości. Dygnitarze sądowi z Bastii prze-

¹⁴⁵znaleźć coś jakimś (daw.) — zobaczyć, że coś jest jakieś; uznać coś za jakieś; ocenić jako. [przypis edytorski]

¹⁴⁶muflon śródziemnomorski (biol.) — podgatunek dzikiej owcy, żyjący pierwotnie w górach Sardynii i Korsyki, ob. w większości krajów Europy; przodek owcy domowej. [przypis edytorski]

¹⁴⁷*by the bye* (ang.) — nawiasem mówiąc. [przypis edytorski]

słali mu zeznania pewnego hultaja, którego trzymają pod kluczem; zeznania tego rodzaju, iż mogą rozproszyć ostatnie pańskie podejrzenia; rozdrażnienie pańskie, które przyprawiało mnie czasem o niepokój, powinno ustać z tą chwilą. Nie ma pan pojęcia, jaką mi to sprawia przyjemność.

Kiedy pan odjechał z piękną *vocera-trice*, z fuzją w dłoni, z posępnym spojrzeniem, wydał mi się pan bardziej Korsykaninem niż zazwyczaj... zanadto Korsykaninem nawet. *Basta!*¹⁴⁸ Rozpisuję się o tym długo, bo się nudzę. Prefekt odjeżdża, niestety! Prześlemy panu wiadomość, skoro puścimy się w podróż w wasze góry; ośmielę się wówczas napisać do panny Kolomby, aby ją poprosić o *brucio, ma solenne*¹⁴⁹. Nim to nastąpi, proszę jej oświadczyć mnóstwo serdeczności. Bardzo obficie posługuję się jej sztyletem, przecinam nim kartki romansu, który wzię-

¹⁴⁸*basta* (wł.) — dość; wystarczy. [przypis edytorski]

¹⁴⁹*ma solenne* (wł.) — ale uroczyście, solennie. [przypis edytorski]

łam z sobą; ale ta stal oburza się na taki użytek i szarpie mi książkę w nielitościwy sposób. Żegnam pana i do zobaczenia; ojciec przesyła *his best love*¹⁵⁰. Niech pan słucha prefekta, to człowiek dobrej rady; zbacza z drogi, jak sędzę, umyślnie dla pana; ma położyć kamień węgielny w Corte; wyobrażam sobie, że to musi być nader imponująca uroczystość i żałuję bardzo, że nie mogę być obecna. Jegomość w haftowanym fraku, jedwabnych pończoszkach, białej szarfie, trzymający kielnię!... A dopiero przemówienie!... I cała ceremonia zakończy się tysiąckrotnym okrzykiem: „Niech żyje król!” Wbiję pana z pewnością w zarozumiałość, zapelniając bite cztery ćwiartki; ale nudzę się, powtarzam, i z tej samej przyczyny pozwalam panu napisać do mnie bardzo obszernie. *A propos*, wydaje mi się dosyć osobliwe, iż

¹⁵⁰*his best love* (ang.) — tu: swoje (jego) najserdeczniejsze pozdrowienia. [przypis edytorski]

dotąd nie zdał pan sprawy ze szczęśliwego przybycia do Pietranera-Castle.

Lidia

P. S. Proszę pana, byś wysłuchał prefekta i zrobił to, co panu powie. Postanowiliśmy razem, iż powinien pan postąpić w ten sposób i sprawi mi to przyjemność.

Orso odczytał parę razy list, opatrując go w myśli przy każdym czytaniu komentarzami bez liku; następnie skreślił długą odpowiedź, którą oddał Sawerii, aby ją zaniósła jednemu z mieszkańców, jadącemu tejże nocy do Ajaccio. Już nie myślał o tym, aby dyskutować z siostrą nad prawdziwymi lub fałszywymi zarzutami przeciw Barricinim; list miss Lidii ubarwił mu wszystko różowo; nie czuł już podejrzeń ani nienawiści. Odczekawszy jakiś czas, aż siostra zejdzie, i widząc, że się nie zjawia, udał się na spoczynek z złejszym sercem, niż mu się to zdarzyło od długiego czasu.

Wyprawivszy Chilinę z tajemnymi instrukcjami, Kolomba spędziła prawie całą noc na odczytywaniu starych szpargałów. Na krótki czas przed świtaniem parę kamyczków zadzwoniło o szyby. Na ten sygnał zeszła do ogrodu, otworzyła ukryte drzwiczki i wprowadziła do domu dwóch ludzi o bardzo podejrzaney minie; pierwszą jej troską było zaprowadzić ich do kuchni i dać im jeść. Kto byli ci ludzie, okaże się niebawem.

XV

Rankiem, około szóstej, służący prefekta zapukał do domu. Przyjęty przez Kolombę, oznajmił, że prefekt odjeżdża i że oczekuje jej brata. Kolomba odparła bez wahania, że brat upadł ze schodów i wykręcił nogę. Nie będąc w stanie zrobić kroku, błaga pana prefekta, aby mu darował; byłby bardzo wdzięczny, gdyby sam raczył doń wstąpić. Wkrótce po tym poselstwie Orso zszedł na dół i spytał siostry, czy prefekt nie posyłał po niego.

— Prosi, abyś czekał nań tutaj — rzekła z zupełnym spokojem.

Upłynęło pół godziny, przez które nie można było dostrzec najmniejszego ruchu od strony Barricinich; tymczasem Orso spytał Kolomby, czy zrobiła jakie odkrycie; odparła, iż przedstawi wszystko w obecności prefekta. Udawała zupełny spokój, ale twarz i oczy zwiastowały gorączkowe podniecenie.

Wreszcie ujrzano, jak brama Barricinich otwiera się: prefekt, w podróżnym stroju, wyszedł pierwszy, za nim mer i dwaj synowie. Jakież było zdumienie mieszkańców Pietranera, trwających na czatach od samego wschodu słońca, gdy ujrzeli, jak prefekt w towarzystwie trzech Barricinich przebywa w prostej linii plac i wchodzi do della Rebbiów. „Jedną się!” — wykrzyknęli miejscowi politycy.

— Mówiłem wam przecie — dorzucił jakiś starzec. — Orso Antonio zbyt długo żył na kontynencie, aby załatwiać sprawy jak mężczyzna.

— Ba — odparł jeden z rebbianistów — zważcie, że to Barriciniowie przychodzą pierwsi do niego. Proszą o łaskę.

— To prefekt omotał ich wszystkich — odparł starzec. — Nie ma już dziś odwagi, a młodzi ludzie tyle się troszczą o krew własnego ojca, co gdyby wszyscy byli bękartami.

Prefekt nie ukrywał mocnego zdumienia, kiedy ujrzał Orsa na nogach i schodzącego bez trudu. W dwóch słowach Kolomba przyznała się do kłamstwa i prosiła o przebaczenie.

— Gdyby pan mieszkał gdzie indziej, panie prefekcie — rzekła — brat byłby zaraz wczoraj przybył przedłożyć swoje uszanowanie.

Orso uniewinniał się wszelkimi sposobami, zaręczając, iż nie miał żadnego udziału w tym śmiesznym podstępie, którym był głęboko strapiiony. Prefekt i stary Barricini zdawali się wierzyć w szczerść żalów i wymówek, z jakimi zwracał się do siostry, ale widać było, że synom mera to nie wystarcza.

— Drwią z nas sobie tutaj — rzekł Orlanduccio, dość głośno, aby go słyszano.

— Gdyby moja siostra wyplatała mi taką sztuczkę — rzekł Vincentello — wybiłbym jej rychło z głowy ochotę do żartów.

Te słowa i ton, jakim je wymówiono, nie spodobały się Orsowi i osłabiły nieco jego dobrą wolę. Wymienił z młodymi Barricininimi spojżenia, w których nie było ani śladu życzliwości.

Tymczasem wszyscy siedli, z wyjątkiem Kolomby, która zatrzymała się tuż koło drzwi kuchennych. Prefekt zabrał głos i po kilku utartych zwrotach na temat miejscowych przesądów przypomniał, iż większość najbardziej zadawnionych nienawiści ma za przyczynę jedynie nieporozumienie. Następnie, zwracając się do mera, oświadczył, iż pan della Rebbia nigdy nie sądził, aby rodzina Barricininich miała brać bezpośredni lub pośredni udział w opłakanym wydarzeniu, które pozbawiło go ojca; prawda, że zachował niejaki wątpliwości co do pewnego szczegółu procesu między dwiema rodzinami; wątpliwości te usprawiedliwia długa nieobecność pana Orso i charakter objaśnień, ja-

kie otrzymał; obecnie, oświecony świeżymi rewelacjami, czuje się zupełnie zadowolony i pragnie ustalić z panem Barricini i jego synami stosunki przyjaźni i sąsiedztwa.

Orso skłonił się z przymusem; pan Barricini wyjąkał kilka słów, których nikt nie zrozumiał, synowie spoglądali na pułap. Prefekt, ciągnąc dalej przemówienie, miał zwrócić się do Orsa z odwrotną edycją tego, co oświadczył panu Barricini, kiedy Kolomba, wyciągając spod chustki jakieś papiery, wysunęła się poważnie między strony.

— Z serdeczną przyjemnością — rzekła — patrzyłabym na koniec wojny między naszymi rodzinami, ale aby pojednanie było szczere, trzeba wyjaśnić rzecz do gruntu i nie zostawić miejsca na żadne wątpliwości. Panie prefekcie, oświadczenie Tomasa Bianchi słusznie wydało mi się podejrzanę, jako pochodzące od człowieka oplakanej sławy. — Powiedziałam, iż pańscy synowie porozumieli się może z tym człowiekiem w więzieniu w Bastii...

— To fałsz — rzekł Orlanduccio — nie widziałem go.

Kolomba spojrzała nań ze wzgardą i ciągnęła dalej bardzo spokojnie na pozór:

— Interes, jaki mógł mieć Tomaso w tym, aby grozić panu Barricini w imieniu niebezpiecznego bandyty, wytłumaczył pan prefekt chęcią zachowania bratu swemu Teodorowi młyna, który ojciec wypuścił mu w dzierżawę za niską cenę?...

— To oczywiste — odparł prefekt.

— Ze strony nędznika, na jakiego wygląda ów Bianchi, wszystko się tłumaczy — rzekł Orso, zwiedziony spokojem siostry.

— Sfalszowany list — ciągnęła Kolomba, której oczy zaczynały się iskrzyć żywszym blaskiem — datowany jest z jedenastego lipca. Tomaso był wówczas u brata, we młynie.

— Tak — rzekł mer, nieco zaniepokojony.

— Jakież tedy interes miał Tomaso Bianchi? — wykrzyknęła Kolomba z triumfem. — Dzierżawa brata już wygasła, ojciec wypowiedział mu ją pierwszego lipca. Oto registry ojca,

brulion wypowiedzenia, list adwokata z Ajaccio, który stręczył¹⁵¹ nam nowego młynarza.

To mówiąc, podała prefektowi papiery, które trzymała w ręku.

Nastąpiła chwila powszechnego zdumienia. Mer widocznie pobladł; Orso, marszcząc brew, posunął się, aby się zapoznać z papierami, które prefekt czytał z wielką uwagą.

— Kpią sobie z nas tutaj! — wykrzyknął znowu Orlanduccio, podnosząc się z gniewem. — Chodźmy, ojczy, nie powinniśmy byli nigdy tu przychodzić!

Jedna chwila wystarczyła panu Barricini do odzyskania zimnej krwi. Poprosił o papiery; prefekt wręczył mu je, nie mówiąc słowa. Wówczas, podnosząc zielone okulary na czoło, przebiegł je z dosyć obojętną miną, gdy Kolomba przyglądała mu się oczyma tygrysicy, która widzi daniela zbliżającego się do legowiska jej młodych.

¹⁵¹*stręczyć* (daw.) — podsuwać komuś kupno czegoś, zatrudnienie kogoś itp.; namawiać, polecać. [przypis edytorski]

— Ależ — rzekł pan Barricini, spuszcżając okulary i oddając papiery prefektowi — znając dobrze nieboszczyka pułkownika... Tomaso myślał... mógł myśleć... że pan pułkownik odstąpi od decyzji... Faktycznie, został w posiadaniu młyna, zatem...

— To ja — rzekła Kolomba pogardliwie — zachowałam mu go. Ojciec mój umarł i w moim położeniu trzeba mi było oszczędzać stronników.

— Mimo to — rzekł prefekt — ów Tomaso przyznaje, że napisał list... to jasne.

— Co jest dla mnie jasne — przerwał Orso — to, iż wielkie łajdactwa kryją się w całej tej sprawie.

— Muszę jeszcze sprzeciwić się jednemu twierdzeniu tych panów — rzekła Kolomba.

Otworzyła drzwi od kuchni i wraz weszli do sali Brandolaccio, licencjat teologii i pies Brusco. Dwaj bandyci byli bez broni, przynajmniej widocznej; każdy miał u pasa ładownicę, ale bez pistoletu, który jest jej obowiązkowym

uzupełnieniem. Wchodząc do sali, zdjęli z szacunkiem czapki.

Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawił ten nagły widok. Mer omal nie upadł wstecz; synowie rzucili się dzielnie przed niego, z ręką w kieszeni kaftana, szukając sztyletów. Prefekt cofnął się ku drzwiom, gdy Orso, chwytając Brandolaccia za kołnierz, krzyknął:

— Co ty tu robisz, nędzniku?

— To pułapka! — wykrzyknął mer, starając się otworzyć drzwi, ale Saweria zamknęła je z zewnątrz na dwa spusty, z rozkazu bandytów, jak później się wyjaśniło.

— Dobrzy ludzie — rzekł Brandolaccio — nie obawiajcie się mnie; nie jestem taki diabeł, jak jestem czarny. Nie mamy żadnych złych zamiarów. Panie prefekcie, jestem pańskim uniożonym sługą. Poruczniku, łagodniej nieco, dusi mnie pan. Przychodzimy tu jako świadkowie. No dalej, Proboszczu, mów ty, ty masz gębę dobrze wyparzoną.

— Panie prefekcie — rzekł licencjat — nie mam zaszczytu być panu znanym. Nazywam się

Giocanto Castriconi, powszechniej znany pod mianem Proboszcza... A, przypomina mnie pan sobie! Ta panienska, której również nie miałem przyjemności znać, poprosiła mnie, abym jej udzielił wskazówek co do niejakiego Tomaso Bianchi, z którym byłem zamknięty przed trzema tygodniami w więzieniu w Bastii. Oto, co mogę państwu powiedzieć...

— Proszę się nie trudzić — rzekł prefekt — nie chcę nic słyszeć od człowieka takiego jak ty... Panie della Rebbia, chcę wierzyć, że pan nie ma żadnego udziału w tej wstrętnej pułapce. Ale czy jesteś panem w swoim domu? Każ pan otworzyć te drzwi. Siostra pańska będzie może musiała zdać rachunek z osobliwych stosunków, jakie utrzymuje z bandytami.

— Panie prefekcie — wykrzyknęła Kolomba — racz pan wysłuchać, co powie ten człowiek. Jest pan tu po to, aby wymierzyć wszystkim sprawiedliwość i obowiązkiem pańskim jest dochodzić prawdy. Mów, Giocanto Castriconi.

— Nie słuchaj go pan! — wykrzyknęli chórem Barriciniowie.

— Jeżeli wszyscy zechcą mówić naraz — rzekł bandyta z uśmiechem — nie będzie sposobu się porozumieć. W więzieniu tedy miałem za towarzysza, nie za przyjaciela, owego Tomaso, o którego chodzi. Przyjmował częste wizyty pana Orlanduccio...

— To fałsz! — krzyknęli naraz obaj bracia.

— Dwa przeczenia równają się twierdzeniu — zauważył zimno Castriconi. — Tomaso miał pieniądze, jadł i pił, co było najlepszego. Zawsze miałem słabość do dobrej kuchni (to jeszcze najmniejsza z moich wad) i mimo wstrętu do poufalenia się z takim lada-co, dałem się kilka razy skusić na podzielenie jego obiadu. Przez wdzięczność zaproponowałem, aby drapnął ze mną. Pewna dziewczynka, którą swego czasu obdarzałem niejakimi względami, dostarczyła środków... Nie chcę nikogo kompromitować. Tomaso odmówił, powiedział, że jest pewny swej sprawy, że adwokat Barricini zalecił go panom sędziom i że wyjdzie z dziury biały jak śnieg i z pieniędzmi w kie-

szeni. Co do mnie uważałem za właściwe się ulotnić. *Dixi*¹⁵².

— Wszystko, co powiada ten człowiek, jest stekiem kłamstw — powtórzył stanowczo Orlanduccio. — Gdybyśmy byli w szczerym polu, każdy ze strzelbą, nie mówiłby w ten sposób.

— Cóż za brednie! — wykrzyknął Brandolaccio. — Nie szukaj zwady z Proboszczem, Orlanduccio.

— Czy pozwoli mi pan nareszcie wyjść, panie della Rebbia? — rzekł prefekt, tupiąc niecierpliwie nogą.

— Saweria! Saweria! — krzyczał Orso. — Otwórz drzwi, do stu diabłów!

— Chwileczkę — rzekł Brandolaccio. — Musimy najpierw my zabrać cię w swoją stronę. Panie prefekcie, jest zwyczaj, że w razie spotkania u wspólnych przyjaciół udziela się sobie przy rozstaniu pół godziny zawieszenia broni.

Prefekt obrzucił go spojrzeniem wzgardy.

¹⁵²*dixi* (łac.) — dosł.: powiedziałem, rzekłem; słowo używane często na zakończenie dłuższej przemowy wyjaśniającej stanowisko mówcy. [przypis edytorski]

— Sługa unizony całej kompanii — rzekł Brandolaccio. Następnie, wyciągając poziomo ramię: — No, Brusco — rzekł do psa — skocz ładnie dla pana prefekta!

Pies skoczył, bandyci podjęli spiesznie broń zostawioną w kuchni i znikli przez ogród. Na przenikliwy gwizd drzwi otworzyły się jak zaczarowane.

— Panie Barricini — rzekł Orso ze skupioną wściekłością — uważam pana za fałszerza. Dziś jeszcze wyślę skargę przeciw panu do prokuratora o fałszerstwo i współnictwo z Bianchim. Może będę miał jeszcze straszliwszą skargę do wniesienia przeciw panu.

— A ja, panie della Rebbia — rzekł mer — oskarżę pana o zasadzkę i zмовę z bandytami. Nim to nastąpi, pan prefekt poleci pana żandarmerii.

— Prefekt spełni swój obowiązek — rzekł ten ostatni surowo. — Będzie czuwał nad tym, aby spokój nie był zakłócony w Pietranera, będzie się starał, aby sprawiedliwość była wymierzona. Mówię do was wszystkich, panowie!

Mer i Vincentello byli już za drzwiami, Orlanduccio zaś szedł za nimi, cofając się rączkiem, kiedy Orso rzekł doń po cichu:

— Ojciec pański to starzec, którego zmiażdżyłbym policzkiem: tobie go przeznaczam, tobie i twemu bratu.

W odpowiedzi Orlanduccio wydobył sztylet i rzucił się na Orsa jak wściekły; ale nim zdołał zrobić użytek z broni, Kolomba chwyciła go za ramię, które skręciła z siłą, gdy Orso, waląc go pięścią w twarz, zmusił do cofnięcia się o kilka kroków, przy czym Orlanduccio uderzył się silnie o drzwi. Sztylet wysunął mu się z ręki, ale Vincentello zdążył wydobyć swój i już wchodził do izby, kiedy Kolomba, rzucając się do strzelby, udowodniła mu, że partia jest nierówna. Równocześnie prefekt rzucił się między walczących.

— Do zobaczenia, wkrótce, Ors' Anton'!
— wykrzyknął Orlanduccio i zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi, zamknął je na klucz, aby zyskać czas do odwrotu.

Orso i prefekt przetrwali z kwadrans, nic nie mówiąc, każdy w innym kącie sali. Kolomba, z upojeniem tryumfu na czole, spoglądała po nich kolejno, wsparta na strzelbie, która rozstrzygnęła o zwycięstwie.

— Cóż za kraj! Cóż za kraj! — krzyknął wreszcie prefekt, podnosząc się. — Panie della Rebbia, zawinił pan. Proszę pana o słowo honoru, iż wstrzymasz się od wszelkiego gwałtu i będziesz czekał, aż sprawiedliwość zawyrokuje o tej przeklętej sprawie.

— Tak, panie prefekcie, źle zrobiłem, że uderzyłem tego nędznika, ale ostatecznie uderzyłem go i nie mogę odmówić zadośćuczynienia, jakiego zażąda ode mnie.

— Ech! Nie, on nie ma zamiaru bić się z panem!... Ale jeżeli pana zamorduje.... Zrobił pan wszystko, co trzeba, aby na to zapracować.

— Będziemy się strzegli — rzekła Kolomba.

— Orlanduccio — rzekł Orso — wydaje mi się odważnym chłopcem i lepsze mam o nim pojęcie, panie prefekcie. Za rychło chwy-

cił się sztyletu, ale na jego miejscu byłbym może postąpił tak samo; szczęście to dla mnie, że siostra moja ma garść tęższą od lada salonowej lalki.

— Nie będzie się pan bił! — wykrzyknął prefekt. — Zabraniam panu!

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, panie prefekcie, iż w sprawach honoru nie uznaję innej władzy prócz mego sumienia.

— Powiadam panu, że nie będziesz się bił!

— Może mnie pan zaaresztować, panie prefekcie... to jest, jeżeli dam się ująć. Ale gdyby to się stało, odwłókłby pan jedynie sprawę, obecnie nieuniknioną. Jest pan człowiekiem honoru, panie prefekcie; wie pan dobrze, że nie może być inaczej.

— Jeżeli pan każe uwięzić brata — dodała Kolomba — połowa wsi ujmie się za nim i będziemy mieli ładną strzelaninę.

— Uprzedzam pana — rzekł Orso — i błagam, chciej uwierzyć, że to nie fanfaronada¹⁵³; uprzedzam pana, że jeżeli mer Barricini nad-

¹⁵³*fanfaronada* — chępliwość, przechwalanie się odwagą. [przypis edytorski]

użyje swej władzy, aby mnie uwięzić, będę się bronił.

— Od dziś dnia — rzekł prefekt — mer Barricini zawieszony jest w swoich czynnościach... Usprawiedliwi się, mam nadzieję. Posłuchaj mnie pan, jestem panu życzliwy. To, o co proszę, to bardzo niewiele; siedź pan spokojnie aż do mego powrotu z Corte. Nieobecność moja potrwa jedynie trzy dni. Wrócę z prokuratorem i rozwikłamy wówczas zupełnie tę smutną sprawę. Czy przyrzeka mi pan wstrzymać się aż do tego czasu od wszelkich nieprzyjacielskich kroków?

— Nie mogę tego przyrzec, jeżeli, jak przypuszczam, Orlanduccio zażąda pojedynku.

— Jak to! Panie della Rebbia, pan, francuski wojskowy, chcesz się bić z człowiekiem, którego podejrzewasz o fałszerstwo?

— Uderzyłem go.

— Ależ gdybyś pan uderzył galernika i gdyby zażądał od pana rachunku, czyżby się pan z nim bił? Ech, panie Orso! Dobrze więc! Żądam od pana jeszcze mniej: nie szukaj Orlan-

duccia... Pozwalam panu bić się, w razie jeśli zażąda spotkania.

— Zażąda, nie wątpię o tym, ale przyrzekam panu, że nie spoliczkuję go ponownie, aby go zmusić do pojedynku.

— Cóż za kraj! — powtarzał prefekt, przechadzając się wielkimi krokami. — Kiedyż znów wrócę do Francji!

— Panie prefekcie — rzekła Kolomba najśłodszym głósikiem — późno już, czy uczyni nam pan ten zaszczyt, aby zjeść z nami śniadanie?

Prefekt nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Już i tak za długo tu zostałem... to wygląda na stronniczość... I ten przeklęty kamień!... Trzeba mi jechać... Panno della Rebbia, ile nieszczęść zgotowałaś może dzisiaj!

— Przynajmniej, panie prefekcie, zechce pan oddać siostrze sprawiedliwość, że działa w głębokim przekonaniu, a jestem pewien obecnie, że i pan sam uważa je za dobrze ugruntowane.

— Żegnam pana — rzekł prefekt, czyniąc gest. — Uprzedzam, że dam rozkaz brygadierowi żandarmerii, aby śledził wszystkie pańskie kroki.

Skoro prefekt wyszedł, Kolomba rzekła:

— Orso, nie jesteś na kontynencie. Orlanduccio nie rozumie się na twoich pojedynkach, zresztą nie śmiercią walecznych winien zginąć ten nędznik.

— Kolombo, moja droga, jesteś dzielna kobieta. Wdzięczny ci jestem bardzo, że ocaliłaś mnie od tęgiego pchnięcia nożem. Daj mi rączkę, niech ją ucałuję. Ale, widzisz, pozwól mi działać samemu. Są pewne rzeczy, których nie rozumiesz. Podaj mi śniadanie i skoro tylko prefekt ruszy w drogę, sprowadź mi Chilinę, która, jak widzę, doskonale wywiązuje się z poleceń. Będę jej potrzebował dla przesłania listu.

Gdy Kolomba doglądała śniadania, Orso udał się do swego pokoju i skreślił następujący bilecik:

Musi panu być pilno spotkać się ze mną; mnie z pewnością nie mniej. Jutro rano możemy znaleźć się obaj o szóstej w dolinie Aquaviva. Strzelam doskonale z pistoletu, nie proponuję panu tedy tej broni. Powiadają, że pan dobrze władasz fuzją; weźmy każdy po dubeltówce. Przyjdę w towarzystwie jednego człowieka. Jeśli brat zechce panu towarzyszyć, weź pan drugiego świadka i uprzedź mnie. W takim tylko razie wezmę z sobą dwóch świadków.

Orso della Rebbia

Prefekt, zabawiwszy godzinę u wicemera, wstąpiwszy na kilka chwil do Barricinich, wyjechał do Corte w asystencji jednego tylko żandarma. W kwadrans później Chilina zaniosiła list, który czytelnik przebiegł właśnie oczami i oddała go do własnych rąk Orlanduccia.

Orso długo czekał odpowiedzi, która przyszła aż wieczór. Podpisana była przez pana Bar-

ricini ojca, który oznajmił Orsowi, że list z pogroźkami, zwrócony do syna, znajdzie się w rękach prokuratora. „Czując się spokojny w sumieniu — dodawał, kończąc — czekam, by sprawiedliwość wydała wyrok o pańskich potwarzach”.

Tymczasem kilku pasterzy, wezwanych przez Kolombę, przybyło pełnić strażę na wieży della Rebbiów. Mimo protestów Orsa założono *archere* w oknach wychodzących na rynek. Cały wieczór otrzymywał Orso ofiary usług od rozmaitych osób z miasteczka. Przyszedł nawet list od teologa-bandyty, który przyrzekał w imieniu swoim i Brandolaccia wystąpić czynnie, gdyby mer sprowadził żandarmów. List kończył się tym postscriptum:

Czy wolno mi spytać, co myśli pan prefekt o wybornym wychowaniu, jakiego przyjaciel mój udziela swemu psu Brusco? Po małej Chilinie nie znam posłuszniejszego i rokującego piękniejsze nadzieje wychowanka.

XVI

Następny dzień upłynął bez nieprzyjacielskich kroków. Z obu stron trzymano się w defensywie. Orso nie wychodził z domu, brama zaś Barricinich była stale zamknięta. Pięciu żandarmerów, zostawionych załogą w Pietranera, przechadzało się na oczach mieszkańców po placu lub wsi w towarzystwie strażnika polowego, jedyne go przedstawiciela milicji gminnej. Wicemer nie rozstawał się z urzędową szarfą, ale prócz *archere* w oknach dwóch nieprzyjacielskich domów nic nie zwiastowało wojny. Jedyne Korsykanin zauważyłby, iż na placu, około dębu, jawiły się same kobiety.

Podczas wieczerzy Kolomba z radosną twarzą pokazała bratu następujący list, który właśnie otrzymała od miss Nevil:

Droga panno Kolombo, dowiaduję się z wielką przyjemnością z listu jej brata, że niezgoda już skończona. Niech pani przyjmie moje powinszowania. Ojciec nie może znieść Ajaccia od czasu, gdy mu bra-

kło towarzystwa pana Orso do gawędki o wojnie i polowaniu. Wyjeżdżamy dziś i jutro zjawimy się na nocleg u waszej krewniaczki, do której mamy list. Pojutrze, koło jedenastej, przybędę poprosić panią o kromkę górskiego *bruccio*, o tyle wyższego, zdaniem pani, od miejskich przysmaków.

Do zobaczenia, droga panno Kolombo.

Szczerze przyjazna,

Lidia Nevil

— Nie otrzymała zatem drugiego listu? —
wykrzyknął Orso.

— Widzisz z daty, że panna Lidia musiała być w drodze, kiedy list przybył do Ajaccio. Pisałeś więc, aby nie przyjeżdżała?

— Pisałem, że jesteśmy w stanie oblężenia. To nie jest, o ile mi się zdaje, pora na przyjmowanie gości.

— Ba! Ci Anglicy to osobliwi ludzie. Ostatniej nocy, którą spędziłam w pokoju panny Li-

dii, mówiła, że byłaby bardzo zmartwiona, gdyby opuściła Korsykę nie zobaczywszy ładnej *vendetty*. Gdybyś chciał, Orso, można by jej dla pokazania urządzić napad na dom Barricinich?

— Czy wiesz, Kolombo — rzekł Orso — że natura omyliła się, stwarzając cię kobietą? Byłby z ciebie doskonały żołnierz.

— Być może. W każdym razie idę sporządzić *bruccio*.

— Nie ma potrzeby. Trzeba posłać kogoś, aby uprzedzić ich i zatrzymać, nim puszczą się w drogę.

— Jak to! Chcesz wysyłać posłańca w taki czas po to, aby strumień uniósł go razem z listem... Jak mi żal biednych bandytów w taką burzę! Na szczęście, mają dobre burki... Czy wiesz, co trzeba zrobić, Orso? Jeśli burza ustanie, jedź jutro bardzo wcześnie i stań u krewniaczki, nim pułkownik z córką zdążą ruszyć w drogę. To nie będzie trudno, miss Lidia wstaje zawsze bardzo późno. Opowiesz im, co się u nas dzieje; jeśli mimo to zechcą przybyć, bardzo nam będzie miło ich ugościć.

Orso skwapliwie zaaprobował projekt, Kolomba zaś po chwili milczenia podjęła:

— Myślisz może, Orso, że ja żartowałam, kiedy mówiłam o szturmie do Barricinich? Czy wiesz, że jesteśmy w przewadze, co najmniej dwóch przeciw jednemu? Od czasu, jak prefekt zawiesił mera w urzędzie, wszyscy tutejsi ludzie są za nami. Moglibyśmy ich roznieść na siekierach. Łatwo byłoby znaleźć zaczepkę. Gdybyś zechciał, poszłabym do studni, zaczęłabym przedrwiwać z ich kobiet: wyszliby... Być może... to tacy nikczemnicy!... może zaczęliby strzelać do mnie przez *archere*; chybiliby. Wówczas wszystko byłoby w porządku: tamci zaczęli. Co się stało, to się stało; jak dojść w zamęcie, kto się z nimi załatwił? Wierzaj siostrze, Orso; czarne suknie, które tu przybędą, zawalają dużo papieru, nagadają dużo bezużytecznych słów. Nie wyniknie z tego nic. Stary lis znalazłby sposób, aby im pokazać gwiazdy na niebie w samo południe. Ach, gdyby prefekt nie zasłonił Vincentella, byłoby jednego mniej.

Wszystko to wygłosiła Kolomba z tą samą zimną krwią, z jaką przed chwilą mówiła o przygotowaniach do robienia *bruccio*.

Orso, zdumiony, patrzył na siostrę z podziwem i obawą.

— Moja słodka Kolombo — rzekł, wstając od stołu — jesteś, lękam się tego, diabłem we własnej osobie, ale bądź spokojna. Jeżeli nie uda mi się przywieść Barricinich pod szubienicę, znajdę sposób załatwienia się z nimi w inny sposób. Ciepła kula lub zimna stal¹⁵⁴. Widzisz, nie zapomniałem korsykańskiego języka.

— Im prędzej, tym byłoby lepiej — rzekła Kolomba z westchnieniem. — Jakiego konia weźmiesz jutro, Ors' Anton'?

— Karego. Czemu pytasz?

— Aby mu dać jęczmienia.

Skoro Orso udał się do siebie, Kolomba wyprawiała na spoczynek Sawerię i pasterzy i została sama w kuchni, gdzie przygotowywał się *bruccio*. Od czasu do czasu nastawiała ucha, jak

¹⁵⁴Ciepła kula lub zimna stal — *palla calda u farru freddu*, bardzo używane wyrażenie korsykańskie. [przypis autorski]

gdyby czekając z niecierpliwością, aż brat się położy. Skoro wreszcie sądziła, że usnął, wzięła nóż, upewniła się, że jest ostry, wsunęła małe nóżki w grube trzewiki i bez najmniejszego hałasu wyszła do ogrodu.

Ogród, zamknięty murem, przytykał do dość obszernego i okolonego żywopłotem kawałka ziemi, gdzie chowano konie, na Korsyce bowiem konie nie znają wcale stajni. Zazwyczaj zostawia się je wolno w polu i zdaje się na ich inteligencję znalezienie paszy i ochronę przed zimnem i deszczem.

Kolomba otworzyła drzwiczki z tąż samą ostrożnością, weszła w ogrodzenie i gwizdnąwszy lekko, zwabiła do siebie konie, którym nosiła często chleb i sól. Z chwilą gdy kary znalazł się na odległość ręki, chwyciła go silnie za grzywę i przecięła ucho nożem. Koń dał straszliwego susa i uciekł, wydając ów ostry krzyk, jaki wydiera koniom uczucie dotkliwego bólu. Wówczas Kolomba, zadowolona, wysunęła się z powrotem do ogrodu, gdy Orso otworzył okno i krzyknął: „Kto tam?” Równocze-

śnie usłyszała, że nabija strzelbę. Szczęściem dla Kolomby furtka znajdowała się w zupełnej ciemności i wielka figa zasłaniała ją w części. Niebawem z przerywanych błysków, jakie zamigotały w pokoju, doszła do wniosku, iż Orso stara się zapalić lampę. Zamknęła spieszenie furtkę i pomykając wzdłuż muru w ten sposób, iż czarna suknia zlewała się z ciemną gęstwiną szpalerów, zdołała dotrzeć do kuchni na parę chwil przed zjawieniem się brata.

— Co się stało? — spytała.

— Zdawało mi się — rzekł Orso — że ktoś otwierał furtkę.

— Niepodobna. Pies byłby szczekał. Zresztą chodźmy zobaczyć.

Orso obszedł dokoła ogród i stwierdziwszy, że brama wjazdowa jest szczelnie zamknięta, gotował się wrócić do pokoju, nieco zawstydzony tym fałszywym alarmem.

— Z przyjemnością widzę, bracie — rzekła Kolomba — że stajesz się ostrożny, jak należy w twoim położeniu.

— Ty mnie kształcisz — odparł Orso. — Dobranoc.

Rano, ze świtem, Orso wstał, gotów do odjazdu. Strój jego zwiastował równocześnie dbałość o elegancję człowieka mającego się przedstawić oczom kobiety, której się chce podo-
bać, a zarazem przezorność Korsykanina w to-
ku *vendetty*. Na obcisłym niebieskim surdu-
cie miał, jako ładownicę, puszkę z błyszczące-
go metalu zawierającą naboje, zawieszoną na
zielonym jedwabnym sznurku; sztylet umieścił
w bocznej kieszeni, w ręku zaś trzymał pięk-
ną fuzję systemu Mantona, nabitą kulami. Gdy
Orso dopijał śpiesznie filiżanki kawy zgotowa-
nej przez Kolombę, jeden z pasterzy wyszedł,
aby okulbaczyć¹⁵⁵ i narządzić konia. Orso i sio-
stra pospieszyli tuż za nim i weszli w ogrodze-
nie. Pasterz zbliżył się do konia, ale naraz wy-
puścił siodło i uzdę i stanął, jak gdyby zdjęty
grozą, gdy koń, który pamiętał ranę z ubiegłej

¹⁵⁵*okulbaczyć* — osiodłać; *kulbaka*: rodzaj siodła wojskowego, pokrytego skórą, zwykle o wysokim łęku przednim. [przypis edytorski]

nocy i obawiał się o drugie ucho, wspinał się, wierzgał, rżał i miotał się jak oszalały.

— Dalej, spiesz się! — wołał Orso.

— Och, Ors' Anton'! Och, Ors' Anton'! — wykrzyknął pasterz. — Święta Madonno!...

Następowały przekleństwa bez liczby i końca, z których większość niemożliwa jest do przetłumaczenia.

— Co się stało, mówże? — spytała Kolomba.

Wszyscy zbliżyli się do konia i widząc zakrwawione i rozcięte ucho, podnieśli krzyk zdumienia i oburzenia. Trzeba wiedzieć, iż okaleczyć konia swego wroga jest u Korsykan zarazem zemstą, wyzwaniem i pogroźką śmierci. „Jedynie kula zdolna jest zmazać tę zbrodnię”. Mimo iż Orso, który długo żył poza krajem, mniej niż kto inny odczuł ogrom obrazy, jednak gdyby w tej chwili zjawił się jaki barricinista, prawdopodobnym jest, iż byłby mu bezzwłocznie dał odpokutować zniewagę, którą przypisywał wrogom.

— Nikczemni tchórze! — wykrzyknął. — Mścić się na biednym zwierzęciu, gdy mnie nie śmieją stanąć do oczu!

— Na cóż czekamy? — wykrzyknęła gwałtownie Kolomba. — Przychodzą nas wyzywać, kaleczyć nasze konie, a my byśmy im nie odpowiedzieli? Czy jesteście mężczyźni?

— Zemsty! — odpowiedzieli pasterze. — Oprowadźmy konia po wsi i przypuśćmy szturm do ich domu.

— Stodoła pokryta słomą przytyka do ich wieży — rzekł stary Polo Griffo — w mgnieniu oka stanie w płomieniach.

Drugi ofiarowywał się przynieść drabinkę z dzwonnicy, trzeci wysadzić bramę Barricinińską za pomocą bala, złożonego na placu i przeznaczonego do jakiejś rozpoczętej budowli. Wśród tych wściekłych okrzyków słychać było głos Kolomby, oznajmiającej swym poplecznikom, iż nim się wezmą do dzieła, każdy otrzyma duży kielich anyżówki.

Na nieszczęście, lub raczej na szczęście, wrażenie, jakie sobie obiecywała po swym okru-

cieństwie, było dla Orsa w znacznej mierze stracone. Nie wątpił on, iż to dzikie okaleczenie jest dziełem jednego z wrogów; podejrzewał o nie szczególnie Orlanduccia; ale nie uważał, aby ten młody człowiek, wyzwany i spoliczkowany przezeń, zmazał swą hańbę tym, iż przeciął ucho koniowi. Przeciwnie, ta podła i śmieszna zemsta powiększała jego wzgardę; myślał obecnie wraz z prefektem, że podobni ludzie nie zasługują, aby się z nimi mierzyć. Skoro tylko zdołał dojść do głosu, oświadczył stropionym rebbianistom, aby poniechali wojowniczych zamiarów i że sprawiedliwość, której stróże zjawią się niebawem, pomści bardzo skutecznie ucho biednego konia.

— Jestem tu panem — dodał surowo — i chcę, by mnie słuchano. Pierwszy, który ośmieli się jeszcze mówić o zabijaniu i podpalaniu, może mieć wprzódki ze mną do czynienia. Dalej! Osiodłać mi bułanego¹⁵⁶.

¹⁵⁶*bułany* — określenie maści konia: płowy, jasnobrązowy z czarną grzywą i ogonem. [przypis edytorski]

— Jak to, Orso — rzekła Kolomba, odciągając go na stronę — ścierpisz, by nas znieważono? Za życia ojca nigdy Barriciniowie nie ośmieliliby się kaleczyć naszego bydłęcia!

— Przysięgam ci, że pożałują tego, ale rzeczą żandarmów i katów jest karać nędzników, którzy odważni są tylko wobec zwierząt. Powiedziałem ci, sąd pomści nas... albo też... nie będziesz potrzebowała mi przypominać, czyim jestem synem.

— Cierpliwości — rzekła Kolomba, wzdychając.

— Zapamiętaj sobie dobrze, siostró — ciągnął Orso — że jeżeli za powrotem zobaczę, iż dopuszczono się jakiegoś wybryku na Barriciniach, nigdy ci tego nie daruję. — Następnie dodał łagodniej: — Jest bardzo możliwe, prawdopodobne nawet, że wrócę tu z pułkownikiem i jego córką; postaraj się, aby pokoje były w porządku, aby śniadanie było dobre, słowem, aby goście nie cierpieli zbytnej niewygody. To bardzo pięknie, Kolombo, być dzielną, ale trzeba także, by kobieta umiała być gospodynią do-

mu. No, uściskaj mnie, bądź rozsądna; już osiodłano bułanka.

— Orso — rzekła Kolomba — nie pojedziesz sam.

— Nie trzeba mi nikogo — rzekł Orso — i ręczę ci, że nie dam sobie uciąć ucha.

— Och! Nigdy nie pozwolę ci jechać samemu w wojennym czasie. Hej! Polo Griffio! Gian' France! Memmo! Weźcie strzelby, będziecie towarzyszyli panu.

Po dość żywej dyskusji Orso musiał się zgodzić na eskortę. Wybrał spośród najzapalczywszych pasterzy tych, którzy najgłośniej doradzali rozpoczęcie wojny; następnie, ponowiwszy jeszcze nakazy siostrze i pozostałym, puścił się w drogę, czyniąc tym razem koło, aby minąć dom Barricinich.

Byli już daleko od Pietranera i jechali ostrym kłusem, kiedy mijając strumyczek, który gubił się w bagnisku, stary Polo Griffio ujrział kilka świń, wygodnie siedzących w błocie i rozkoszujących się ciepłem słońca i chłodem kąpieli. Natychmiast, wzięwszy na cel największą, wy-

pałił jej prosto w łeb i zabił na miejscu. Towarzyski zmarłej podniosły się i umknęły z zaskakującą lekkością; mimo że drugi pasterz dał też ognia, dopadły zdrowo i cało zarośli, w których znikły.

— Ciemięgi! — wykrzyknął Orso. — Bierzcie świnie za dziki!

— Wcale nie, Ors' Anton' — odparł Polo Griffó — ale to stado adwokata: to go nauczy kaleczyć nasze konie!

— Jak to, łajdaki! — wykrzyknął Orso, nie posiadając się z wściekłości. — Naśladujecie bezceństwa naszych wrogów! Opuśćcie mnie, nędznicy. Nie potrzebuję was. W sam raz dla was bić się ze świniami. Przysięgam na Boga, że jeśli odważycie się jechać za mną, rozwalę łeb pierwszemu z brzegu!

Pasterze spoglądali po sobie stropieni. Orso spał ostrogami konia i zniknął w galopie.

— Ha, ha! — rzekł Polo Griffó. — To paradne! Bądź że tu komu oddany, zarobisz sobie ładną wdzięczność! Pułkownik, jego ojciec, pogniewał się na ciebie za to, żeś raz wziął na

cel adwokata... Gamoń z ciebie, nie mogłeś to wypalić... A syn... widzisz, co zrobiłem dla niego... Mówi o rozwaleniu łba... ot, tyle mu człowiek wart, co stary bukłak, gdy już nie trzyma wina. Oto czego ich uczą na łądzie, Memmo!

— Tak, tak, a teraz, jeśli się dowiedzą, że to ty zabiłeś świnie, wytoczą ci proces, a Ors' Anton' pewnie nie zechce pogadać z sędziami i zapłacić adwokata. Szczęściem, nikt cię nie widział, a święta Nega zawsze jest pod ręką, aby dopomóc człękowi w potrzebie.

Po krótkiej naradzie obaj pasterze doszli do wniosku, że najprzezorniej będzie wrzucić wieprza do trzęsawiska, który to projekt wprowadzili w czyn, nie wprzód oczywiście, aż każdy wyciął sobie spory zraz pieczystego z niewinnej ofiary nienawiści della Rebbiów i Barricinich.

XVII

Uwolniony od niesfornej eskorty, Orso jechał dalej, bardziej zaprzątnięty miłą nadzieją ujrzienia miss Nevil niż obawą spotkania wrogów.

„Proces, który mnie czeka z tymi łajdakami — myślał — zniewoli mnie, abym się udał do Bastii. Czemu nie miałbym towarzyszyć miss Nevil? Czemu z Bastii nie mielibyśmy się razem wybrać do wód w Orezza?”

W jednej chwili wspomnienia dzieciinne wywołały jasno przed oczyma tę malowniczą miejscowość. Zdało mu się, że go przeniesiono na zielony trawnik u stóp wiekowych kasztanów. Na kobiercu lśniącej trawy, zasianej niebieskimi kwiatkami, podobnymi do oczu, które się doń uśmiechały, widział miss Lidię, siedzącą koło niego. Zdjęła kapelusz; jasne jej włosy, delikatniejsze i miększe niż jedwab, błyszcząły jak złoto na słońcu, wdzierającym się przez liście. Oczy jej, tak czystej niebieskiej barwy, zdawały mu się bardziej niebieskie niż firmament. Z policzkiem wspartym na dłoni słuchała w zadumie słów miłości, które zwracał do niej ze drzeniem. Miała na sobie tę samą muślinową suknię, co ostatniego dnia w Ajaccio. Spod fałdów wychylała się drobna nóżka w czarnym atlasowym trzewiczku, Orso mó-

wił sobie, iż byłoby dlań wielkim szczęściem ucałować tę nóżkę; ale jedna z rąk miss Lidii była obnażona i trzymała stokrotkę, Orso ujął tą stokrotkę, przy czym miss Lidia ścisnęła jego dłoń; całował stokrotkę, potem rękę...

Wszystkie te myśli nie pozwalały mu zwracać uwagi na drogę; mimo to kłusował wciąż naprzód. Miał po raz drugi ucałować w wyobraźni białą rękę miss Nevil, kiedy omal iż w rzeczywistości nie ucałował głowy konia, który zatrzymał się nagle. To mała Chilina zagroziła mu drogę i chwyciła za uzdę.

— Gdzie wy jedziecie tak, Ors' Anton'? — spytała. — Nie wiecie, że wróg jest blisko?

— Wróg! — wykrzyknął Orso, wściekły, iż mu przerwano w tak interesującym momencie. — Gdzie?

— Orlanduccio jest tu, niedaleko. Czeka na pana. Wracajcie, wracajcie.

— A, czeka na mnie? Widziałaś go?

— Tak, Ors' Anton', leżałam w paprociach, kiedy przechodził. Rozglądał się na wszystkie strony lunetą.

— W którą stronę poszedł?

— Tędy w dół, tam gdzie pan jedzie.

— Dziękuję.

— Ors' Anton', nie dobrze by było, gdyby pan zaczekał na wuja? Przybędzie tu niebawem, z nim byłby pan bezpieczny.

— Nie bój się, Chili, nie trzeba mi twego wuja.

— Gdyby pan zechciał, poszłabym przodem.

— Dziękuję, dziękuję.

I Orso, spiąwszy konia, skierował się szybko we wskazaną stronę.

Pierwszym jego odruchem był ślepy poryw wściekłości. Powiedział sobie, że los daje mu wyborną sposobność skarcenia nikczemnika, który kaleczy niewinnego konia, aby się zemścić za policzek. Następnie, w miarę jak się posuwał, przyrzeczenie, jakie złożył poniekąd prefektowi, zwłaszcza zaś obawa postradania odwiedzin miss Nevil, zmieniły jego usposobienie: niemal byłby rad uniknąć spotkania z Orlanducciem. I znowu wspomnienie ojca,

zniewaga wyrządzona koniowi, pogrożki Barri-
cinich podsycaly jego gniew i parły go ku temu,
aby odszukać przeciwnika, wyzwać go i zmu-
sić do pojedynku. Tak miotany sprzecznymi
postanowieniami, posuwał się ciągle naprzód,
obecnie już z całą ostrożnością. Przeglądał krza-
ki i zarośla, niekiedy zatrzymując się nawet i nad-
słuchując mętnych odgłosów przynoszonych wia-
trem. W dziesięć minut po rozstaniu się z Chi-
liną (było wówczas około dziewiątej) znalazł się
na brzegu bardzo stromego zbocza. Droga, lub
raczej ledwie zaznaczona ścieżka, którą posu-
wał się Orso, prowadziła przez świeżo spalone
chaszczce.

Ziemia była w tym miejscu pokryta białą-
wym popiołem; tu i ówdzie krzewy i nieliczne
drzewa, szernione ogniem i zupełnie ogoło-
cone z liści, stały prosto, mimo że już przestały
żyć. Widok takich spalonych chaszczy sprawia
wrażenie, jakby się było przeniesionym nagle
w krajobraz północny w pełni zimy, a kontrast
miejsc strawionych płomieniem z krzewiącą się
dokoła bujną wegetacją czyni widok ten jeszcze

smutniejszym i rozpaczliwym. Ale w krajobrazie tym Orso widział w tej chwili tylko jedną rzecz, ważną zaiste w jego położeniu: iż grunt, ogołocoony w ten sposób, nie mógł dawać kryjówki żadnej zasadzce. Ten, kto się może obawiać w każdej chwili, iż z gąszczów wychyli się lufa wymierzona w jego pierś, patrzy jak na oazę na teren, gdzie nic nie zatrzymuje wzroku. Za spalonymi chaszczami ciągnął się duży szmat uprawnych pól, otoczonych wedle miejscowego zwyczaju kamiennym murem, sięgającym do wysokości pasa. Ścieżka prowadziła pomiędzy tymi ogrodzeniami, gdzie ogromne nieregularnie sadzone kasztany dawały z daleka pozór gęstego lasu.

Zmuszony z powodu bystrego spadku zsiąść na ziemię, Orso, puściwszy wolno uzdę, schodził spiesznie, ślizgając się w popiele. Był już może ledwo o dwadzieścia pięć kroków od kamiennego ogrodzenia po prawej stronie drogi, kiedy ujrzał na wprost siebie najpierw lufę, następnie głowę, wychylającą się nad murem. Fu-

zja pochyliła się w dół i Orso poznał Orlanduccia, gotującego się dać ognia. Bez chwili namysłu stanął w obronnej postawie i obaj, biorąc się na cel, patrzyli na siebie kilka sekund z tym przenikliwym wzruszeniem, jakiego doświadcza najodważniejszy człowiek w chwili, gdy ma zabić lub być zabitym.

— Nikczemny tchórze! — krzyknął Orso.

Mówił jeszcze, kiedy ujrzał błysk strzelby Orlanduccia. Prawie równocześnie drugi strzał padł po lewej, z przeciwnej strony dróżki, z fuzji człowieka, którego Orso nie spostrzegł i który wziął go na cel, zaczajony za murem. Obie kule trafiły: jedna, Orlanduccia, przeszła lewe ramię, które odsłonił, biorąc go sam na cel; druga ugodziła w pierś, rozdarła ubranie, ale natknąwszy się na klingę sztyletu, spłaszczyła się na niej i spowodowała tylko lekką kontuzję. Lewe ramię Orsa zwisło bezwładnie i lufa opadła na chwilę, ale podniósł ją natychmiast i kierując broń samą prawą ręką, dał ognia w stronę Orlanduccia. Głowa nieprzyjaciela, odsłonięta tylko po oczy, znikła. Orso, zwracając się

na lewo, oddał drugi strzał w kierunku otoczonej dymem i ledwie widocznej postaci. I ta również znikła. Cztery strzały nastąpiły po sobie z niewiarygodną szybkością: najwyćwiczniejsi żołnierze nie umieliby uczynić krótszej przerwy podczas rotowego¹⁵⁷ ognia. Po ostatnim strzale Orsa wszystko pogrążyło się w ciszy. Dym wychodzący z jego broni wznosił się powoli ku niebu; żadnego poruszenia za murem ani najłżejszego szmeru. Gdyby nie ból w ramieniu, mógłby myśleć, że ci ludzie, do których dopiero co dał ognia, to były zjawy jego wyobraźni.

Oczekując nowych strzałów, Orso uczynił kilka kroków, aby się ukryć za jednym ze spalonych drzew pozostałych wśród zgliszczy lasu. Za tym schronieniem ścisnął strzelbę kolanami i nabił spiesznie. Lewe ramię sprawiało mu okrutny ból; miał uczucie, że dźwiga olbrzymi ciężar. Co się stało z wrogami? Nie mógł zrozumieć. Gdyby uciekli, gdyby byli ranni, słyszałby z pewnością jakiś hałas, jakiś szelest wśród liści.

¹⁵⁷*rotowy ogień* — wystrzał z broni palnej przez wszystkich żołnierzy rot (oddziału) jednocześnie. [przypis edytorski]

Czyżby byli nieżywi lub, co prawdopodobniejsze, czyżby schronieni za murem czekali sposobności nowego strzału?

W tej niepewności, czując, że siły jego słabną, Orso przyklęknął na prawe kolano, oparł na drugim zranione ramię i posłużył się gałęzią spalonego pnia jako podporą dla strzelby. Z palcem na cynglu, z okiem wlepionym w mur, z uchem czujnym na najmniejszy szelest, trwał tak nieruchomo kilka minut, które wydały mu się wiekiem.

Wreszcie dobrze z dala za Orsem dał się słyszeć słaby krzyk; niebawem pies, zbiegłszy drożyną z szybkością strzały, zatrzymał się przy nim, wywijając ogonem. Był to Brusco, uczeń i towarzysz bandytów, zwiastujący bez wątpienia przybycie pana. Nigdy żadnego uczciwego człowieka nie oczekiwano z równą niecierpliwością. Pies z pyskiem wzniesionym w górę, w stronę bliskiego ogrodzenia, węszył niespokojnie. Nagle wydał głuchy mruk, przesadził jednym susem mur i prawie natychmiast skoczył nań z powrotem, patrząc bystro na Orsa

i wyrażając oczyma zdumienie tak jasno, jak w ogóle pies może to uczynić. Następnie wystawił znów nozdrza na wiatr, tym razem w kierunku drugiego ogrodzenia, które znów przeskoczył. Po sekundzie pojawił się na murze, okazując ten sam wyraz zdumienia i niepokoju; następnie skoczył w spalone chaszczce, z ogonem między nogami, patrząc na Orsa i oddalając się odeń wolno, przebierając boczkiem, póki się nie znalazł w pewnej odległości. Wówczas, puszczając się pędem, wbiegł na wzgórze prawie równie szybko, jak wprzód zbiegł na dół, dążąc na spotkanie człowieka, który mimo bystrej wyniosłości posuwał się zwawo.

— Do mnie, Brando! — wykrzyknął Orso, skoro przybysz znalazł się na odległości głosu.

— Ho! Ors' Anton'! Ranny pan jesteś? — spytał Brandolaccio, przybiegając cały zdyszany. — Ciało czy kończyzna?

— Ramię.

— Ramię! To nic. A tamten?

— Zdaje się, że go trafiłem.

Brandolaccio, idąc za psem, pobiegł ku bliższemu ogrodzeniu i pochylił się, aby zajrzeć na drugą stronę. Po czym zdejmując czapkę:

— Pokłon panu Orlanduccio — rzekł. Następnie zwracając się w stronę Orsa, skłonił mu się z kolei, z poważną miną:

— Oto — rzekł — co się nazywa sprawić człowieka jak należy.

— Żyje jeszcze? — spytał Orso, oddychając z trudnością.

— Och! Ani mu w głowie; zanadto strapił się kulą, którą mu pan wpakował w samo oko. Święta Madonno, cóż za dziura! Dobra strzelba, na honor! Cóż za kaliber! Cała mózgownica zgnieciona na plaster! Słuchajcie, Ors' Anton'. Skoro tylko usłyszałem: „pif! pif!”, pomyślałem sobie: „Do kroćset bomb! dobierają się do mego porucznika”. Potem słyszę: „bum! bum!” „Aha! — mówię sobie – to fuzja angielska gada: odpowiada im...” Ale, Brusco, czegoż ty chcesz ode mnie?

Pies zaprowadził go ku drugiemu ogrodzeniu.

— Za pozwoleniem — wykrzyknął Brandolaccio zdumiony. — Podwójny strzał! Tylko tyle! Do kaduka! Widać dobrze, że proch jest drogi; diabelnie go pan oszczędza!

— Co takiego, na litość boską? — spytał Orso.

— Ech, nie róbże kawałów, poruczniku! Walisz zwierzynę na ziemię i chcesz, aby ci ją znosić... Znam kogoś, kto będzie dziś miał ucieszny deser po obiedzie! Niby pan adwokat Barri-cini. A mięso w jatkach, hej! potanieje na bezcen. Kiż diabeł będzie teraz dziedziczył?

— Jak to! Vincentello też nie żyje?

— Bardzo nie żyje. Za zdrowie nasze, cośmy zostali!¹⁵⁸ To z panem jest przyjemne, że pan nie daje się męczyć człowiekowi. Chodź pan zobaczyć Vincentella: jeszcze ot, klęczy tutaj, z głową wspartą o mur. Wygląda, jakby spał. O tym można powiedzieć: sen ołowiany. Biedaczysko.

Orso odwrócił głowę ze zgrozą.

¹⁵⁸*Za zdrowie nasze...* — *Salute a noi!* Wykrzyknik, który następuje zwykle po słowie „śmierć” i służy dlań jak gdyby za poprawkę. [przypis autorski]

— Czy pewien jesteś, że nie żyje?

— Jesteś pan jak Sampiero Corso, który zawsze dawał tylko jeden strzał. Widzisz pan, o... w pierś, po lewej? Ot, tak jak Vincileone dostał pod Waterloo. Założyłbym się, że kula jest niedaleko serca. Dubleta! Ha! Wieszam już fuzję na kołku. Dwu od jednego razu!... Kulą!... Dwóch braci!... Gdyby miał trzeci ładunek, sprzątnąłby i papę... Poprawi się na przyszły raz... Cóż za strzał, Ors' Anton'!... I pomyśleć, że nigdy dzielnemu chłopcu takiemu jak ja nie zdarzy się zrobić dublety do żandarmów!

Wciąż rozprawiając, bandyta oglądał ramię Orsa i rozcinał rękaw sztyletem.

— To nic — rzekł. — Z surdudem tylko panna Kolomba będzie miała trochę roboty... He? Cóż ja tu widzę? Ta dziura na piersi?... Nic nie weszło tędy? Nie, nie byłby pan taki rzeński. No, niech pan spróbuje poruszyć palcami... Czuje pan moje zęby, kiedy pana kęsam w mały palec?... Nie bardzo?... Wszystko jedno, nic panu nie będzie. Niech mi pan pozwoli chustkę do nosa i krawat... Surdut diabli wię-

li... Po kiego licha tak się pan wypięknął? Czy pan jechał na wesele?... No, wypij pan kropelkę wina... Dlaczego pan nie ma z sobą manierki? Czy Korsykanin rusza się kiedy z domu bez manierki?

Naraz podczas opatrunku przerwał sobie, aby wykrzyknąć:

— Dwóch na jeden strzał! Obu trupem z miejsca! Dopieroż Proboszcz się uśmieje... Dubleta! A, wlecze się nareszcie ta żółwica, Chilina.

Orso nie odpowiadał. Był blady jak trup i drżał na całym ciele.

— Chili — krzyknął Brandolaccio — idź popatrzeć za ten murek. He?

Dziecko, pomagając sobie rękami i nogami, wdrapało się na mur i ujrzawszy trupa Orlanduccia, uczyniło znak krzyża.

— To nic — ciągnął bandyta — idź, zobacz dalej, o, tam.

Dziewczynka uczyniła nowy znak krzyża.

— To ty, wuju? — spytała lękliwie.

— Ja! Alboż ja nie jestem już starym nie-
dołęgą? Chili, to robota porucznika Orso. Po-
wieszuj mu.

— Panna Kolomba bardzo się ucieszy —
rzekła Chilina — i będzie bardzo zmartwiona,
że jesteście ranni, Ors' Anton'.

— Dalej, Ors' Anton' — rzekł bandyta,
dokończywszy opatrunku — oto Chilina zło-
wiła pańskiego konia. Siadaj pan i jedź razem
ze mną w chaszczę Stazzona. Sprytny będzie,
kto cię tam znajdzie. Będziemy tam pana ku-
rować, jak umiemy najlepiej. Kiedy dobijemy
do krzyża świętej Krystyny, trzeba będzie zsiąść
z konia. Dasz go pan małej Chilinie, która po-
spiesz się uprzedzić panienkę; za jedną drogą za-
łatwi panu drobne sprawunki. Możesz pan wszyst-
ko powiedzieć małej, Ors' Anton': raczej da-
łaby się porąbać, niżby zdradziła przyjaciół. —
Tu nagle dodał czule: — Idź, szelmo, bądź wy-
klęta, bądź potępiona, hultajko! — Brandol-
laccio, zabobonny jak wielu bandytów, lękał
się urzec dziecko, darząc je błogosławieństwem
lub pochwałą, wiadomo bowiem, że tajemni-

cze potęgi, które posiadają moc *annocchiatura*¹⁵⁹, mają niegodziwy obyczaj spełniać rzecz wręcz przeciwną naszym życzeniom.

— Gdzie chcesz mnie prowadzić, Brando?
— rzekł Orso słabnącym głosem.

— Do kata! Masz pan do wyboru: do więzienia albo w chaszczę. Ale żaden della Rebbia nie zna drogi do więzienia. W chaszczę, Ors' Anton'!

— Przepadły zatem wszystkie me nadzieje!
— wykrzyknął boleśnie ranny.

— Pańskie nadzieje? Do kaduka! Chciałeś pan jeszcze więcej zrobić o jednej dwururce?... Ale, ale! W jaki sposób oni pana dosięgli? Te draby miały chyba życie twardsze jak koty.

— Oni strzelili pierwsi — rzekł Orso.

— To prawda, zapomniałem... Pif! pif! Bum! bum! Dwa strzały z jednej ręki!... Jeśli kto potrafi lepiej, dam się powiesić! No siedzisz pan już w siodle... Nim ruszymy, przyjrzyj się pan

¹⁵⁹*annocchiatura* — mimowolne urzeczenie bądź oczyma, bądź słowami. [przypis autorski]

trochę swemu dziełu. Nie jest uprzejmie opuszczać tak kompanię bez słówka pożegnania.

Orso spiał konia ostrogami; za nic w świecie nie byłby chciał widzieć nieszczęśliwych, którym dopiero co zadał śmierć.

— Ot, Ors' Anton' — rzekł bandyta, ujmując konia za uzdę — chce pan bym powiedział szczerze? Więc tak, bez obrazy pańskiej, żal mi tych biednych chłopaków. Niech mi pan raczy darować... Tacy ładni... tacy silni... młodzi... Orlanduccio, z którym polowałem tyle razy... Dał mi przed czterema dniami paczkę cygar... Vincentello, zawsze taki wesół... To prawda, zrobiłeś pan, co należało... Zresztą strzał jest zbyt ładny, aby go żałować... Ale ja, ja nie byłem zainteresowany w pańskiej zemście... Wiem, że pan ma słuszność; kiedy się ma wroga, trzeba się go pozbyć. Ale Barriciniowie to stara rodzina... Znowu jedna ubędzie z wyspy!... i to przez taką dubletę! To zabawne.

Wygłaszając tę mowę żalobną nad Barriciniemi, Brandolaccio prowadził spieszenie Orsa, Chilinę i psa Brusco ku chaszczom.

XVIII

Tymczasem Kolomba niedługo po wyjeździe Orsa dowiedziała się przez swoich szpiegów, że Barriciniowie ruszyli w pole i od tej chwili stała się pastwą żywego niepokoju. Przebiegała dom we wszystkich kierunkach, śpiesząc z kuchni do pokoi przygotowanych dla gości, nie robiąc nic, a ciągle zajęta, zatrzymując się bez ustanku, aby spojrzeć, czy nie spostrzeże w mieście jakiego niezwykłego poruszenia. Około jedenastej dość liczna kawalkada wjechała do Pietranera. Był to pułkownik i jego córka, wraz ze służbą i przewodnikiem. Pierwszym słowem Kolomby przy powitaniu było: „Czy państwo widzieli brata?” Następnie spytała przewodnika, którądy jechali, o której wyruszyli; wedle jego odpowiedzi nie mogła zrozumieć, w jaki sposób się nie spotkali.

— Może pan Orso wziął się górą — rzekł przewodnik — my jechaliśmy dolinami.

Ale Kolomba potrząsnęła głową i dalej gubiła się w pytaniach. Mimo wrodzonego har-

tu, wzmożonego jeszcze dumą, każącą ukryć wszelką słabość oczom cudzoziemców, niepodobieństwem jej było stłumić niepokój. Niebawem zaraziła nim pułkownika i miss Lidie, skoro ich wtajemniczyła w szczegóły usiłowanego pojednania, które obróciło się tak nieszczęśliwie. Miss Nevil nie mogła usiedzieć w spokoju, nalegała, aby rozesłano gońców we wszystkich kierunkach; pułkownik zaś ofiarował się wsiąść z powrotem na konia i udać się z przewodnikiem na poszukiwanie. Obawy gości przypomniały Kolombie obowiązki gospodyni. Siłła się na uśmiech, nalegała na pułkownika, aby siadł do stołu, i znalazła dla wytłumaczenia nieobecności brata dwadzieścia prawdopodobnych motywów, które niweczyła sama po chwili. Sądząc, iż obowiązkiem jego jako mężczyzny jest starać się uspokoić kobiety, pułkownik poddał również jakieś tłumaczenie.

— Założyłbym się — rzekł — że della Rebbia spotkał zwierzynę i nie mógł się oprzeć pokusie; zobaczycie, że wróci z pełną ładownicą.

Do kroćset! — dodał. — Toć¹⁶⁰ słyszeliśmy na drodze cztery wystrzały. Dwa były głośniejsze, tak iż rzekłem nawet do córki: „Założę się, że to della Rebbia poluje. Tylko moja dubeltówka może robić tyle hałasu”.

Kolomba pobladła, Lidia zaś, która śledziła ją z uwagą, odgadła bez trudu, jakie podejrzenia nasunęło jej przypuszczenie pułkownika. Po milczeniu trwającym kilka minut Kolomba spytała żywo, czy dwa głośniejsze strzały dały się słyszeć przed innymi, czy po nich. Ale ani pułkownik, ani miss Lidia, ani przewodnik nie zwrócili uwagi na ten zasadniczy szczegół.

Okolo pierwszej, gdy żaden z posłańców Kolomby nie wrócił, zebrała całą siłę woli i zmusiła gości, aby usiedli do stołu; ale z wyjątkiem pułkownika nikt nie mógł jeść. Za najmniejszym hałasem na rynku Kolomba biegła do okna, następnie wracała smutna, aby usiąść, i jeszcze smutniej siła się prowadzić obojętną rozmowę, do której nikt z obecnych nie miał

¹⁶⁰toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

serca i którą przerywały długie momenty milczenia.

Naraz usłyszano galop.

— Och, tym razem to Orso – rzekła Kolomba, wstając.

Ale na widok Chiliny siedzącej po męsku na koniu Orsa:

— Orso nie żyje! — krzyknęła rozdzierającym głosem.

Pułkownik upuścił szklanę, miss Nevil wydała krzyk, wszyscy pobiegli ku bramie. Nim Chilina zdołała zeskoczyć z wierzchowca, Kolomba uniosła ją jak piórko, na wpół dusząc w ramionach. Dziecko zrozumiało jej straszliwe spojrzenie: pierwsze słowo dziewczynki było toż samo, co w chórze Otella¹⁶¹: „Żyje”. Kolomba zwolniła uścisk i Chilina skoczyła na ziemię lekko jak młoda kotka.

— A tamci? — spytała Kolomba chrapliwym głosem.

¹⁶¹ *Otello* — tu: opera Gioacchino Rossiniego z roku 1816 na podstawie tragedii Szekspira o tym samym tytule. [przypis edytorski]

Chilina uczyniła wskazującym i pośrodkim palcem znak krzyża. Natychmiast żywy rumieniec zajął na twarzy Kolomby miejsce śmiertelnej bladości. Rzuciła pałające spojrzenie ku domowi Barricinich i rzekła do gości:

— Wróćmy wypić kawę.

Iris¹⁶² bandytów miała dużo do opowiadania. Gwara jej, przetłumaczona przez Kolombę na włoszczyznę dość kulawą, następnie na angielski przez miss Nevil, wydarła niejedno zakłęcie pułkownikowi, niejedno westchnienie miss Lidii, ale Kolomba słuchała z niewzruszoną twarzą; kręciła jedynie w palcach kolorową serwetkę, tak iż zdawało się, że podrze ją na strzępy. Przerwała dziewczynce kilkakrotnie, aby jej kazać powtórzyć oświadczenie Brandolaccia, że rana nie jest niebezpieczna i że widywał już o wiele gorsze. Kończąc, Chilina oznajmiła, iż Orso z naciskiem żądał papieru do pisania i że polecił siostrze, by ubłagała damę, która może znajduje się w domu, by nie odjeź-

¹⁶²*Iris* (mit. gr.) — uskrzydłona posłanka bogów, personifikacja tęczy. [przypis edytorski]

działa, nim nie otrzyma od niego listu. „To była rzecz — dodało dziecko — która dręczyła go najbardziej; byłam już w drodze, kiedy mnie przywołał jeszcze, aby mi przypomnieć zlecenie. Powtarzał mi je już trzeci raz”. Przy tym poleceniu brata Kolomba uśmiechnęła się lekko i ścisnęła mocno rękę Angielki, która zalała się łzami i nie uważała za właściwe przetłumaczyć ojcu tej części opowiadania.

— Tak, zostaniesz ze mną, droga przyjaciółko — wykrzyknęła Kolomba, ściskając miss Nevil — i pomożesz nam.

Następnie, wydobywając z szafy obfitość starej bielizny, zaczęła krajać ją na pasy, aby sporządzić bandaże i szarpie. Widząc jej błyszczące oczy, ożywioną cerę, kolejne zgorączkowanie i znowuż zimną krew, trudno byłoby powiedzieć, czy bardziej przejęła ją rana brata, czy uradowała śmierć wrogów.

To nalewała pułkownikowi kawę i zachwalała swą umiejętność w przyrządzaniu tego napoju, to, rozdzielając robotę miss Nevil i Chilinie, nagliła do sporządzania i zawijania banda-

ży; pytała po dwudziesty raz, czy rana Orsa bardzo mu dokucza. Nieustannie przerywała sobie w pracy, aby powtarzać pułkownikowi:

— Dwóch ludzi tak zręcznych, tak niebezpiecznych!... Sam jeden, ranny, mając tylko jedno ramię... zwał ich obu. Co za odwaga, pułkowniku! Czy to nie bohater? Ach, miss Nevil, co to za szczęście żyć w kraju tak spokojnym jak pani!... Jestem pewna, że wy nie znacie jeszcze mego brata!... Powiedziałam: jastrząb rozwinię skrzydła!... Myliło was jego tak łagodne wejrzenie... To przy pani tylko, miss Nevil... Ach, gdyby on widział, że pani pracuje dla niego... Biedny Orso!...

Miss Lidia nie pracowała zgoła i nie odzywała się ani słowa. Ojciec pytał, czemu nie wnosi się co rychlej skargi do trybunału, prawił o śledztwie *coronera*¹⁶³ i wielu innych rzeczach, równie nieznanym na Korsyce. Wreszcie dopytywał się, czy willa tego poczciwego

¹⁶³*coroner* (ang.) — koroner, urzędnik sądowy w krajach anglosaskich prowadzący śledztwo w sprawach nagłych, gwałtownych śmierci, które nastąpiły w sposób nienaturalny, w podejrzanych okolicznościach. [przypis edytorski]

pana Brandolaccio, który udzielił pomocy ran-
nemu, bardzo jest daleko od Pietranera i czy
nie mógłby sam odwiedzić przyjaciela.

Na to Kolomba odpowiadała ze zwykłym
pokojem, że Orso znajduje się w chaszczach;
że ma przy sobie bandytę, który go pielęgnuje;
że naraziłby się na wielkie niebezpieczeństwo,
gdyby się pokazał, nim się upewni co do uspo-
sobienia prefekta i sędziów. Oznajmiła wresz-
cie, iż postara się, aby biegły chirurg udał się
doń potajemnie.

— Zwłaszcza, panie pułkowniku, niech pan
pamięta — mówiła — że pan słyszał cztery
strzały i że wedle pańskiej relacji Orso strze-
lił drugi.

Pułkownik nie rozumiał nic z całej sprawy,
córka zaś wzdychała tylko i ocierała oczy.

Dzień miał się dobrze ku zachodowi, kie-
dy smutna procesja weszła do miasta. Odno-
szono adwokatowi Barriciniemu zwłoki synów.
Ciało każdego leżało w poprzek na grzbiecie
muła, którego prowadził wieśniak. Gromada
stronników rodziny oraz gapiów towarzyszyła

żałobnemu orszakowi. Wraz z nimi widać było żandarmów, którzy zjawiają się zawsze za późno, i wicemera, który podnosił ręce ku niebu, powtarzając bez ustanku: „Co powie pan prefekt!” Kilka kobiet, między innymi piastunka Orlanduccia, wydzierało sobie włosy i wydawało dzikie wycia. Ale ich zgiełkliwa boleść czyniła mniejsze wrażenie niż niema rozpacz tego, który ściągał ku sobie wszystkie spojrzenia. Był to nieszczęśliwy ojciec, który idąc od jednego trupa do drugiego, podnosił głowy zwalane ziemią, całował zsiniałe usta, podtrzymywał członki już zeszywniałe, jak gdyby chroniąc je od wstrząśnień. Niekiedy widocznie otwierał usta, aby przemówić, ale nie wychodził z nich ani jeden krzyk, ani jedno słowo. Z oczyma wciąż utkwionymi w zwłokach, potykał się o kamienie, o drzewa, o wszystkie przeszkody, jakie nastroczały się po drodze.

Lamenty kobiet, klątwy mężczyzn zdwoiły się, skoro orszak znalazł się opodal domu Orsa. Gdy kilku pasterzy rebbianistów ośmieliło się wydać krzyk tryumfu, przeciwnicy nie

mogli powściągnąć oburzenia. „Zemsty! Zemsty!”, krzyknęło kilka głosów. Zaczęły latać kamienie, a dwa strzały z fuzji skierowane w okna sali, gdzie znajdowała się Kolomba i jej goście, przebiły okiennicę i rzuciły odłamki drzewa aż na stół, koło którego siedziały obie młode kobiety. Miss Lidia zaczęła wydawać straszne okrzyki, pułkownik chwycił fuzję, a Kolomba, nim zdołano ją wstrzymać, rzuciła się ku bramie i otworzyła ją gwałtownie. Tam, stojąc na wysokim progu, z rękami wyciągniętymi do przekleństw, krzyknęła:

— Podli! Strzelacie do kobiet, do cudzoziemców! Czy wy jesteście Korsykanie? Mężczyźni? Nędznicy, którzy umiecie tylko mordować z tyłu, chodźcie, wyzywam was. Jestem sama, brat daleko. Zabijcie mnie, zabijcie moich gości; to godne was... Nie śmiecie, wy tchórze nikczemni! Wiecie, że umiemy się mścić. Idźcie, idźcie płakać jak niewiasty i podziękujcie nam, że nie żądamy od was jeszcze więcej krwi!

Było w głosie i w postawie Kolumby coś imponującego i straszliwego; na jej widok tłum cofnął się przestraszony, jak za zjawieniem owych złych wrózek, o których w zimowe wieczory opowiadają na Korsyce niejedną przeraźliwą historię. Wicemer i żandarmi wraz z garstką kobiet skorzystali z poruszenia, aby rzucić się między dwa stronnictwa; ile że pasterze-rebbianisci już narządzili broń i można się było przez chwilę obawiać, aby powszechna walka nie zawrzała na placu. Ale oba stronnictwa były pozbawione wodzów, Korsykanie zaś, karni w swoich wybuchach, rzadko dochodzą do czynnych zatargów w nieobecności głównych sprężyn wojen domowych. Zresztą Kolomba, którą powołanie natchnęło rozważą, powściągnęła małą załogę:

— Pozwólcie płakać tym biednym ludziom — rzekła — pozwólcie temu starcowi zabrać swą padlinę. Na co zabijać starego lisa, który nie ma już zębów, aby gryźć? — Giudice Barricini! Przypominasz sobie drugiego sierpnia! Przypominasz sobie krwawy portfel, na który

ściągnąłeś swą rękę fałszerza! Ojciec zapisał tam twój dług, synowie twoi spłacili go. Kwituję cię z długu, stary Barricini!

Kolomba, ze skrzyżowanymi ramionami, z uśmiechem wzgardy na ustach, patrzyła, jak wnoszą trupy do domu nieprzyjaciół, oraz mierzyła oczyma tłum, rozpraszający się powoli. Zamknęła drzwi i wracając do jadalni, rzekła do pułkownika:

— Przepraszam pana bardzo za moich ziomków. Nie przypuszczałabym nigdy, aby Korsykanie zdolni byli strzelać do domu, gdzie znajdują się cudzoziemcy. Wstyd mi za mój kraj.

Wieczorem, skoro miss Lidia udała się do swego pokoju, pułkownik podążył za nią i spytał, czy nie uczyniliby lepiej, opuszczając od jutra wioskę, gdzie w każdej chwili można dostać kulą w głowę, jak najspieszniej zaś kraj, gdzie ogląda się same jeno mordy i zdrady.

Miss Nevil jakiś czas nie dawała odpowiedzi, widać było, że propozycja ojca wprawia ją w niemałe zakłopotanie. Wreszcie rzekła:

— Jakże nam opuszczać tę nieszczęśliwą dziewczynę w chwili, gdy tak bardzo potrzebuje pociechy? Nie znajdujesz, ojcze, że to byłoby okrutnie z naszej strony?

— Mówiłem to ze względu na ciebie, córeczko — rzekł pułkownik. — Gdybym wiedział, że siedzisz bezpiecznie w hotelu w Ajaccio, zapewniam cię, że byłoby mi bardzo przykro opuścić tę przeklętą wyspę, nie uściskawszy wprzód ręki dzielnemu della Rebbia.

— Dobrze więc, ojcze! Zaczekajmy jeszcze i zостаńmy, zanim się upewnimy, czy nie możemy im oddać jakiej przysługi.

— Poczciwe serce! — rzekł pułkownik całując córkę w czoło. — Lubię widzieć, jak się poświęcasz, aby ulżyć nieszczęściu drugich. Zostańmy; człowiek nie żałuje nigdy, iż spełnił dobry uczynek.

Miss Lidia przewracała się na łóżku, nie mogąc usnąć. To jakieś nieokreślone szmery budziły w niej lęk, iż gotuje się szturm do domu, to, uspokoiwszy się co do siebie, myślała o biednym rannym, leżącym prawdopodob-

nie w tej chwili na chłodnej ziemi, bez żadnej opieki prócz miłosierdzia bandyty. Przedstawiała go sobie zlanego krwią, miotającego się w strasznych cierpieniach; a co najosobliwsze, iż za każdym razem, kiedy obraz Orsa nastęczał się jej myślom, przedstawiał się jej zawsze taki, jakim widziała go w chwili odjazdu, kiedy przyciskał do ust jej talizman...

Później myślała o jego dzielności. Powiadała sobie, iż owo straszliwe niebezpieczeństwo, którego cudem uniknął, ściągnął na siebie z jej powodu, aby ją oglądać o parę chwil wcześniej. Mało brakło, a byłaby wytłumaczyła sobie, iż to w jej obronie Orso dał sobie strzaskać ramię. Wyrzucała sobie jego ranę, ale podziwiała go tym więcej; jeśli słynna dubleta nie miała w jej oczach tyle zasługi, co w oczach Brandolaccia i Kolomby, uważała bądź co bądź, że niewielu bohaterów romansu okazałoby tyle śmiałości, tyle zimnej krwi w takim niebezpieczeństwie.

Pokój, który zajmowała miss Lidia, był to pokój Kolomby. Nad dębowym klęcznikiem, obok święconej palmy, wisiał na ścianie minia-

turowy portret Orsa w mundurze podporucznika. Miss Nevil zdjęła portrecik, spoglądała nań długo i położyła wreszcie przy łóżku, miast zawiesić na dawnym miejscu. Zasnęła dopiero o świcie; kiedy się obudziła, słońce było już bardzo wysoko. Ujrzała wprost łóżka Kolombę, czekającą nieruchomo chwili, w której miss Nevil otworzy oczy.

— I cóż, panno Lidio, nie czuje się pani nadto źle w naszym biednym domu? — rzekła Kolomba. — Obawiam się, że pani wcale nie spała.

— Czy masz nowiny od niego, droga Kolombo? — rzekła miss Lidia, podnosząc się.

Spostrzegła portret Orsa i śpiesznie rzuciła nań chusteczkę, aby go ukryć.

— Tak, mam nowiny — rzekła Kolomba, uśmiechając się.

I biorąc portret, dodała:

— Czy wydaje się pani podobny? Ładniejszy jest naprawdę.

— Mój Boże!... — rzekła miss Nevil zawstydzona. — Zdjęłam ze ściany... ten por-

tret... przez roztargnienie... Mam tę wadę, że wszystko ruszam... a niczego nie położę na dawne miejsce... Jak się ma brat?

— Dosyć dobrze. Giocanto był tu dziś rano przed czwartą. Przyniósł mi list... dla pani, miss Lidio; do mnie Orso nie napisał. Jest wprawdzie adresowany: „do Kolomby”, ale później: „dla miss N”... Siostry nie są zazdrosne. Giocanto powiedział, że pisanie sprawiło mu wiele bólu. Giocanto, który ślicznie pisze, ofiarował się napisać pod dyktandem. Nie chciał. Pisał ołówkiem, leżąc na wznak. Brandolaccio trzymał papier. Co chwila Orso chciał wstawać i wówczas za najmniejszym poruszeniem ramię sprawiało mu okrutny ból. Litość było patrzeć, powiedział Giocanto. Oto list.

Miss Nevil przeczytała list, pisany po angielsku, bez wątpienia przez nadmiar ostrożności. Oto co zawierał:

Pani!

Nieszczęsna fatalność pogrążyła mnie; nie wiem, co powiedzą moi wrogowie, ja-

kie oszczerstwa wymyślą. Niewiele dbam o to, jeśli ty, pani, nie zechcesz dać im wiary. Od czasu, jak panią ujrzałem, kołysałem się szalonymi marzeniami. Trzeba było tej katastrofy, aby mi ukazać moje szaleństwo; obecnie jestem już rozsądny. Wiem, jaka przyszłość mnie czeka, i jestem na nią przygotowany.

Pierścionka, który mi pani dała i który uważałem za talizman szczęścia, nie śmiem już zachować. Obawiam się, miss Nevil, abyś pani nie żałowała, że tak źle umieściłaś swoje dary, lub raczej obawiam się, iż przypominałyby mi czas, w którym byłem szalony. Kolomba odda go pani... Żegnaj panią: niebawem opuści pani Korsykę i już pani nie ujrzę; ale niech pani powie siostrze, że posiadam jeszcze twój szacunek; ręczę pani z całą pewnością, że zasługuję nań zawsze.

O. D. R.

Miss Lidia odwróciła się, aby przeczytać list, Kolomba zaś, która śledziła ją bacznie, oddała jej egipski pierścionek, pytając spojrzeniem, co to znaczyło. Ale miss Lidia nie śmiała podnieść głowy i spoglądała smutno na pierścionek, który kolejno to wkładała na palec, to znowu zdejmowała.

— Droga miss Nevil — rzekła Kolomba — czy nie mogłabym wiedzieć, co pisze Orso? Czy mówi co o swoim stanie?

— Ależ... — rzekła miss Lidia rumieniąc się — nie pisze nic o tym... List jest po angielsku... Prosi, bym wyraziła ojcemu... Ma nadzieję, że prefekt zdoła załagodzić...

Kolumba, uśmiechając się chytrze, siadła na łóżku, ujęła obie ręce miss Nevil i patrząc na nią przenikliwie, rzekła:

— Chce pani być dobra? Nieprawdaż, odpisze pani bratu? Sprawí mu pani taką radość! Przed chwilą, kiedy przyszedł jego list, przyszło mi na myśl obudzić panią i nie śmiałam.

— To bardzo niedobrze — rzekła miss Nevil — gdyby słówko ode mnie mogło mu...

— Teraz nie mogę już przesłać listu. Prefekt przybył i Pietranera pełna jest szpiegów. Później zobaczymy. Ach, gdyby pani знаła Orsa, miss Nevil, kochałaby go pani tak, jak ja go kocham... On taki dobry, taki dzielny! Niech pani pomyśli tylko, co on zrobił! Sam jeden przeciw dwóm i ranny!

Prefekt wrócił. Powiadomiony umyślnym posłańcem przez wicemera, przybył w asystencji żandarmów i wołtyżerów, wiodąc z sobą prokuratora, pisarza i wszystko, co trzeba, aby przeprowadzić śledztwo co do nowej i straszliwej katastrofy, która komplikowała lub, jeśli kto woli, kładła koniec niezgodzie dwu rodzin. Niebawem po przybyciu odwiedził pułkownika Nevil i jego córkę. Nie ukrywał, iż lęka się, aby sprawa nie przybrała złego obrotu.

— Wiadomo państwu — rzekł — że walka nie miała świadków; opinia zaś o zrzeczności i odwadze dwóch nieszczęśliwych młodych ludzi była tak ustalona, iż nikt nie zechce przypuszczać, aby pan della Rebbia mógł ich zabić

bez udziału bandytów, do których, jak mówią, się schronił.

— To niepodobna! — zawołał pułkownik. — Orso della Rebbia to chłopak na wskroś honorowy; ręczę zań.

— Tak sędzę — rzekł prefekt — ale prokurator (ci panowie zawsze podejrzewają) nie wydaje mi się usposobiony zbyt życzliwie. Ma w rękach dokument niekorzystny dla pańskiego przyjaciela. Jest to list z pogroźkami, zwrócony do Orlanduccia, w którym naznacza mu spotkanie... i to spotkanie wydaje mu się zasadzką.

— Ten Orlanduccio — rzekł pułkownik — nie chciał się bić jak gentleman.

— To nie jest tutaj w zwyczaju. Tu wolą się zaczajać, zabijać z tyłu, to zwyczaj miejscowy. Jest wprawdzie zeznanie korzystne, mianowicie dziecko, które twierdzi, że słyszało cztery strzały, z których dwa ostatnie, głośniejsze od tamtych, pochodziły z broni grubszego kalibru, takiej jak fuzja pana della Rebbia. Na nieszczęście dziewczynka ta jest siostrzenicą jednego z ban-

dytów, którego podejrzewają o współnictwo; powtarza więc prawdopodobnie wyuczoną lekcję.

— Panie prefekcie — przerwała miss Lidia, czerwieniąc się po białka — byliśmy na drodze, kiedy oddano te strzały i słyszeliśmy toż samo.

— W istocie? To bardzo ważna okoliczność. A pan, panie pułkowniku, uczyniłeś zapewne toż samo spostrzeżenie?

— Tak — rzekła bardzo żywo miss Nevil — ojciec, który zna się na broni, powiedział: „Oho! To della Rebbia strzela z mojej fuzji”.

— I te strzały, które pan poznałeś, to były dwa ostatnie?

— Ostatnie, nieprawdaż, papo?

Pułkownik nie posiadał zbyt dobrej pamięci, ale w żadnej okazji nie przyszłoby mu do głowy sprzeciwić się córce.

— Trzeba natychmiast oświadczyć to wobec prokuratora, pułkowniku. Zresztą czekamy dziś wieczór chirurga, który sprawdzi, czy rany zadane są tą właśnie bronią.

— To ja dałem ją Orsowi — rzekł pułkownik — i wolałbym, aby się znalazła na dnie morza... To znaczy... dzielny chłopak! Bardzo rad jestem, że ją miał pod ręką. Bez mego mantona nie bardzo widzę, jakby się wykaraskał z tej sprawy.

XIX

Chirurg przybył nieco późno. Zdarzyła mu się przygoda w drodze, Giocanto Castriconi, spotkawszy go, poprosił z największą grzecznością, aby zechciał udzielić pomocy rannemu. Przeprowadzono go do Orsa i założył pierwszy ustalający opatrunek. Następnie bandyta odprowadził go spory kawał drogi i wielce zbudował go, rozpowiadając o najślawniejszych profesorach w Pizie, którzy, jak powiadał, byli jego serdecznymi przyjaciółmi.

— Doktorze — rzekł teolog, żegnając się — tchnąłeś we mnie zbyt wiele szacunku, abym uważał za potrzebne przypominać ci, że lekarz powinien być równie dyskretny jak spowied-

nik. — To mówiąc, bawił się kurkiem u strzelby. — Zapomniałeś doszczętnie miejsca, w którym mieliśmy zaszczyt cię widzieć. Żegnam pana, uszczęśliwiony jestem z pańskiej znajomości.

Kolomba błagała pułkownika, aby się postarał być obecnym przy autopsji.

— Zna pan lepiej niż ktokolwiek strzelbę brata; obecność pańska będzie bardzo użyteczna. Zresztą jest tu tylu złych ludzi, że bylibyśmy narażeni na największe niebezpieczeństwo, gdybyśmy nie mieli nikogo dla obrony.

Zostawszy sama z miss Lidią, młoda dziewczyna zaczęła się żalić na silny ból głowy i poddała myśl przechadzki kilka kroków za miasteczko.

— Świeże powietrze przyniesie mi ulgę — mówiła. — Od tak dawna już nim nie oddychałam!

Idąc, mówiła wciąż o bracie, tak że miss Lidia, którą ten przedmiot interesował dość żywo, nie spostrzegła się, że oddała się znacznie od Pietranera. Słońce miało się ku zachodowi,

kiedy uczyniła tę uwagę i zaczęła nakłaniać Kolombę do powrotu. Kolomba знаła przesmyk, który, jak mówiła, skraca o wiele powrotną drogę; jakoż, opuszczając ścieżkę, którą szły dotąd, skierowała się na inną, wyraźnie o wiele mniej uczęszczaną. Niebawem zaczęła się wspinać na pagórek tak stromy, iż dla podtrzymania się była zmuszona wciąż się chwytać jedną ręką gałęzi, gdy drugą ciągnęła za sobą towarzyszkę. Po dobrym kwadransie uciążliwego wspinania znalazły się na małej równi pokrytej mirtem i mącznicą¹⁶⁴, wśród wielkich złomów granitu, które wynurzały się z gruntu ze wszystkich stron. Miss Lidia czuła się bardzo zmęczona, wsi nie było widać, a była już prawie noc.

— Wiesz, droga Kolombo — rzekła — boję się, czyśmy nie zbłądziły.

— Nie lękaj się niczego — odparła Kolomba. — Idźmy tylko naprzód, trzymaj się tuż za mną.

¹⁶⁴*mącznica* — rodzaj roślin z rodziny wrzosowatych, występujących w formie zawsze zielonych krzewinek, krzewów lub małych drzewek. [przypis edytorski]

— Ale upewniam cię, że się mylisz; wieś nie może być z tej strony. Założyłabym się, że idąc tędy, oddalamy się od niej. Ot, te światła, które widzimy tak daleko, z pewnością to jest Pietranera.

— Droga miss Nevil — rzekła Kolomba z podnieceniem — masz słuszość, ale o dwieście kroków stąd, w tych chaszczach...

— Cóż...?

— Orso tam jest; mogłabym go zobaczyć i uściskać, gdybyś zechciała.

Miss Nevil uczyniła gest zdziwienia.

— Wyszłam z Pietranera — ciągnęła Kolomba — niezauważona przez nikogo, ponieważ byłam z panią... inaczej śledzono by mnie... Być tak blisko niego i nie widzieć go!... Czemu nie miałyby pani zejść ze mną zobaczyć biednego Orsa! Tak by go to ucieszyło!

— Ale, Kolombo, to by było niewłaściwe z mojej strony.

— Rozumiem. Wy, panie z miasta, zawsze się kłopotzecie o to, co właściwe; my, proste

wieśniaczki, myślimy tylko o tym, co jest dobre.

— Ależ jest tak późno!... A Orso, cóż on pomyśli o mnie?

— Pomyśli, że przyjaciele go nie opuścili, i doda mu to odwagi do zniesienia cierpień.

— A ojciec będzie tak niespokojny...

— Wie, że jesteś ze mną... No więc! Namyśl się... Oglądałyśmy jego portrecik dziś rano — dodała z przebiegłym uśmiechem.

— Nie... doprawdy, Kolombo, nie śmiem... ci bandyci, tam, przy nim...

— No i cóż! Bandyci nie znają cię, o cóż chodzi? Miałaś ochotę ich zobaczyć!

— Mój Boże!

— Prędko, miss Lidio, decyduj się. Zostawić cię tu samej nie mogę; nie wiadomo, co mogłoby się zdarzyć. Chodźmy zobaczyć Orsa albo też wracajmy razem... Nie zobaczę brata... aż Bóg wie kiedy... może nigdy...

— Co ty mówisz, Kolombo?... A więc chodźmy! Ale na minutę tylko i natychmiast wracamy.

Kolomba ścisnęła jej rękę i bez słowa odpowiedzi zaczęła iść z taką szybkością, że Lidia ledwie mogła jej nadążyć. Szczęściem Kolomba zatrzymała się niebawem, mówiąc do towarzyski:

— Nie posuwajmy się naprzód, nim ich nie uprzedzimy; mogliby nas łatwo poczęstować kulką.

Gwizdnęła w palce; niebawem dało się słyszeć szczekanie psa i ukazała się przednia straż bandytów. Był to nasz stary znajomy, pies Brusco, który poznał natychmiast Kolombę i podjął się służyć jej za przewodnika. Po wielu kółowaniach w wąskich ścieżynach wśród gąszczu dwaj ludzie, uzbrojeni od stóp do głów, ukazali się na spotkanie.

— To ty, Brandolaccio? — spytała Kolomba. — Gdzie Orso?

— Tam! — odparł bandyta. — Ale idźcie ostrożnie: śpi. Pierwszy raz mu się to zdarza od jego wypadku. Pomagaj Boże! Widać dobrze, że tam gdzie przejdzie diabeł, kobieta przejdzie także.

Młode dziewczyny zbliżyły się ostrożnie. Koło ognia, którego blask zasłonięto przezornie, wznosząc niewielki murek z kamieni, ujrzały Orsa, ułożonego na posłaniu z paproci i okrytego burką. Był bardzo blady, słychać było jego ciężki oddech. Kolomba siadła obok i patrzyła weń w milczeniu ze złożonymi rękami, jak gdyby modliła się w myśli. Miss Lidia, zasłaniając twarz chusteczką, przytuliła się do niej, ale od czasu do czasu podnosiła głowę, aby popatrzeć na rannego przez ramię Kolomby. Upłynął tak kwadrans, w czasie którego nikt nie otworzył ust. Na znak teologa Brandollaccio zapuścił się wraz z nim w gąszcz, ku wielkiemu zadowoleniu miss Lidii, która po raz pierwszy znajdowała, że wielkie brody i rynsztunek bandytów mają zbyt wiele lokalnego kolorytu.

Wreszcie Orso poruszył się. Natychmiast Kolomba pochyliła się nad nim i uściskała go kilkakrotnie, zasypując pytaniami o ranę, o to czy cierpi, czy czego potrzebuje. Odpowiedziawszy, iż ma się tak dobrze, jak tylko to może być, Orso z kolei spytał, czy miss Nevil jest w Pie-

tranera i czy napisała doń. Kolomba, schylona nad bratem, zasłaniała w zupełności towarzyszkę, którą zresztą w ciemności, jaka panowała, z trudnością byłby rozpoznał. Trzymała za rękę miss Nevil, drugą zaś ręką unosiła lekko głowę rannego.

— Nie, bracie, nie dała listu... ale ty ciągle myślisz o miss Nevil... kochasz ją zatem?

— Czy ją kocham, Kolombo!... Ale ona... może pogardza mną obecnie!

W tej chwili miss Nevil uczyniła wysiłek, aby cofnąć rękę, ale niełatwo było skłonić Kolombę do wypuszczenia łupu; rączka jej, mimo że drobna i kształtna, posiadała siłę, której widzieliśmy kilka dowodów.

— Pogardza tobą?! — wykrzyknęła Kolomba. — Po tym co uczyniłeś... Przeciwnie, mówi o tobie jak najlepiej... Ach, Orso, miałabym ci wiele do opowiedzenia.

Ręka znów chciała się wymknąć, ale Kolomba przyciągała ją wciąż bliżej Orsa.

— Ależ — mówił ranny — dlaczegoż mi nie odpisała? Jeden jedyny wiersz, a byłbym zadowolony.

Ciągnąc uparcie rękę miss Lidii, Kolomba włożyła ją w końcu w dłoń brata. Wówczas, usuwając się nagle i parskając śmiechem, zawołała:

— Orso, strzeż się, byś nie rzekł czego złego o miss Lidii, bo ona rozumie bardzo dobrze po korsykańsku.

Miss Lidia cofnęła natychmiast rękę; wyjąkała kilka niezrozumiałych słów. Orsowi zdało się, że śni.

— Pani tu, miss Nevil! Mój Boże! Jak pani się odważyła! Ach, jakież ja szczęśliwy!

I podnosząc się z trudnością, starał się zbliżyć do niej.

— Towarzyszyłam pańskiej siostrze — rzekła miss Lidia — aby nikt nie mógł podejrzewać, dokąd idzie... a przy tym... chciałam także... upewnić się... Mój Boże, jak panu tutaj niewygodnie!

Kolomba siadła za Orsem. Podniosła go ostrożnie, podtrzymując głowę brata na kolanach. Oko-
liła mu ramieniem szyję i dała miss Lidii znak,
by się zbliżyła.

— Blżej! Blżej! — rzekła. — Nie trzeba,
aby ranny nadto podnosił głos.

A kiedy miss Lidia zdawała się wahać, wzię-
ła ją za rękę i posadziła tak blisko, iż suknia
jej dotykała Orsa, a ręka, którą Kolomba przy-
trzymała ciągle, spoczęła na ramieniu ran-
nego.

— Tak jest mu bardzo dobrze — rzekła
Kolomba wesoło. — Nieprawdaż, Orso, że do-
brze jest być w gąszczu, w obozie, w taką piękną
noc jak dzisiejsza?

— Och, tak! Piękna noc! — rzekł Orso.
— Nie zapomnę jej nigdy.

— Musi pan bardzo cierpieć — rzekła miss
Nevil.

— Nie cierpię już — rzekł Orso — i chciał-
bym umrzeć tutaj.

I prawa jego ręka zbliżała się do dłoni miss
Nevil, którą Kolomba wciąż trzymała w uwięzi.

— Trzeba koniecznie, aby pana przeniesiono gdzieś, gdzie będziemy mogli go doglądać, panie della Rebbia — rzekła miss Nevil. — Nie mogłabym usnąć teraz, kiedy widziałam pana na tak nędznym posłaniu... pod gołym niebem...

— Gdybym się nie obawiał spotkać panią, miss Nevil, byłbym próbował wrócić do Pietranera i oddałbym się sam w ręce władzy.

— I czemu bałeś się spotkać miss Nevil, Orso? — spytała Kolomba.

— Byłem pani nieposłuszny, miss Nevil... nie ośmieliłbym się stanąć przed panią w tej chwili.

— Czy pani wie, miss Lidio, że pani robi z moim bratem, co się pani podoba? — rzekła Kolomba, śmiejąc się. — Nie pozwolę pani go widywać.

— Mam nadzieję — rzekła miss Nevil — że ta nieszczęśliwa sprawa wyjaśni się i że niebawem będzie pan wolny od wszelkich obaw... Będę bardzo rada, jeżeli przed odjazdem do-

wiem się, iż oddano panu sprawiedliwość i uznano pańską rycerskość zarówno, jak odwagę.

— Pani odjeżdża, miss Nevil! Niech pani nie wymawia jeszcze tego słowa.

— Cóż pan chce... ojciec nie może wiecznie polować... trzeba jechać.

Orso opuścił rękę, która dotykała dłoni miss Lidii. Nastąpiła chwila milczenia.

— Ba! — podjęła Kolomba. — Nie damy państwu odjechać tak rychło. Mamy wam jeszcze wiele rzeczy do pokazania w Pietranera... Zresztą przyrzekła mi pani zrobić mój portret, a jeszcze nie zaczęty nawet... A potem obiecałam napisać dla pani *serenatę* w siedemdziesięciu i pięciu zwrotkach... A potem... Ale czegoż tam Brusco warczy?... A ot, Brandolaccio pędzi tu za nim... Zobaczmyż, co to.

To mówiąc, wstała i kładąc bez ceremonii głowę Orsa na kolanach miss Nevil, pobiegła ku bandytom.

Nieco zdumiona, iż stała się w ten sposób podporą pięknego młodzieńca sam na sam w chaszczach, miss Nevil nie bardzo wiedzia-

ła, co z sobą począc. Usuwając się nagle, lękała się sprawić ból rannemu. Ale Orso opuścił sam słodkie oparcie, jakie siostra mu zostawiła, i podnosząc się na prawej ręce, rzekł:

— Zatem pani jedzie niedługo, miss Lidio? Nie myślałem nigdy, aby pani miała przeciągnąć pobyt w tym nieszczęśliwym kraju... a mimo to od czasu, jak pani tu przybyła, cierpię sto razy więcej na myśl, że trzeba się pożegnać z panią... na zawsze... Jestem biednym porucznikiem... bez przyszłości... obecnie banitą... Cóż za chwila, miss Lidio, aby mówić pani, że cię Kocham... ale to z pewnością jedyny raz, że pani mogę to powiedzieć... A mam uczucie, że jestem mniej nieszczęśliwy teraz, kiedy otworzyłem ci serce.

Miss Lidia odwróciła głowę, jak gdyby ciemność nie wystarczała dla ukrycia rumieńca:

— Panie della Rebbia — rzekła drżącym głosem — czyż byłabym przyszła tutaj, gdyby... — To mówiąc, wciskała w rękę Orsa egipski talizman. Następnie, czyniąc gwałtowny wysiłek, aby wrócić do żartobliwego tonu, który jej

był zwyczajny, dodała: — To bardzo źle z pana strony, panie Orso, mówić w ten sposób... W tym gąszczu, otoczona bandytami, wiesz dobrze, że nie ośmieliłabym się pogniewać na pana.

Orso uczynił ruch, jak gdyby chcąc ucałować rękę, która wręczała mu talizman; że zaś miss Lidia usunęła ją za szybko, stracił równowagę i upadł na chore ramię. Nie mógł się wstrzymać od bolesnego jęku.

— Uraził się pan, drogi panie Orso? — krzyknęła, podnosząc go. — To moja wina, daj mi...

Mówili jeszcze jakiś czas ściszonego głosem, z głowami nachylonymi bardzo blisko siebie. Kolomba, która nadbiegła spiesźnie, znalazła ich dokładnie w tej pozycji, w jakiej ich zostawiła.

— Woltyżerowie! — krzyknęła. — Orso, próbuj podnieść się i iść, ja ci pomogę.

— Zostaw mnie — rzekł Orso. — Powiedz bandytom, aby się ratowali... niech mnie biorą,

nie dbam o to, ale zabierz miss Lidię: na miłość Boga, niech jej nie ujrzą tutaj!

— Nie zostawię cię, poruczniku — rzekł Brandolaccio, który zbliżył się za Kolombą. — Sierżant wołtyżerów jest chrześniakiem adwokata; zamiast uwięzić, zabije cię po prostu, a powie, że stało się to przypadkiem.

Orso spróbował się podnieść, zrobił nawet kilka kroków, ale ustając rychło, rzekł:

— Nie mogę iść. Uciekajcie, ratujcie się. Bądź zdrowa!

— Nie opuścimy cię! — wykrzyknęły obie kobiety.

— Jeśli nie możesz iść — rzekł Brandolaccio — trzeba cię będzie zanieść, poruczniku. No, dalej, tylko odwagi; będziemy mieli czas zemknąć wąwozem, tam z tyłu. Proboszcz zatrudni ich tu przez chwilę.

— Nie, zostawcie mnie — rzekł Orso, kładąc się na ziemi. — Na miłość boską, Kolombo, zabierz miss Nevil!

— Pani jesteś silna, panno Kolombo — rzekł Brandolaccio. — Chwyć go za ramiona, ja trzymam za nogi. Dobrze! Naprzód, marsz!

Unieśli go szybko mimo protestów; miss Lidia spieszyła za nimi, śmiertelnie przerażona. Naraz rozległ się strzał, któremu odpowiedziało natychmiast kilka innych. Miss Lidia wydała krzyk, Brandolaccio zaklął, ale podwoił kroku, Kolomba zaś za jego przykładem biegła przez gąszcz, nie zważając na gałęzie, które jej sma-gały twarz lub rozdzierały suknię.

— Schyl się, schyl, droga — mówiła do towarzyszki — kula może cię dosięgnąć.

Szli, lub raczej biegli w ten sposób z pięć-set kroków, kiedy Brandolaccio oświadczył, że już nie może, i osunął się na ziemię mimo upomnień i wyrzutów Kolomby.

— Gdzie miss Nevil? — pytał Orso.

Miss Nevil, wystraszona strzałami, wstrzymywana co chwila gąszczem, straciła niebawem ślad uciekających i została sama, wydana na pastwę najżywszych obaw.

— Została z tyłu — rzekł Brandolaccio — ale nie zginęła: kobiety odnajdują się zawsze. Słuchaj tylko, Ors' Anton', jaki hałas robi tam Proboszcz twoją fuzją. Na nieszczęście, ciemno choć oko wykol; taka pukanina po nocy nie przynosi nikomu wielkiej szkody.

— Pst! — wykrzyknęła Kolomba. — Słyszę konia, jesteście ocaleni.

W istocie, koń, zbłąkany widać w chaszczach, przerażony hałasem, zbliżał się ku nim.

— Ocaleni! — powtórzył Brandolaccio. Podbiec ku koniowi, chwycić go za grzywę, założyć w usta pętlę w kształcie uzdy było dla bandyty, wspomaganego przez Kolombę, dziełem jednej chwili.

— Uprzedźmy teraz Proboszcza — rzekł.

Gwizdnął dwa razy; oddalony gwizd odpowiedział na ten sygnał i manton przestał się odzywać swoim basem. Wówczas Brandolaccio wskoczył na konia. Kolomba posadziła brata przed bandytę, który obejmował go silnie jedną ręką, gdy drugą kierował wierzchowcem. Mimo podwójnego ciężaru koń, zachęcony dwo-

ma tęgimi uderzeniami nogą, ruszył zwawo i zbiegł w galopie ze stromego pagórka, na którym wszelki inny koń niż korsykański zabiłby się sto razy.

Kolomba zawróciła wówczas i ruszyła z powrotem, wołając miss Nevil, ale żaden głos nie odpowiadał jej wołaniu... Idąc jakiś czas na oślep, starając się odnaleźć drogę, którą przyszła, spotkała na ścieżce dwóch wołtyżerów, którzy krzyknęli: „Kto idzie?”

— Cóż tam, panowie! — rzekła Kolomba drwiąco — A to mi dopiero hałasy! Ilu zabitych?

— Byłaś pani w kompanii bandytów — rzekł jeden z żołnierzy — pójdiesz z nami.

— Bardzo chętnie — rzekła — ale zgubiłam tu przyjaciółkę i trzeba nam ją odnaleźć.

— Przyjaciółka już nakryta; pójdziecie obie przespać się w więzieniu.

— W więzieniu? To się pokaże, ale tymczasem zaprowadźcie mnie do niej.

Wołtyżerowie zawiedli Kolombę do obozu bandytów, gdzie zgromadzili trofea ekspedycji: burkę, którą był okryty Orso, stary gar-

nek i dzbanek pełen wody. Tamże znajdowała się miss Nevil, która zdybana przez żołnierzy, w pół umarła ze strachu, odpowiadała łzami na pytania co do liczby bandytów oraz kierunku, w jakim się udali.

Kolomba rzuciła się w ramiona miss Liddi i szepnęła do ucha: „Ocaleni”. Następnie, zwracając się do sierżanta:

— Panowie — rzekła — widzicie przecież, że ta panienka nie ma pojęcia o tym, o co ją pytacie. Pozwólcie nam wrócić do wsi, gdzie oczekują nas z niecierpliwością.

— Zaprowadzi się was tam, i to prędzej niżbyś pragnęła, moja gołąbko — rzekł sierżant. — Tam wytłumaczycie się, coście robiły w chaszczach o tej porze, w towarzystwie bandytów, którzy właśnie uciekli. Nie wiem, jakich czarów używają te łajdaki, ale to pewna, że muszą rzucać urok na dziewczęta, wszędzie bowiem, gdzie są bandyci, można być pewnym, że znajdzie się ładne buziaki.

— Bardzo pan uprzejmy, panie sierżancie — rzekła Kolomba — ale dobrze byś zrobił,

gdybyś zechciał uważać na słowa. Ta panienka jest kuzynką prefekta i nie trzeba z nią żartować.

— Kuzynka prefekta! — szepnął jeden z woltizerów do naczelnika. — Prawda, ma kapelusz.

— Kapelusz nic nie stanowi — rzekł sierżant. — Były tu obie z Proboszczem, który jest największy zwodziciel w całej okolicy, i obowiązkiem moim jest zabrać je z sobą. Zresztą nie mamy tu już nic do roboty. Gdyby nie ten przeklęty kapral Taupin... pijaczyna Francuz pokazał się, nim zdążyłem okolicę chaszczę... gdyby nie on, złapalibyśmy ich w po-trzask.

— Jest panów siedmiu? — rzekła Kolomba. — Wiecie panowie, że gdyby przypadkiem trzech bracia Gambini, Sarocchi i Teodor Poli¹⁶⁵ znaleźli się z Brandolacciem i Proboszczem pod krzyżem świętej Krystyny, mogliby wam

¹⁶⁵*Poli, Théodore* (1799–1831) — jeden z najsłynniejszych bandytów korsykańskich XIX w.; zastrzelił ponad trzydziestu żandarmów, utworzył niewielką społeczność bandytów, którymi rządził; został zabity w wyniku zdrady. [przypis edytorski]

narobić tęgiego kłopotu. Gdyby się wam trafiła rozmówka z „Komendantem świeżego powietrza”¹⁶⁶, nie miałabym ochoty być przy tym. Kule nie rozróżniają po nocy nikogo.

Możliwość spotkania z groźnymi bandytami, których Kolomba wymieniła przed chwilą, uczyniła na wołtyżerach pewne wrażenie. Ciągle klnąc kaprała Taupin, psa-Francuza, sierżant dał znak do odwrotu. Oddział skierował się ku Pietranera, unosząc z sobą burkę i garnek. Co do dzbanka, wymierzono mu sprawiedliwość kopnięciem nogi. Wołtyżer chciał ująć miss Lidię za ramię, ale Kolomba odepchnęła go.

— Niech nikt jej nie tyka! — rzekła. — Myślicie, że mamy ochotę uciekać? Chodź, Lidio, chodź, droga, oprzyj się na mnie i nie płacz jak dziecko. A to mi przygoda, ale nie skończy się źle; za pół godziny siądziemy do wieczerzy. Co do mnie, umieram z głodu.

¹⁶⁶*Komendant świeżego powietrza*, [w oryg.: *le Commandant de la campagne*] — był to tytuł, jakiego używał Teodor Poli. [przypis autorski]

— Co pomyślą o mnie? — mówiła cicho miss Nevil.

— Pomyślą, żeś się zbłąkała w gąszczu, ot i wszystko.

— Co powie prefekt?... Co powie ojciec zwłaszcza?

— Prefekt?... Odpowiesz mu, by pilnował swojej prefektury. Ojciec?... Sądząc ze sposobu, w jaki rozmawiałaś z Orsem, myślę, że to raczej ty masz coś do powiedzenia ojcu.

Miss Nevil ścisnęła ją za ramię bez odpowiedzi.

— Nieprawdaż — szepnęła jej Kolomba — że Orso wart jest, aby go kochać? Nie kochasz go troszeczkę?

— Ach, Kolombo — odparła miss Nevil, uśmiechając się mimo zawstydzenia — zdradziłaś mnie, mnie, która ci tak ufałam!

Kolomba okoliła jej kibić ramieniem i całując ją w czoło, rzekła po cichu:

— Siostrzyczko mała, przebaczasz mi?

— Muszę już, moja straszna siostro — odparła Lidia, oddając pocałunek.

Prefekt i prokurator mieszkali u wicemera; pułkownik, bardzo niespokojny o córkę, przybiegał ze dwudziesty raz pytać ich o nowiny, kiedy wołtyżer, wysłany przez sierżanta przodem jako goniec, opowiedział o straszliwej walce stoczonej przeciw bandytom, walce, w której nie było wprawdzie zabitych ani rannych, ale w której wzięto łupem kociołek, burkę i dwie dziewczyny, będące, jak mówił, kochankami lub szpiegami bandytów. Tak oznajmione, ukazały się dwie branki wśród zbrojnej eskorty.

Można sobie wyobrazić promieniejącą twarz Kolomby, zawstydzenie jej towarzyszki, osłupienie prefekta, radość i zdumienie pułkownika. Prokurator pozwolił sobie na złośliwą przyjemność poddania biednej Lidii lekkiemu śledztwu, które zakończył dopiero wówczas, gdy ją doprowadził do zupełnego pomieszania.

— Zdaje mi się — rzekł prefekt — że możemy wszystkich wypuścić na wolność. Panienki wyszły na przechadzkę, nic naturalniejszego w tak piękną pogodę; spotkały przypadkiem

sympatycznego młodego człowieka rannego; również rzecz bardzo naturalna.

Następnie, biorąc na stronę Kolombę:

— Może pani donieść bratu — rzekł — że sprawa obraca się lepiej, niż się spodziewałem. Badanie zwłok, zeznania pułkownika stwierdzają, że strzelił jedynie w obronie i że był sam w chwili walki. Wszystko się ułoży, ale trzeba, aby jak najprędzej opuścił chaszczę i oddał się w ręce władzy.

Była blisko jedenasta, kiedy pułkownik, jego córka i Kolomba zasiedli do wystygłej wicherzy. Kolomba jadła z wybornym apetytem, żartując sobie z prefekta, prokuratora i woltyżerów. Pułkownik jadł, ale nie mówił ni słowa, spoglądając ciągle na córkę, która nie podniosła oczu znad talerza. Wreszcie łagodnym, ale poważnym głosem rzekł po angielsku:

— Lidio, zatem ty zaręczyłaś się z Orsem?

— Tak, ojczy, od dziś — odparła, rumieniąc się, ale pewnym głosem.

Następnie podniosła oczy i nie widząc na fizjonomii ojca gniewu, rzuciła się w jego ra-

miona i uściskała go, jak czynią dobrze wychowane panny w podobnych okolicznościach.

— Niech i tak będzie — rzekł pułkownik. — To dzielny chłopak, ale na Boga, nie zostaniemy w jego diabelskim kraju! Albo odmawiam zezwolenia.

— Nie rozumiem po angielsku — rzekła Kolomba, która im się przyglądała z nadzwyczajną ciekawością — ale założę się, że zgadłam, co mówicie.

— Mówimy — odparł pułkownik — że zabierzemy panią w podróż do Irlandii.

— Owszem, chętnie, i będę *surella Colomba*¹⁶⁷! Już zgoda, pułkowniku? Uderzymy się w ręce.

— W takich wypadkach jest zwyczaj się uściskać — rzekł pułkownik.

XX

W kilka miesięcy po owej dublecie, która pogrzyżała gminę Pietranera w osłupieniu (jak mówią dzienniki), młody człowiek, z lewą ręką na

¹⁶⁷*surella Colomba* (kors.) — siostra Kolomba. [przypis edytorski]

temblaku, wyjechał po południu konno z Bastii i skierował się ku wiosce Cardo, słynnej ze swego źródła, które w lecie dostarcza miejscowym smakoszom rozkosznego napoju. Młoda kobieta, wysmukłej postawy i niepospolitej urody, towarzyszyła mu na małym, karym koniku, którego siłę i zręczność podziwiałby znawca, ale który nieszczęściem miał rozdarte jedno ucho wskutek osobliwego wypadku. Przybywszy do wsi, młoda kobieta zeskokczyła lekko na ziemię i pomógłszy towarzyszowi zsiść z wierzchowca, odczepiła dość ciężkie sakwy przymocowane u łęku. Konie powierzono straży wieśniaka, kobieta zaś, obładowana sakwami, które ukrywała pod *mezzaro*, i młody człowiek, dźwigający dubeltówkę, skierowali się w góry.

Droga, którą szli, była bardzo bystra i na pozór nie prowadziła do żadnej ludzkiej siedziby. Przybywszy na wysoką terasę góry Quercio, zatrzymali się oboje i siedli na trawie. Widocznie czekali kogoś, obracali bowiem bez ustanku wzrok ku górze, młoda kobieta zaś spo-

glądała często na ładny złoty zegarek, tyleż może, aby spojrzeć na klejnocik, który może posiadała od niedawna, co aby sprawdzić, czy nadeszła już godzina spotkania. Oczekiwanie nie trwało długo. Najpierw wybiegł z chaszców pies i na imię Brusco, wymówione przez młodą kobietę, pospieszył z pieszczotami ku przyszom. Wkrótce potem ukazali się dwaj brodacze z fuzjami pod pachą, ładownicą u pasa, pistoletem przy boku. Ubrania ich, poszarpane i pokryte łatami, stanowiły kontrast z błyszczącą bronią, pochodzącą z jednej z najznakomitszych fabryk kontynentu. Mimo pozornej nierówności stanowiska cztery osoby, będące aktorami tej sceny, powitały się życzliwie jak starzy przyjaciele.

— No i cóż, Ors' Anton' — rzekł starszy z bandytów do młodego człowieka — zatem pańska sprawa ukończona. Umorzono dochodzenie. Winszuję z serca. Żal mi, że adwokata nie ma już na wyspie, aby widzieć, jak się wścieka. A ramię?

— Za dwa tygodnie — odparł młody człowiek — obiecują mi, że będę mógł rzucić temblak. Brando, mój zuchu, jutro odjeżdżam do Włoch, chciałem pożegnać się z tobą, zarówno jak z Proboszczem. Dlatego prosiłem, abyście przyszli.

— Bardzo panu spieszno — rzekł Brandolaccio. — Wczoraj uwolniony i jutro już pan wyjeżdża?

— Mamy pilne sprawy — rzekła wesoło młoda kobieta. — Panowie, przyniosłam wam wieczerzę: jedzcie i nie zapominajcie o przyjacielu Brusco.

— Psuje pani Brusca, panno Kolombo, ale on umie być wdzięczny. Zobaczysz pani. Dalej, Brusco — rzekł, wyciągając poziomo fuzję — skocz dla Barricinich.

Pies nie ruszył się z miejsca, oblizując się i patrząc na pana.

— Skocz dla della Rebbiów!

Pies skoczył o dwie stopy wyżej, niż było trzeba.

— Słuchajcie, przyjaciele — rzekł Orso — uprawiacie brzydkie rzemiosło; jeśli wam nie przyjdzie skończyć kariery na placu, który widzimy tam oto, najlepsze, co wam się może zdarzyć, to paść w chaszczach od kuli żandarma.

— I cóż! — rzekł Castriconi. — Taka śmierć jak inna, lepsza z pewnością niż febra, która zabije człowieka w łóżku, pośród mniej lub więcej szczerych skomleń spadkobierców. Kiedy człowiek przyzwyczaił się, jak my, do świeżego powietrza, nie ma dlań nic lepszego niż umierać w butach, jak powiadają nasi wieśniacy.

— Chciałbym — ciągnął Orso — upewnić się, żeście opuścili ten kraj... i obrali spokojniejsze życie. Czemu byście na przykład nie mieli się osiedlić w Sardynii, jak to uczyniło wielu kamratów? Mógłbym wam to ułatwić.

— W Sardynii! — wykrzyknął Brandolaccio. — *Istos Sardos!*¹⁶⁸ A niech ich czart porwie z ich diabelską gwarą. To za liche towarzystwo.

¹⁶⁸*Istos Sardos!* (kors.) — ci Sardynczy. [przypis edytorski]

— Nie ma sposobu żyć w Sardynii — dodał teolog. — Co do mnie, gardzę Sardyńczykami. Milicja poluje tam na bandytów konno: to dostateczna krytyka bandytów i kraju!¹⁶⁹. Do czorta z Sardynią. Jedna rzecz mnie dziwi, panie della Rebbia, to, że pan, który jesteście człowiekiem dobrego smaku, człowiekiem inteligentnym, nie zostałeś przy naszym życiu w chaszczach, skoro raz dane ci było go zakosztować.

— Ależ — rzekł Orso z uśmiechem — kiedy miałem przyjemność być waszym towarzyszem stołu, nie byłem nadto zdolny ocenić uroku waszego rzemiosła. Dotąd jeszcze żebra mnie bolą, kiedy sobie przypomnę jazdę, jaką odbyłem pewnej nocy, rzucony w poprzek jak pakunek, oklep na konia, którym powodował przyjaciel Brandolaccio.

¹⁶⁹*Milicja poluje tam na bandytów konno: to dostateczna krytyka bandytów i kraju!* — spostrzeżenie to o Sardynii zawdzięczam jednemu z mych przyjaciół bandytów i on ponosi za nie całą odpowiedzialność. Chce przez to wyrazić, iż bandyci, którzy dają się ująć konnym, są niezdary, milicja zaś, która ściga bandytów na koniach, nie ma widoków napotkania ich. [przypis autorski]

— A przyjemność umknięcia pościgu — odparł Castriconi — czy pan to liczysz za nic? W jaki sposób możesz być nieczuły na urok bezwarunkowej swobody w klimacie tak pięknym, jak na naszej wyspie? Z tym mistrzem ceremonii (tu ukazał strzelbę) jest się wszędzie królem, tak daleko, jak kula niesie. Rozkazuje się, naprawia się krzywdy... To bardzo moralna rozrywka, drogi panie, i bardzo miła; toteż nie odmawiamy jej sobie. Czyż może być życie piękniejsze niż błędnego rycerza, kiedy się jest lepiej uzbrojonym i rozsądniejszym od Don Kichota¹⁷⁰? Ot, kiedyś, kiedy się dowiedziałem, że wuj małej Lili Luigi, stary kutwa, nie chce jej wyposażyć, napisałem doń, bez pogroźek, to nie jest mój zwyczaj, i ot! w jednej chwili poczciwina zmienił zapatrywania i wydał ją bardzo przyzwoicie za mąż. Ziściłem szczęście dwojga istot. Wierz mi pan, panie Orso, nic nie da się porównać z życiem bandyty. Ba! Przysłałby pan może do nas, gdy-

¹⁷⁰*Don Kichot* — błędny rycerz, tytułowy bohater powieści Miguela de Cervantesa. [przypis edytorski]

by nie pewna Angielka, którą widziałem tylko w przelocie, ale o której cała Bastia mówi z podziwem.

— Moja przyszła bratowa nie lubi chaszczów — rzekła Colomba, śmiejąc się — zaledo się najadła strachu.

— Zatem — rzekł Orso — chcecie zostać tutaj? Niech i tak będzie. Powiedzcie mi, czy mogę coś dla was uczynić?

— Nic — rzekł Brandolaccio — jak tylko zachować o nas trochę pamięci. Obsypałeś nas pan darami. Ot, mała Chilina ma posag i aby znaleźć przyzwoitego chłopca, nie będzie potrzebowała, aby przyjaciel Proboszcz pisał listy bez pogrózek. Wiemy, że pański dzierżawca dostarczy nam w potrzebie chleba i prochu: zatem z Panem Bogiem. Mam nadzieję, że któregoś dnia zobaczymy pana na Korsyce.

— W krytycznej chwili — rzekł Orso — parę sztuk złota dobrze robi człowiekowi. Teraz, kiedy jesteśmy starymi znajomymi, nie odmówicie mi tego ładunku, który może wam posłużyć do nabycia innych.

— Żadnych pieniędzy, poruczniku — rzekł Brandolaccio stanowczym tonem.

— Pieniądz wszystko robi na świecie — rzekł Castriconi — ale w chaszczach ceni się tylko dzielne serce i fuzję, która nie chybia.

— Nie chciałbym rozstać się z wami — rzekł Orso — nie zostawiwszy wam jakiej pamiątki. No, cóż mógłbym ci zostawić, Brando?

Bandyta podrapał się w głowę i spoglądając spod oka na fuzję Orsa, wyjąknął:

— Hm... poruczniku... gdybym śmiał... ale nie, to dla pana zbyt cenne wspomnienie.

— Czego chcesz?

— Nic... rzecz sama to nic jeszcze... Chodzi o sposób użycia. Myślę ciągle o tej diabelskiej dublecie i to jedną ręką... Och, tego się nie powtarza dwa razy.

— Tę strzelbę chciałbyś?... Przyniosłem ją dla ciebie, ale posługuj się nią jak zdołasz najrzadziej.

— Och, nie przyrzekam panu, że będę się nią posługiwał tak jak pan. Ale bądź pan spo-

kojny: kiedy ktoś inny dostanie ją w ręce, będziesz mógł powiedzieć, że Brando Saveli przełożył broń na lewe ramię.

— A panu, panie Castriconi, co mogę ofiarować?

— Skoro pan chcesz koniecznie zostawić mi jakieś materialne wspomnienie, poproszę bez ceremonii, abys mi przysłał Horacego¹⁷¹ w możliwie najmniejszym formacie. To mnie rozerwie i nie da mi zapomnieć mojej łaciny. Jest w Bastii dziewczynka, która sprzedaje cygara koło portu, niech pan jej odda, ona mi doręczy.

— Dostaniesz go w elzewirze¹⁷², mości uczo-ny, jest właśnie taki wśród książek, które miałem zabrać z sobą. A zatem, przyjaciele, trzeba nam się rozstać. Uściśnijmy sobie ręce. Gdyby-

¹⁷¹Horacy, właśc. *Quintus Horatius Flaccus* (65–8 p.n.e.) — wybitny rzymski poeta liryczny, autor liryk, satyr i listów. [przypis edytorski]

¹⁷²elzewir — nazwa wydania dzieł klasycznych opublikowanego przez firmę holenderskich wydawców i księgarzy Elzevierów (Elsevierów), działającą w XVI i XVII w. Książki tego wydawnictwa miały mniejszy format od innych, były tanie i złożone czytelną czcionką, w przeciwieństwie do eleganckich i ozdobnych egzemplarzy. [przypis edytorski]

ście kiedy zdecydowali się na Sycylię, napiszcie do mnie, adwokat N. da wam mój adres.

— Poruczniku — rzekł Brando — jutro, kiedy opuścisz port, spójrz na górę, w to miejsce. Będziemy tu i damy ci znak chustką.

Po czym rozstali się; Orso wraz z siostrą skierowali się do Cardo, bandyci w góry.

XXI

W piękny kwietniowy poranek pułkownik sir Tomasz Nevil, córka jego, mężatka od kilku dni, Orso i Kolomba, wyjechali w kolasce¹⁷³ z Pizy, aby odwiedzić grobowiec etruski¹⁷⁴, świeżo odkryty i odwiedzany przez wszystkich cudzoziemców. Zszedłszy w głąb budowli, Orso i jego żona wydobyli ołówki i czuli się w obowiązku przerysowywać malowidła; pułkownik i Kolomba, dość obojętni oboje na punkcie ar-

¹⁷³*kolasa* — lekki, odkryty pojazd konny, podobny do bryczki. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*Etruskowie* — lud zamieszkujący w starożytności północną Italię, początkowo dominujący nad Rzymianami, w III w. p.n.e. całkowicie przez nich podbity i wchłonięty. [przypis edytorski]

cheologii, zostawili ich samych i woleli przechadzać się po okolicy.

— Moja droga Kolombo — rzekł pułkownik — nie zdążymy bezwarunkowo do Pizy na lunczyk. Nie jesteś głodna? Orso i jego pani zatopili się w starożytnościach; kiedy się wezmą do rysowania razem, nie ma temu końca.

— Tak — rzekła Kolomba — a mimo to nie przynoszą z sobą ani kawałeczka zaczernionego papieru.

— Moje zdanie byłoby — ciągnął pułkownik — abyśmy podeszli ku temu tam folwarcz-kowi. Dostaniemy chleba, może i *aleatico*¹⁷⁵, kto wie, może śmietanki i poziomek i doczekamy się cierpliwie rysowników.

— Masz słuszność, pułkowniku. Pan i ja, którzy przedstawiamy parę rozsądnych ludzi w tej rodzinie, bylibyśmy bardzo niemądrzy, skazując się na męczeństwo dla tych zakochanych, którzy żyją jedynie poezją. Podaj mi pan ramię. Nieprawdaż, że się wyrabiam? Przyjmuję

¹⁷⁵*aleatico* — wino z włoskiej odmiany czerwonych winogron o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

ramię, kładę kapelusze, modne suknie, mam klejnoty, uczę się nie wiem ilu pięknych rzeczy, już wcale nie jestem dziczką. Niech pan spojrzy, z jakim wdziękiem kładę oto szal... Ten blondyn... oficer z pańskiego pułku, który był na ślubie... mój Boże! Nie mogę spamiętać jego nazwiska; ufryzowany dryblas, którego zwałabym na ziemię jednym uderzeniem pięści...

— Chatworth? — rzekł pułkownik.

— To, to, to! Właśnie! Ale nie wymówię tego nigdy. Zatem ten... zakochany jest we mnie do szaleństwa.

— Ho, ho! Kolombo, robisz się zalotna... Niedługo będziemy mieli nowe małżeństwo.

— Ja? Za mąż? A któż by wychował mego bratanka... kiedy Orso mnie nim obdaruje? Kto by go nauczył mówić po korsykańsku?... Tak, będzie mówił po korsykańsku i sporządzą mu szpiczastą czapkę, aby was doprowadzić do wściekłości.

— Poczekajmy najpierw, aż będziesz miała bratanka; później nauczysz go posługiwać się sztyletem, jeśli masz ochotę.

— Bądźcie zdrowe, sztylety — rzekła wesoło Kolomba — teraz mam wachlarz, żeby cię nim trzepnąć po palcach, pułkowniku, kiedy ci przyjdzie ochota obmawiać mą ojczyznę.

Tak rozmawiając, doszli do folwarku, gdzie znaleźli wino, poziomki i śmietankę. Kolomba pomogła gospodyni zrywać poziomki, gdy pułkownik popijał *aleatico*. Na skrócie alei Kolomba spostrzegła starca, siedzącego na słomianym krześle na słońcu, chorego, jak się zdawało. Policzki miał zapadłe, oczy podkrążone; wychudzony był do ostateczności, nieruchomość zaś jego, bladość, jak również martwe spojrzenie czyniły go podobniejszym raczej do trupa niż do żywej istoty. Przez kilka minut Kolomba przyglądała mu się z taką ciekawością, że ściągnęła wreszcie uwagę gospodyni.

— Ten biedny starzec to ziomek pani, poznałam bowiem od razu z akcentu, że pani jest z Korsyki. Przeszedł nieszczęście w swoim kraju, synowie jego zginęli w straszliwy sposób. Powiadają (przepraszam panią bardzo, że tak mówię), że pani ziomkowie nie mają lekkiej

ręki, kiedy się nienawidzą. Biedny człowiek, zostawszy sam na świecie, przeniósł się do Pizy, do dalekiej krewniaczki, która jest właścicielką tej fermy. Poczciwina trochę szwankuje na umyśle, nieszczęścia, zmartwienia... To było trochę kłopotliwe dla pani, która prowadzi dom bardzo otwarty; przysłała go tedy tutaj. Jest łagodny, nie robi kłopotu; ani trzech słów nie powie w ciągu dnia. Tak, z głową zupełnie u niego słabo. Lekarz odwiedza go co tygodnia i powiada, że niewiele mu się już należy.

— A, ma niedługo umrzeć? — rzekła Kolomba. — W jego położeniu to szczęście taki rychły koniec.

— Powinna by pani zagadać do niego coś po korsykańsku; to by go może ożywiło nieco, gdyby usłyszał narzecze swego kraju.

— Spróbujemy — rzekła Kolomba z iro-
nicznym uśmiechem.

I zbliżyła się do starca, tak iż jej cień przesłonił mu słońce. Wówczas biedny idiota podniósł głowę i bystro przypatrzył się Kolombie, która patrzyła nań również, uśmiechając się cią-

gle. Po chwili starzec powlókł ręką po czole i zamknął oczy, jak gdyby chcąc uciec przed spojrzeniem Kolomby. Następnie otworzył je szeroko; wargi zaczęły mu drżeć, chciał wyciągnąć ręce, ale jakby urzeczony przez Kolombę, siedział przykuty do krzesła, niezdolny poruszyć się ani przemówić. Wreszcie duże łzy zaczęły mu płynąć z oczu i szlochanie wydarło się z piersi.

— Pierwszy raz widzę go w tym stanie — rzekła ogrodniczka. — Ta panienska pochodzi z pańskich stron — rzekła do starca — przybyła pana odwiedzić.

— Łaski! — wykrzyknął ochryplym głosem. — Łaski! Czy jeszcze ci nie dość? Tę kartkę... spaliłem... jakim sposobem zdołałaś ją odczytać?... Ale dlaczego obu?... Na Orlanduccia nic przecież nie było tam napisane... Trzeba mi było zostawić jednego... jednego bodaj... Orlanduccia... nie było tam tego imienia.

— Trzeba mi było obu — rzekła Kolomba cicho w narzeczu korsykańskim. — Gałęzie już ucięte; gdyby pień nie był spróchniały, wydar-

łabym go. Ech, nie skarż się; niedługo będziesz cierpiał. Ja cierpiałam dwa lata!

Starzec wydał krzyk i głowa opadła mu na piersi. Kolomba odwróciła się i odeszła wolno ku domowi, śpiewając jakieś niezrozumiałe słowa *ballaty*: „Trzeba mi ręki, która pociągnęła za cyngiel, oka, które wzięło na cel, serca, które zamyśliło”.

Podczas gdy ogrodniczka spieszyła z pomocą starcowi, Kolomba z ożywioną twarzą, z roziskrzonymi oczyma siadała do stołu naprzeciw pułkownika.

— Co tobie? — rzekł. — Wyglądasz tak, jak wówczas w Pietranera, w ów dzień, kiedy podczas obiadu częstowano nas kulami.

— To wspomnienia z Korsyki nawiedziły mnie na chwilę. Ale już przeszło. Będę chrzestną matką, prawda? O! Jakie piękne imiona dam memu bratankowi: Ghilfuccio-Tomaso-Orso-Leone!

W tej chwili wróciła ogrodniczka.

— I cóż! — rzekła Kolomba z największym spokojem. — Umarł czy tylko zemdlony?

— Nic się nie stało, proszę pani, ale to osobliwa rzecz, jaki widok pani uczynił na nim wrażenie.

— I lekarz mówi, że nie pociągnie długo?

— Może ani dwa miesiące.

— Nie będzie wielkiej straty — zauważyła Kolomba.

— O kim wy, u diaska, mówicie? — spytał pułkownik.

— O jednym idiocie z moich stron — rzekła Kolomba obojętnym tonem — który tu jest na pensji. Prześlę od czasu do czasu zapytanie o niego. Ale, pułkowniku, zostawże trochę poziomek dla Orsa i Lidii.

Skoro Kolomba opuściła fermę, aby się udać do kolaski, gospodyni wiodła za nią jakiś czas oczyma.

— Widzisz tę panienkę, taką ładną? — rzekła do córki. — Otóż, wiesz, pewna jestem, że ona ma złe oko.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kolomba>

Tekst opracowany na podstawie: Prosper Mérimée, Kolomba, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Księgarnia Biblioteki Dzieł Wyborowych, Warszawa [1925]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: iPad Wallpaper for iPhone - harmony, AlicePopkorn@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5725-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

PROSPER, MÉRIMÉE *Kolomba*, Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, 295
Przeznacz 1% podatku na rozwój
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwiązać bi-